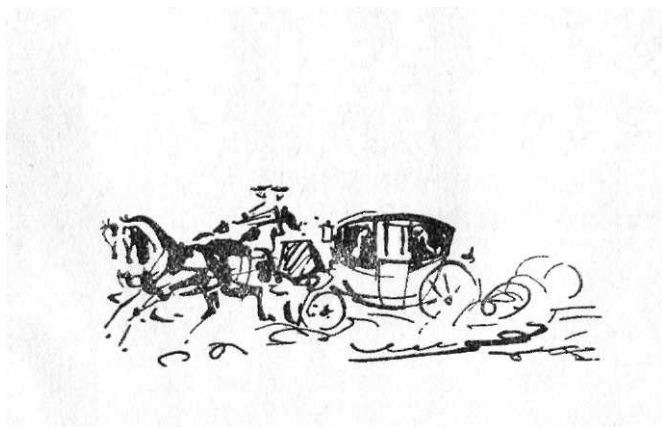


HALINA POPLAWSKA

KLAWIKORD i RÓŻA



WARSZAWA ISKRY • 1 9 69



Matce mojej
Wandzie Wiśniewskiej

Część I

Sama nie wiem, dlaczego zaczęłam nagle myśleć o mojej francuskiej prapra, a może prapraprababce. Nie ja jedna w Polsce mam w sobie kropelkę galijskiej krwi. Nie darmo przecież przelatywały nad naszym krajem napoleońskie orły, nie darmo spadały na Polskę chmary pomniejszego ptactwa z gatunku guwernerów i garderobianych oraz innej biedoty, skrzętnie zdziobującej okruchy ze stołów magnaterii czy bogatego mieszczaństwa.

Nic właściwie nie wiem o tej mojej „pramyszy”, znam tylko jej imię, Valentine. W latach trzydziestych ubiegłego wieku należało ono do najmodniejszych dzięki pani George Sand, która rozślawiła je w całej niemal Europie, ochrzcivszy nim bohaterkę romansu pod tym samym tytułem.

Jak gdyby na potwierdzenie słuszności przysłowia, że „Nihil novi sub sole”, imię to w naszych czasach przeżywa swój renesans sławy w związku z pierwszą kobietą, jaka odważyła się oderwać od Ziemi. I nie wiadomo, co jeszcze potrafi uczynić posiadaczka tego imienia i czego dokona, gdyż nie zadowolili się już chyba bierną rolą, jaką jej może znowu narzucić fantazja pisarza czy poety.

Mnie także, przypuszczalnie na pamiątkę owej „protoplastki”, nazwano Walentyną, w zdrobnieniu Wałą, a ludzie, którzy nigdy nie widzieli Francuzki inaczej niż w kinie, unoszą się nad oryginalnością mojej urody, utrzymując, że ze mnie „wykapana paryżanka”.

O mojej zesłowiecznej imiennicze najwięcej wiedział wuj Tomasz, żywa kronika rodzinna, ale wuj Tomasz zmarł przed dziesięciu laty, a gdy mi czasem opowiadał dawne dzieje, słuchałam jednym uchem, zajęta dniem dzisiejszym i o wiele bardziej obchodzącą mnie rzeczywistością. Wuj Tomasz gniewał się i rozpoczynał nudne kazanie, że „za moich czasów młodzież była inna”, ale młodzież zawsze jest inna, a starsi ze swym gderaniem zawsze będą nieznośni.

Mimo wszystko dałabym teraz wiele za rozmowę z wujem, tak mnie coś korci, żeby poznać dzieje tej dziewczyny, związanej ze mną tym, co się potocznie nazywa „węzłami krwi”. Chciałabym wiedzieć wszystko, a nie znam nawet nazwiska Valentine, która kiedyś jako uboga guwernantka wylądowała w jakimś polskim, wielkopańskim dworze.

Czy była sierotą, czy też zostawiła we Francji rodzinę? Oto nurtujące mnie pytania. Może mam gdzieś w dalekim Paryżu czy w cichym, prowincjonalnym miasteczku krewniaków, nieświadomych swych związków z Polską? Nigdy nie otrzymam na to odpowiedzi.

Tak czy inaczej Valentine raptem opanowała wszystkie moje myśli, można nawet powiedzieć, że opętała mnie.

Wyobrażam sobie jej wygląd, suknie... Przypominam ryciny Gavarniego z tejsze właśnie epoki, przedstawiające delikatne kobietki w krynoliniastych spódnicach, cienkie jak osy, o spadzistych ramionach i drobnutkiej nóżce, z kokiem na czubku głowy i lokami przy uszach.

Guwernantka. Ileż musiała znieść upokorzeń z racji swej niskiej kondycji, ile przełknąć goryczy! A jaka była odważna, wypuszczając się sama w nieznaną, do obcego kraju. I została w Polsce. Nie ona jedna. To samo uczynił pan Mikołaj Chopin, francuski guwerner, o którym nic by nie wiedziiano, gdyby nie był później ojcem wielkiego Fryderyka.

Wuj Tomasz wspominał o małżeństwie Valentine z Polakiem. Miała to być niesłychanie romantyczna historia, ale romantyczne historie nie były w modzie u moich rówieśników, więc i ten szczegół, jakże istotny, uszedł mojej uwadze. A szkoda, niepowetowana szkoda. Dziś szczerze tego żałuję. Zresztą ulegam przypuszczalnie nastrojowi chwili. Czuję się chora i rozbita, a Cyryl nie przyjedzie. Dzwonił do Stefana, że wypadło mu coś bardzo ważnego... Noga boli gorzej niż wczoraj i nie wiadomo, czy uda mi się zasnąć. Więc co mi pozostaje? Muszę myśleć.

Są chwile, gdy mam dość absorbującej mą wyobraźnię postaci. Staram się czytać, słucham radia, oglądam telewizję, ale Valentine stała się już obsesją i niełatwo wyzwolić się spod jej uroku. Gdyż jest urocza, co do tego nie mam cienia wątpliwości.

A wszystkimu winien Cyryl.

Jechaliśmy wtedy do Jabłonny z niedozwoloną szybkością, asfalt był mokry, wpadliśmy w poślizg, no i zarzuciło nas na drzewo. Uderzenie było tak silne, że pękła

rama... Cyryl cudem jakimś wyszedł bez szwanku, jeśli nie liczyć paru zadrapań, ale ja spędziłam miesiąc w szpitalu.

Ostatniego dnia zjawiała się Gienia i stwierdziła rzeczowo, że nie mogę wracać na Świętokrzyską, gdzie oprócz psa nie ma nikogo, kto by zaopiekował się chora, wobec czego okres rekonwalescencji powinnam spędzić u niej.

I zabrała mnie do Białoleki.

Cyryl przyjeżdża prawie codziennie. Wpada na chwilę lub zostaje na parę godzin. Siada przy moim łóżku, gładzi Aresa, mówi coś albo nic nie mówi. Gienia patrzy na nas z troską, ale Gienia zawsze musi się kimś martwić i o kogoś troszczyć, taką już ma naturę.

A ja, gdy zostaję sama, zaczynam znowu myśleć. Naturalnie o Valentine. I przypominam sobie Paryż, i to wszystko, co widziałam podczas krótkiego pobytu we Francji w ubiegłym roku, z okazji wystawy moich pastelów w Galerie Lambert.

Gdy wyzdrowieję, zrobię jej portret, taki „zeszło-wieczny”. Będzie na nim piękna, jasnowłosa, z tym nikłym odcieniem popielatego złota, o wielkich, błękitnych oczach i regularnych rysach. Taka uroda dziś niemodna, nie spotyka się jej u żadnej modelki z jakiegokolwiek ilustrowanego magazynu, z tych, co to narzucają kanony piękna, każąc zachwycać się takim, a nie innym typem kobiecej urody. Zrobiłam nawet, leżąc, mały szkic główki i całej postaci, a

Cyryl ujrawszy to zawołał: „Wiesz, to doskonały projekt kostiumu do mego filmu. Całkiem niezła byłaby z ciebie scenografka. Czy to coś z Landelle'a?”

Tak, to chyba było w Musée Carnavalet... Najpewniej tam. Tyle wrażeń nagromadziłam wówczas w ciągu paru tygodni... Nic dziwnego, że wszystko mi się miesza... Gdzieś w kącie portret takiej właśnie dziewczyny, nie pamiętam czy, w każdym razie nie Landelle'a, może jakiegoś nieznanego artysty, ale mający w sobie coś... Ten portret długo za mną chodził...

Więc moja Valentine jest piękna. Piękna i dobra. To nie awanturnica, usiłująca za wszelką cenę wkręcić się do obcego domu, by siać tam „niezgodę i zgorszenie”, nie żadna „donna fatale”, dla której uśmiechu mężczyźni tracili głowy, opuszczali rodziny i ginęli w pojedynkach. Ja ubieram ją we wszystkie możliwe cnoty i przymioty, równie dziś nudne jak ten typ urody, obdarzam szlachetnością i rozumem, skromnością i złotym sercem. Niech będzie najlepsza, jaka tylko może być, i godna wszystkiego, co jej przyniosło życie.

— Za mało jesz — utyskuje Gienia. — A w ogóle ciągle jesteś smutna. Przecież czujesz się lepiej. Czy to... Cyryl?

— Cyryl jest bardzo dobry — odpowiadam ogólnikowo.

— Bardzo — podchwytuje skwapliwie Gienia. — Był niepokieszony po wypadku... Mówił, że wolałby wszystkie kości połamać, byle tobie nie stała się krzywda.

— Na szczęście nie połamał ani jednej. Nie miałby teraz czasu na leżenie w gipsie, tyle ma pracy z tym nowym filmem...

I Gienia kiwa głową ze zrozumieniem. Nikt nie ma więcej pracy niż ona. Dom, dziecko... Jest co prawda gosposia, ale już niemłoda, a w Białolece z aprowizacją nie najlepiej. Moc rzeczy trzeba taszczyć z Warszawy. Tym już zajmuje się Stefan, któremu Gienia co rano wsuwa do teczki kartkę ze spisem sprawunków.

Znamy się z Gienią od dziecka, od pierwszej klasy, i przyjaźnimy się od pierwszego dnia naszej znajomości. Było to tuż po wojnie, rok 1946, i tak zostało do dziś. Nie mam rodzeństwa. Wojna zabrała mi ojca, którego wcale nie pamiętam, a mama, gdy miałam dwadzieścia lat, wyszła powtórnie za mąż i zamieszkała na Wybrzeżu.

Nie chciałam opuszczać Warszawy. Byłam już na trzecim roku Akademii Sztuk Pięknych, miałam swoich przyjaciół, kochałam się w Jędrku... I właśnie odkryłam, że moja droga to pastel.

Trudno, zostałam więc sama, a na pociechę miałam Gienie, która mimo wczesnego małżeństwa nigdy o mnie nie zapomniała.

A teraz mam Cyryla, choć nie jestem tego tak bardzo pewna. Ale to już inna sprawa.

No i ta Valentine...

Najlepiej myśleć o niej wieczorem, po wyjeździe Cyryla, gdy w domu wszystko się ucisza. Leżę z otwartymi oczami i wyobrażam sobie, jak to było...

Wicher huczy w kominie, łomocze kawałkiem papy na dachu przybudówki. Czasem deszcz stuknie o blaszany parapet okna... Valentine też przyjechała do Polski w listopadzie, chcę, żeby tak było, żeby dzisiejsza pogoda wiernie odtwarzała ów dzień sprzed stu trzydziestu lat...

Czasem tok moich myśli zamać skrzym furtki i kroki na ścieżce. Jest bardzo późno. To Julian, który zawsze wraca ostatnim autobusem, mimo ciągłego gderania Stefana. Cicho przesuwam się przez hall do swego pokoju, gdzie Gienia ustawiła już obfita kolację.

Ares podnosi głowę i nasłuchuje, po czym z lekkim warknięciem układa się do dalszego spoczynku przy moim boku. A ja wracam do Valentine.

Niech ta nieznana ma tyle lat co ja. Może była o wiele młodsza, a może trochę starsza, to nieważne. Dziś kobieta w moim wieku, szczególnie jeśli ma dobrą figurę, jest jeszcze długo młoda, nosi mini spódniczki i wzorzyste pończochy. Ale ona... Mając więc dwadzieścia osiem lat była starą panną, na którą nie spojrział już żaden mężczyzna, ubraną na szaro, odpowiednio do wieku i skromnego stanowiska. A jednak przeżyła romantyczną miłość, jeśli wierzyć wujowi, i wyszła doskonale za mąż.

Dość już tych dorywczych majaczeń, dość przeskakiwania z jednej sceny w drugą. Teraz chcę wszystko uporządkować, ułożyć,

zobaczyć tak, jak było. Jakby mogło być...
Jak być musiało...

Wieczór pierwszy

Karetka pocztowa podskakiwała na wybojach, a kopyta końskie z chlupotem rozpryskiwały błotniste kałuże. Czarne pudło zawieszona na mocnych resorach kołysało się miarowo, do taktu podkówek, które wybijały mazurowy rytm na kamienistej szosie. Jesienny wicher szarpał pelerynę pocztyliona i rzadkie krople deszczu stuknęły o sztywne denko jego wysokiego kapelusza.

Bity trakt przed końskimi łbami ginał wśród szarej równiny, obsadzony z obu stron pokurczonymi wierzbami. Na drodze nie widać żywej duszy, a jedyna ludzka istota to pejsaty oberżysta, który na dźwięk trąbki wybiegł na próg wrosłej w ziemię karczmy. Karetka jednak przeleciała mimo gościnnie pochylonej jarmułki i wśród trzaskania z bata i łomotu kół zniknęła we wczesnym zmierzchu.

Błękitne pióro na kapeluszu Valentine, jedyna jaśniejsza nuta w jej na pół żalobnym stroju, chwiała się raz w lewo, raz w prawo jak sterzące wahadło dziwnego zegara. Oczy zmęczone monotonią obcego pejzażu uciekały w głąb powozu, szukając zdawałoby się dobrze znanych przedmiotów czy przyjaznych twarzy.

Oto pamiątkowy kuferek z zielonego safianu z misternym zameczkiem, trochę już podniszczony, ale mimo obtartych rogów łatwo poznać wykwintne pochodzenie tego podróznego cacka. A duży, zamczysty kufer?

Nieboszczka mama obstałowała go u samego mistrza Didier z ulicy Saint-Honore. Dawne to co prawda czasy, bardzo dawne...

Pióro kiwa się teraz to w tył, to w przód, zgodnie z ruchem powozu. Zawiązana ciasno pod brodą kokarda z czarnej wstążki dziwnie kontrastuje z białą plamą twarzy. Mrok zapada szybko o tej porze roku, jeszcze chwila, a krajobraz za szybą rozplynie się w szarzyźnie wieczoru.

Co ją czeka na obcej ziemi? Jacy okażą się ludzie, do których spieszy z drugiego końca Europy? Polacy... Podobno szlachetny to naród, szczodry, gościnny, rycerski wobec kobiet. Ale kraj smutny. Szara, bezkresna równina, czasem kontur lasu na horyzoncie, czasem wieś przypadła niskimi chatami do równie szarej ziemi, krzyż na rozstajnych drogach...

Co za sobą zostawia? Właściwie nic. Nikogo bliskiego i gdyby nie zdecydowała się wreszcie na ten ryzykowny krok, do śmierci byłaby popychadłem w domu Madame de Flagny, traktowana trochę lepiej niż służba, ale dostatecznie źle, by boleśnie odczuć swój niższy stan i materialną zależność od moźnej protektorki.

— Madame de Flagny, Madame de Flagny — wybijają kopyta, grzęznąc w czarnej mazi, a pod powiekami pojawia się wyniosła postać i ironiczne zmrużone oczy wielkiej damy.

Nie, zdecydowanie Madame de Flagny nie była sympatyczną osobą. Dziwne, że nieboszczka mama tak się z nią przyjaźniła

w klasztorze. Lepiej już oglądać te poowijane w kozuchy postacie, które spod baranich czap patrzyły na nią pocziwymi, niebieskimi oczyma. Tylko ten język taki trudny. Od kilku dni z nikim nie można zamienić słowa. Pocztylion, gdy go zagaduje na przeprzęgach, potrząsa głową i mówi: „Tarnowice”, wskazując przy tym ręką przed siebie.

Tarnowice, jej nowy dom. Pierwszy raz usłyszała tę nazwę trzy miesiące temu. Właśnie odwiedziła ją Madame Gavin, ich dawna sąsiadka z dobrych czasów.

— Moja droga — powiedziała rozsiadając się wygodnie w berżerce — to wszystko nie ma najmniejszego sensu. Marnujesz się. Pani de Flagny nie dba o ciebie, spełniasz posługi, które potrafi wykonać byle pokojówka. Twoja matka w grobie się przewraca. Uważam, że raz trzeba położyć temu koniec.

— Żebym była mężczyzną... — zaczęła Valentine.

— Żebyś była mężczyzną, nie troszczyłabym się o ciebie — przerwała z żywością Madame Gavin. — Ale jesteś dziewczyną i to już nie pierwszej młodości.

— Tak — przyznała ze smutkiem Valentine — jestem starą panną, mam dwadzieścia osiem lat.

— Otóż to. Mimo urody i świetnej edukacji nie wyszłaś za mąż. Świat jest tak podle urządony, że posag dla dziewczyny zastąpi wszystko: i ładną buzię, i wdzięczną figurę, i mądrą głowę. Pamiętasz Helenę? Tę z kaczym nosem i krostowatą twarzą? Cóż za

brzydactwo! Puszy się teraz i nadyma jak ropucha. Papa brzęknął pełną kabzą i zaraz zięć wyrósł jak spod ziemi.

— Wcale jej nie zazdroszczę...

— Ale jest urządzona, bezpieczna i spokojna na resztę życia. A ty co?

— Ja też mogłabym wyjść za męż. Pani de Flagny chętnie pozbyłaby się mnie z domu. Tylko że za rzemieślnika...

— Otóż to, za rzemieślnika. Tego już za wiele. Czyś zapomniała, kim była twoja matka? Z jakiej pochodziła rodziny? Wychodząc za męż popęlniła mezalians. Nie ona jedna, biedaczka! — Madame Gavin westchnęła ciężko, dając tym do zrozumienia, jak mało był jej godzien nieboszczyk Gavin. — Czyż na to cię tak wychowała, na to chuchała i dmuchała? A poza tym nie wyobrażaj sobie, że pani de Flagny chce się ciebie pozbyć. Gdzie znajdzie za darmo kozła ofiarnego dla swoich humorów? Pan Bóg czuwa jednak nad sierotami. Przychodzę z pewną propozycją.

Valentine poruszyła się niespokojnie.

— Z propozycją?

Madame Gavin pokiwała energicznie głową, aż zielone wstążki czepka frunęły na boki.

— Z doskonałą propozycją. Chyba twoja matka wymodliła... Nie jesteś ciekawa?

— Ależ słucham, słucham. Wiem, jak mi pani dobrze życzy.

— Mimo to dotąd nigdy nie poszłaś za moją radą...

— Matka oddała mnie w opiekę pani de Flagny. Nie mogłam przecież mieszkać sama...

— Dobrze, dobrze. Mam nadzieję, że tym razem trudziłam się nie na próżno.

— Och, pani Gavin...

— Nic, nic, chodzi mi tylko o twoje dobro. A więc słuchaj. Dziś rano dostałam bilecik od hrabiny de Narville, żebym przyszła. Zaraz się oporządziłam i lecę. Przychodzę, a hrabina leży, zaziębiona. Jak mnie zobaczyła, to woła: „Ach, jak to dobrze, że przyszłaś, kochana Gavin, ty jedna wybawisz mnie z kłopotu”. No i mówi, że jej dawna przyjaciółka, jeszcze z czasów młodości, cudzoziemka, gdzieś z końca świata, potrzebuje francuskiej guwernantki do wnuczki. To jakaś księżna, nie potrafię tylko powtórzyć nazwiska, hrabina mówi, że czarująca osoba, bardzo się kiedyś lubiły. Dom zamożny, wygodny, na wsi, dobre powietrze — tak mówi hrabina — a guwernantka ma być nie byle jaka: wykształcona, muzykalna, z doskonałymi manierami. Zaraz pomyślałam o tobie...

— Ależ droga pani Gavin...

— Nie przerywaj. Będiesz dobrze traktowana, na pewno lepiej niż u pani de Flagny, a poza tym zawsze co księżna, to księżna.

— Sama pani mówi, że to gdzieś na końcu świata. Jak się nazywa ten kraj?

— Polska. Pamiętasz, czytałyśmy wspólnie o nieszczęściach tego narodu. O, tu mam na kartce, zapisałam, widzisz? To dobra tej księżny: Tarnowice.

— Tarnowice — powtórzyła Valentine.

Od tej rozmowy z Madame Gavin Tarnowice śniły się jej po nocach: obronny zamek na niedostępnej skale, majestatyczna księżna, no i wnuczka, jej przyszła

uczennica. Nie mogła się tylko zdecydować, jakim kolorem włosów obdarzyć to nieznane dziewczę i jak egzotyczne imię wymyślić dla mieszkanki dalekiej Polski.

Czekała ją jeszcze przeprawa z panią de Flagny. Opiekunka nie okazała najmniejszego entuzjazmu dowiedziawszy się o planach pupilki.

— Czyś zwariowała? — zawołała, gdy Valentine nieśmiało poinformowała ją o zamiarze. — Co powiedziałaaby twoja matka? Odpowiadam za ciebie. Doprawdy straciłaś chyba głowę. Zawsze uważałam cię za rozsądną dziewczynę. Chcesz służyć u jakichś dzikusów?

— Księżna gwarantuje mi dobre traktowanie. Będę nauczycielką i towarzyszką jej wnuczki.

— Dobre traktowanie. To się tylko tak mówi. Źle ci u mnie?

— Jestem bardzo wdzięczna za opiekę...

— Staram się zastąpić ci matkę, ale ty, widzę, grymasisz. Tam nie będą się z tobą cackać.

— Chcę pracować, być użyteczna, wykorzystać moje umiejętności.

— Przecież i u mnie masz pole do popisu. Możesz bawić gości, chociaż twoja mina nie zawsze zachęca do miłej rozmowy.

— Przykro mi, ale nie nadaję się do bawienia gości. Sądzę, że o wiele lepsza będzie ze mnie nauczycielka.

— Jak chcesz. Jesteś pełnoletnia. Pamiętaj tylko, że jedziesz na własną odpowiedzialność. Ja nie chcę mieć z tym nic

wspólnego. Dobrze, że twoja matka nie dożyła tej chwili.

Rozmowa zakończyła się bardzo nieprzyjemnie, mimo wysiłków Valentine, by nie zdradzić, co działo się w jej sercu. Madame de Flagny wyszła trzaskając drzwiami, ze słowem „niewdzięczna” na ustach.

Dziś jeszcze Valentine wstrząsała się na wspomnienie gości bywających u protektorki. Wieczory te były jednym koszmarem. Obłeśnie uśmiechnięci mężczyźni, którym zdawało się, że im wszystko wolno z ubogą, trzymaną z łaski dziewczyną; kobiety odpowiadające na jej ukłon zaledwie protekcyjnym skinieniem głowy, a potem przypatrujące się jej beczelnie przez lorgnon; młode panny przechodziły mimo jej krzesła z obojętną wyższością, jak gdyby była meblem. Jakże szczęśliwą poczuła się, gdy zebrawszy swój ubogi dobytek, wsiadła wreszcie do pocztowej bryki.

Hrabina de Narville pokazała jej bardzo miły list księżnej, która przysłała pieniądze ma podróż i wytyczyła całą marszrutę. Tarnowice rysowały się w coraz jaśniejszych barwach, a podróż mimo zmęczenia przyniosła tyle nowych wrażeń, tyle niespodziewanych przyjemności, że zacierała powoli wspomnienie przykrego pożegnania bulwaru Saint-Germain.

Takie to wszystko wydawało się dalekie, że aż nierealne. Ot, gdzieś, kiedyś znała jakąś panią de Flagny, zarozumiałą i napuszoną złościcę, z którą nie mogły wytrzymać własne córki, a której ona, Valentine, mu-

siała ulegać i spełniać bez szemrania najgłupsze polecenia. Nieboszczka mama chciała jak najlepiej, widocznie charakter przyjaciółki zmienił się dopiero z biegiem lat i drobne wady, dodające kiedyś wdzięku młodej dziewczynie, po pięćdziesiątce przerodziły się w trudny do zniesienia despotyzm.

Ale teraz wszystko to nie miało już znaczenia. Setki mil dzieliły ją od Paryża i dawnego życia. Napięta była cała oczekiwaniem przyszłości.

Za szybą robiło się coraz ciemniej. Deszcz wzmógł się. Według obliczeń księżnej powinien to być ostatni dzień podróży.

— Tarnowice, Tarnowice— wystukują kopyta, a ich rytm staje się jak gdyby rażniejszy. Czyżby konie czuły bliskość domu?

Valentine rękawiczką przeciera szybę, wyteża wzrok. Gdzieś daleko migają światełka, ale wkrótce giną, przypuszczalnie zakryte drzewami. I znowu nic, ciemność, tylko stukot kopyt i turkot kół docierają do uszu pasażerki.

Valentine ogarnia senność. Przytulnie w tej bryce, owszem, ale trochę chłodno. Żeby tak wyciągnąć się w wygodnym łóżku pod puchową kołdrą, jak kiedyś w domu. Taki śliczny miała pokoić, cały różowy, obity atlasem... a ta mocna lampka z alabastru, jakże była piękna!... Wszystko jednak skończyło się ze śmiercią ojca. Nie były biedne, o nie, ale interesy wdowy prowadził

pan Presbite i tak jakoś nieszczęśliwie, że złożony w jego kancelarii kapitał stopniał bardzo szybko, mimo skromnego życia dwóch kobiet.

— Nieboszczka gryzła się swoją przyszłością — oznajmiła raz Madame Gavin. — Ten notariusz to stary wyga, obawiam się, że was oszwabił.

— Tatuś miał wielkie zaufanie do pana Presbite — oburzyła się Valentine, potem jednak, w miarę jak upływały lata w domu pani de Flagny, nie była już tak pewna stuprocentowej uczciwości notariusza.

Pieniędzy w każdym razie nie mogła odzyskać, bo i jak? Dała więc wszystkiemu spokój.

No, nie myśleć teraz o tych smutnych rzeczach, dojeżdża do Tarnowic, przemierzyła kawał Europy, wkrótce zacznie się nowe, zupełnie nowe życie i obowiązki.

Obowiązki nauczycielki.

Pensja panny Terrier, którą chlubnie ukończyła, zaliczała się przecież do jednej z lepszych w Paryżu. A jakich miała doskonałych profesorów! Metr od muzyki skomponował nawet operę, którą wystawiono w prawdziwym teatrze. Niestety, dziewczętom nie pozwolono wziąć udziału w przedstawieniu, panna Terrier miała pod tym względem nieugięte zasady.

W Tarnowicach mają pewnie dobry klawikord, może nawet od samego pana Pleyela? Na dnie kufra spoczywają nuty, wszystkie ulubione melodie, które niegdyś grywała... Muzykalności wymaga przecież

księżna od guwernantki, muzykalności, dobrych manier i wykształcenia,...

Będzie czytywała ze swą wychowanką powieści pani de Genlis, w sam raz dla wytwornych, młodych panien, poza tym dużo czasu zajmą lekcje: literatura, historia, historia naturalna, geografia, trochę matematyki, niezbyt dużo, uczennica jej pewnie nie będzie potrzebowała rachować, zrobi to kiedyś za nią mąż.

— Bogate dziewczęta nie powinny liczyć — mawiała panna Terrier — matematyka mężczy ładne główki i odbiera urok delikatnym twarzyczkom.

Ona, Valentine, też nie potrzebowała rachować, nie znała wartości pieniądza i nie wiedziała, ile co kosztuje. Dopiero od śmierci nieboszczki mamy...

Splószone spojrzenie powędrowało ku lśniącej powierzchni kufra, a jego właścicielka zrobiła w myśli przegląd batystowej bielizny, obszytej walansjenką, obliczając z niepokojem, na jak długo wystarczy skromny zapas jej garderoby.

Pani de Flagny okazała niezłomny charakter i w niczym nie przyczyniła się do uzupełnienia wyprawki pupilki, udającej się w tak daleką drogę. Za to poczciwa Madame Gavin czuła się jak ryba w wodzie podczas tych przygotowań i ona właściwie wyprawiła Valentine, wyposażyła, w co mogła, i zapakowała wszystkie rzeczy dziewczyny.

Na pożegnanie wcisnęła jej do ręki haftowany woreczek.

— Schowaj to — powiedziała serdecznie — będziesz miała na czarną godzinę. A pamiętaj, gdyby ci tam było źle, w tej Polsce,

wracaj do mnie, zawsze znajdzie się dla ciebie kącik w moim domu.

Valentine, wzruszona, uściskała dawną sąsiadkę, postanawiając w duszy, że nawet gdyby Tarnowice okazały się lodową pustynią, a mieszkańcy zamku wilkołakami, nie wróci do Paryża, by nie patrzeć na triumfującą minę pani de Flagny.

W podróży już zadrżała do haftowanej sakiewki. Wewnątrz błyszcząły dwa nowiutkike luidory. Był to jej cały majątek.

O szyby karetki załopotały nagle gałęzie rosnących blisko drogi drzew i w tej chwili wesóły dźwięk trąbki poderwał pasażerkę. Valentine przyłgnęła do okna. Właśnie mijali wielką bramę wjazdową, nad którą pyszniła się słabo widoczna w ciemności tarcza herbowa właścicieli. Pocztylion pochylił się na koźle i wrzasnął, przekrzykując szum deszczu i wichury: — Tarnowice! Tarnowice, mamzelo!

Valentine nie odrywała rozognionej emocją twarzy od chłodnej szyby. Konie rwały po gładkiej, dobrze utrzymanej drodze, a karetka toczyła się aleją podobną teraz do korytarza. Nigdzie jednak nie migąło najmniejsze światełko, nigdzie znaku życia.

Minuty dłużyły się w nieskończoność i Valentine zmęczona opadła na poduszki oparcia. Zdawało się, że nie starczy jej cierpliwości, by wytrwać w spokoju do końca podróży.

Kiedyż będzie ten upragniony cel? Tarnowice... Czy spędzi tu całe życie? Całe

życie... To znaczy zestarzeje się i zbrzydnię, wychowując kilka pokoleń uczniów?

Valentine drży pod lekkim płaszczykiem i szczelniej otula się grubą, wełnianą chustką.

Trudno — myśli z rezygnacją — spaliłam za sobą mosty. Do pani de Flagny i tak już nie wrócę.

— Chyba nie sądzisz, że w tej Polsce złapiesz księcia z bajki — powiedziała raz przy gościach opiekunka. — A może właśnie ta nadzieja podtrzymuje cię w wykonaniu szaleńczego zamysłu? W twoim wieku podobne mrzonki należy już wybić z głowy. Gdybyś jeszcze miała posag...

Posag... Cóż za ohydne słowo! A jeszcze ohydniejsza pani de Flagny. Naturalnie, Valentine za rozsądna na marzenia, co przystoją najwyżej głupiutkiej szwaczce... W jej wieku zawiera się jedynie małżeństwo z rozsądku, oparte na solidnym fundamencie pakietów akcji i bonów państwowych, rent czy złota. Jakież mężczyzna, mając do wyboru szesnasto- lub osiemnastoletnie piękności, pokusi się o starą pannę bez posagu? Nawet z jej urodą i wykształceniem, muzykalnością, dobrymi manierami i tak dalej. W sam raz odpowiednia na guwernantkę. Przejdzie więc obok życia, które i tak skończyło się dla niej ze śmiercią nieboszczki mamy...

W gorzkie rozważania wdarała się nowa piosenka trąbki pocztyliona, oznajmującej gości. Tym razem cel był doprawdy blisko. Konie wypadły z alei na duży, zwirowany plac i zatoczywszy koło stanęły przed podjazdem wielkiego domu, prawie pałacu.

Okna parterowe były rzęsiście oświetlone.

Nim oszołomiona Valentine zdała sobie sprawę, że bryka stoi w miejscu, wśród kolumn ganku mignęło kilka postaci i na stopniach zatupotały szybkie kroki. Pocztylion odpowiadał wesoło na pytania. Szarpnięto drzwiczki powozu i Valentine omal nie rozpląkała się ze wzruszenia: powitano ją w jej ojczystym języku.

— Mam nadzieję, panienko — mówił sympatycznie wyglądający starszy jegomość — że miała pani dobrą podróż.

Po czym krzyknął w stronę dwóch służących, którzy rzucili się na skromny bagaż nauczycielki.

Starszy jegomość władający francuskim pomógł wysiąść zdętwiałej długą drogą dziewczynie i wprowadził ją na ganek, a następnie do wielkiej, bielonej wapnem sieni, o pięknie belkowanym suficie i jelenich rogach na ścianach, skąd wiodły na górę podwójne schody z ciemnego drzewa.

Valentine szła za przewodnikiem jak automat. Teraz dopiero poczuła, że upada za zmęczenia.

Bolały ją plecy, w uszach szumiało od kołysania powozu i turkotu kół i było jej bardzo zimno

Na pierwszym piętrze korytarz wyciągał długie ramiona w dwie przeciwne strony domu. Starszy jegomość skierował się w prawo. Podłogę wyścielał ciemnozielony chodnik, a na ścianach, w metalowych kinkietach płonęły świece, po dwie w jednakowych odstępach. Z obu stron korytarza było wiele dwuskrzydłowych drzwi, również z ciemnego drzewa.

— To pokój szkolny — wskazał przewodnik jedno drzwi w prawej stronie korytarza — a tu obok pokój pani.

Duży, kaflowy piec roztaczał rozkoszne ciepło, a tęga, rumiana kobieta w białym czepeczku i takimże fartuchu na furkocących spódnicach przywitała gościa przyjaznym uśmiechem.

— Anna rozumie po francusku — poinformował przewodnik — jeździła z księżną panią po świecie.

Anna dygnęła z godnością.

— Usłuży pani i pomoże rozpakować rzeczy. Zaraz przyniosą kolację. Księżna pani poleciła powiedzieć, że jutro nie trzeba spieszyć z rannym wstawaniem.

— Czy... nie zobaczę dziś księżnej pani? — spytała trochę przestraszona Valentine.

— Nie, księżna pani życzy sobie, aby panienka dobrze wypoczęła po podróży. Jutro też zapozna się pani z jaśnie panią.

Udzieliwszy jeszcze paru wskazówek Annie, sympatyczny jegomość opuścił pokój.

Valentine przy pomocy pokojowej zabrała się do rozpakowywania kuferka i podróźnej torby, gdy wniesiono tacę z kolacją. Po posiłkach, jakie w ostatnich dniach spożywała w przydrożnych gospodach, pierwsza kolacja w Tarnowicach wydała się lukullusową ucztą, a potrawy, choć proste, były jednak bardzo smaczne i wykwintnie podane.

— Masło świeższe i lepsze niż w Paryżu — skonstatowała ze zdumieniem, smarując chrupiącą bułeczkę.



Po wypiciu filiżanki mocnej herbaty poczuła, że zmęczenie podróżą ulotniło się nie wiadomo gdzie, a na jego miejsce ogarnęło ją przyjemne podniecenie.

Bo też pokój co krok ukrywał niespodziankę. Na przykład piec kaflowy. Nigdy podobnego nie widziała. Wielki, rozłożysty, wypinał brzuch prawie na środek pokoju. Ale był naprawdę piękny, utrzymany w tonie obić, a więc z błękitnych kafli z ciemniejszym fryzem u góry. Ciepło buchało z każdej strony. Może to lepszy wynalazek niż paryskie kominki, co tak szybko stygną, że nawet gdy płonie w nich ogień, w odległych kątach pokoju i tak wieje mrozem? Piec przypuszczalnie pochłania furę drzewa, ale za to trzyma ciepło chyba do następnego dnia.

A ten niski fotelik przy okrągłym stolyczku? Jak stworzony do wypoczynku, do lektury czy robótki. Łóżko ukryte za białymi frankami z cienką, świeżutką pościelą. Koronkowe wstawki, gdzie potrzeba, kołdra lekka, puchowa... a wszystko pachnie jakimiś aromatycznymi ziołami. (Pamięta dobrze, jak nieboszczka mama kładła między bieliznę saszetki z lawendą).

Jest jeszcze mahoniowe biureczko z mnóstwem skrytek i szufladek, takąż szafka na książki i komódka z okuciami z brązu. Piękne cacko, może nawet wyszło z pracowni samego Boulle'a? Na komódce owalne lustro w stylu empire w orzechowej ramie.

Obok mała garderoba z dużą szafą, zajmującą całą ścianę, gdzie Anna rozwiesiła już skromne sukienki. Dalej marmurowa umywalka, na niej fajansowa misa w błękitne kwiaty i takież dzbanek pełen wody.

Valentine fruwała po pokoju oglądając z zaciekawieniem swój nowy dom, swoje, jak mówią we Francji, „u siebie”, gdzie spędzi może wiele lat życia, i gdy wreszcie zdmuchnęła świece, wiedziała, że w tym kąciku będzie jej dobrze, że po każdym dniu pracy wróci z radością do tych mebli i do drobiazgów przywiezionych z Paryża, które stały się teraz jak gdyby łącznikiem między jej dawnym życiem a obecną rzeczywistością.

Długo nie mogła zasnąć, a gdy zaczęła już zapadać w drzemkę, rozbudził ją tętent konia gdzieś pod oknami. Nie wiedząc, dlaczego to czyni, wyskoczyła z łóżka i boso podeszła do jednego z dwóch okien.

Pod białym muślinem firanki była gruba, błękitna zasłona, a za szybą w dole rozciągał się park, przypuszczalnie duży i stary, dziś szary i nagi. Nigdzie nie dojrzała nocnego jeźdźca, bo i jakże, w parku? Musiał ktoś przejechać drogą, już za murem, z dala od domu, tylko w ciszy nocnej odgłos kopyt niósł się daleko i dlatego wydało jej się, że to tuż.

W Paryżu do późna turkotały powozy; wracano z Opery, z teatrów, z balów, z wizyt, z kolacji. Nieraz słyszała pokrzykiwania stangretów i rozbawione głosy beztroskiej „złotej młodzieży”. Tu natomiast była głucha cisza, tylko ten galopujący gdzieś koń...

Zmarzła stojąc przy oknie. W ogóle po co wstawiała? Nieraz posłyszcy w nocy jadące drogą konie. W dzień odgłosy życia zagłuszają pewnie dalekie dźwięki, ale w nocy...

Może to kurier spieszy z pilnym listem, może pędzi posłaniec po doktora albo

spóźniony wędrowiec wraca strudzony do domu.

Dygocąc wsunęła się do łóżka. Jak dobrze, jak przytulnie i bezpiecznie za białymi firankami! Żeby tak zawsze pod osłoną... ale nie, jest już w Polsce, sama, w Tarnowicach, w tych Tarnowicach, które od paru miesięcy zajmują wszystkie jej myśli. Jutro pozna księżnę i uczennicę, a potem zadomowi się tu i będzie jej dobrze, lepiej niż u niesympatycznej Madame de Flagny w ciasnym pokoiku na drugim piętrze obok pokoju garderobianej, w skrzydle, gdzie mieściły się pomieszczenia dla służby. Jutro...

Co to? Znowu tętent? Czy spała? Ile czasu minęło od chwili, gdy nasłuchiwała oddalającego się stukotu kopyt? Teraz koń odbywał powrotną drogę. Raz... dwa... raz... dwa... Rytmiczny galop zbliżał się, podchodził jak gdyby pod ściany pałacu.

I nagle nastąpiła cisza.

* *
*

— Pożarłem się ze scenarzystą — Cyryl wyciągnął długie nogi i skrzyżował ręce na brzuchu. — Takie bzdury powypisywał w niektórych dialogach, że aż diabli biorą...

— To dlaczego...

— Nie wiesz, dlaczego? W dalszym ciągu cieszy się względami tej starej wariatki...

— Co teraz kręcisz?

— Ciagle to samo. Nic nie idzie, kretyni, psiakrew.

— A w roli księżniczki... Aniela Remiga?
Czy już zaangażowana?

Twarz Cyryla rozpromieniła się.

— Wyobraź sobie, że się zgodziła. To jest babka... klasa. Jeszcze wypiękniała. Tylko te dialogi...

— Czegóż im brak?

— Nie mają sensu. Ludzie w strojach z początku dziewiętnastego wieku, a ten kretyn każe im mówić ultra współczesnym żargonem. Przecież to film historyczny!

W tej chwili Gienia wnosi kawę, a z nią do pokoju wpada ośmioletni synek mojej przyjaciółki.

— Cóż tam nowego w szkole, Romku? — pytam przymilnie, gdyż lepiej żyć w zgodzie z rozbrykanym cherubinkiem.

— Ee... ciągle to samo. Nudy na pudy.

— Ale czytać już umiesz, co? — dodaje Cyryl. Cherubinek druzgocze go pogardą.

— Czytać! Wielka mi sztuka? A ten pana ostatni film to mi się wcale nie podobał. Głupia chała!

— Romku, idź odrabiać lekcje — Gienia dostaje wypieków z zakłopotania, ale Cyryla niełatwo pognębić.

— Masz rację — przyznaje z westchnieniem — to wszystko ten scenarzysta. Sam nie wiem, za co dali mi Srebrną Palmę.

— Jak to za co? — oburza się Gienia. — Przecież to doskonały film. A Aniela Remiga zachwycająca w roli pokojówki...

Cyryl przymyka oczy. Czyżby wywoływał w pamięci obraz zachwycającej Anieli?

Na górze, w pokoju Romka, podejrzane hałasy. Gienia odstawia filizankę.

— Pójdę już — mówi zrezygnowana. — Nie mogę oka spuścić tego gagatka. Kiedyż tein Stefan wróci...

— Oto rozkosze domowego ogniska — odzywa się po jej wyjściu Cyryl. — A tobie tak samo spieszo do małżeństwa jak innym dziewczynom. Potem niańczyłabyś takiego bachora, że choć się powiesić...

— Wcale mi niespieszo — odpowiadam urażona. — Najlepszy dowód, że dotąd nie wyszłam za mąż. Może wcale nie wyjdę, nie wiadomo.

— Nawet za mnie? — pyta podstępnie.

— Za ciebie bardziej niż za kogo innego. A co do bachora, to sam byłeś pewnie o wiele gorszy.

— Byłem — przyznaje Cyryl obojętnie. Z góry dolatują coraz większe hałasy.

— Biedna Gienia — w głosie obłudna litość. — Starszy brat powinien by zająć się trochę tym rozkoszniaczkiem.

— Julian wraca bardzo późno. Stefan ciągle się awanturuje, ale to nic nie pomaga. Ma na politechnice dużo roboty, a poza tym...

— Poza tym lata za dziewczynami. Spotkałem go któregoś dnia w kawiarni z jakąś rudą wydrą. Nic dziwnego, urywa się z tej politechniki, jak może. Swoją drogą, sympatyczny to on nie jest, prawda?

Julian to syn Stefana z pierwszego małżeństwa, chłopiec rzeczywiście dziwnie niemiły, ponury, małomówny. Gienia miała z nim ciężki orzech do zgryzienia w pierwszych latach małżeństwa.

Kroki na ścieżce. To Stefan. Nareszcie Gienia odetchnie, ojciec doskonale sobie radzi z nieposłusznym Romkiem.

— Czy Julian jest? — słyhać w hallu tubalny głos pana domu.

Gienia coś tłumaczy, widocznie usprawiedliwia pasierba.

— Tego chłopca w ogóle nie widuję — denerwuje się Stefan. — Dom traktuje jak legowisko. A ty go jeszcze osłaniasz. Już ja się z nim rozmówię!

— Chodź, odpocznij, zjedz obiad.

Po chwili z dołu dobiega człapanie gospośi, która mruczy tak, by ją było słyhać w całym domu:

— Wariacka rodzina, gotuj co dzień dwa obiady... Skaranie boskie...

— Czy nie lepiej byłoby im w Warszawie? — Cyryl łaskocze Aresa za uchem.

— Skądże! Wyobrażasz ich sobie stłoczonych w dwóch ciasnych klitkach? Tu mają własny dom, pięć pokoi, ogródek. Wymarzone warunki.

— Ale dojazd. Jaka strata czasu.

— Doskonała komunikacja. Autobus przed samym domem. Jak Julian skończy studia, Stefan na pewno dorobi się samochodu. Poza tym wiosną i latem tu cudownie. Nie potrzeba wyjeżdżać na wakacje.

Cyryl kręci głową, nieprzekonany.

— To ty masz takie dzikie gusta — mówi z przekąsem. — Lubisz zakopać się w tej dziurze na całe lato. Ja wolę w Sopocie.

Od paru lat spędzam jeden z letnich miesięcy u Gieni i bardzo sobie chwale ten rodzaj wypoczynku. Odbywam długie

spacery z Aressem, dużo czytam, wygodnie ułożona na leżaku pod jabłonią. Nawet trochę maluję. Poza tym cieszę się względami gosposi, którą raz wyleczyłam z przeziębienia. Widocznie ślubowała mi dozgonną wdzięczność, gdyż lubi, jak przyjeżdżam, a teraz w chorobie dogadza, jak umie. No i obszywam Gienię. To jeden z moich talentów.

Cyryl nie może żyć bez kawiarni, bez gwaru i bez swego filmowego towarzystwa. I nie znosi wsi. A ja zazdroszczę Gieni jej domu i ogrodu. Tymczasem jednak wypada mi zadowolić się kawalerką na Świętokrzyskiej.

Dlatego wymyśliłam Tarnowice. Duży, wygodny dom. Przestrzeń. Luksus naszej epoki. Miejsce. Moc miejsca, na wszystko i dla wszystkich. Jest gdzie rozwiesić ubranie. Nie to co u mnie. Jesienią letnie suknie pakuję do walizy i na antresolę, a wiosną zimowa garderoba odbywa podróż w górne rejony mojego mieszkania.

Cyryl odjeżdża wcześniej niż zwykle, a po kolacji, gdy Romek już śpi, Stefan i Gienia zasiadają u mnie przy telewizorze. Stefan patrzy na szklany ekran, ale widać wyraźnie, że myśli o czym innym. Gienia co jakiś czas spogląda na męża i też mało ją wzruszają przygody Świętego. Najbardziej zainteresowany jest Ares, bo oto przez chwilę psia mordą szczyrzy zęby do widzów. Ale gdy w następnej scenie pokieroszowany bandzior grozi nam pistoletem, Ares wtyka nos w poduszkę i wybiera drzemkę.

Nareszcie jestem sama i mogę wrócić do Tarnowic. Biedna Valentine, tak chciałam umilić jej pierwsze chwile na polskiej ziemi.

Myślę, że mi się udało, gdyż nasza gościnność często brała chyba górę nawet nad przesądami klasowymi. Niech jej tam będzie dobrze, tyle się biedaczka nacierpiała u podłej Madame de Flagny. Z pewnością musiało być coś takiego, bo inaczej czy wyruszyłyby w tak daleką i niebezpieczną podróż?

Swoją drogą Cyryl bardzo zajęty Aniela Remizanką. A co ja? Czy jego dzisiejsze odezwanie się mam traktować jako oświadczyiny?

Jak zwykle ostatnim autobusem wrócił Julian. Zawsze żal mi było tego chłopca, Gienia od pierwszego dnia zajęła się nim bardzo serdecznie, ale on odepchnął przyjazną rękę. Nie chciał niczyjej, jak wówczas mówił, „łaski”. Czy nie mógł ojcu darować drugiego małżeństwa? Gienia jednak nie zraziła się wrogością pasierba. Z biegiem lat trochę się do niej przekonał.

No, już znowu cisza. Żaden zewnętrzny dźwięk nie maści nieuchwytniej, a dziwnie dla mnie realnej, tamtej rzeczywistości. Obraz wychodzi czysty, wyraźnie narysowany tak mi swojską techniką pastelu. Wyobrażenia podsuwa coraz nowe sceny, nowe postacie, jak gdybym robiła szkice, przygotowywała scenografię oraz pisała sztukę, w której występują te właśnie przeze mnie wymyślane osoby, w takiej a takiej, równie przeze mnie wyobrażonej, scenerii. Czy tak powstaje scenariusz filmowy? Czy to, o czym się pisze, trzeba wpierw zobaczyć?

Wiatr się uspokoił, jest cicho i pogodnie. W rozchyleniu story pojawia się okrągła, księżycowa lampa. Patrzą na nią i myślę... i odchodzę daleko od Białoleki, bardzo daleko...

Wieczór drugi

Gdy się obudziła, zasłony już rozsunięto i do pokoju zaglądał szary, smutny, listopadowy dzień. Przed piecem nad wiązką smolnego łuczywa klęczała młoda dziewczyna, a siwa kobieta w kokieteryjnym czepeczku z liliowymi wstążkami krzątała się przy stole. Łagodny szmer ich głosów dochodził do Valentine jako monotonne mruczenie — słów bowiem nie rozróżniała. Kiedy wyjrzała zza firanek łóżka, siwa kobieta opróżniła tacę i podeszła dziwnie młodzieńczym krokiem.

— Już pani nie śpi, Mademoiselle? — zaświergotała piękną francuszczyzną. — Nie mogłam się doczekać, tak byłam niecierpliwa poznania rodaczki.

— Pani Francuzka? — Valentine odgarnęła włosy i spojrzała ciekawie na nową znajomą.

— O tak, z Paryża, z ulicy Świętego Jakuba, ale to dawne, bardzo dawne czasy, młodość...

— I mieszka pani w Tarnowicach?

— W Tarnowicach już trzydzieści lat — uśmiechnęła się — ale w Polsce to dłużej. I ja nie żadna pani, tylko Babette, tak mnie wszyscy nazywają. Byłam pokojową pierwszej pani Tarnowickiej, nim jeszcze wyszła za męża. Z nią przyjechałam do Tarnowie i tak zostałam... Dobrze tu, księżna sprawiedliwa pani i jaśnie pan łaskawy...

Paplała szybko, a jej żywe, czarne oczy śmiały się w przywidłej twarzy.

— Czy... nauczyła się Babette po polsku?

— Doskonale. To wcale nie takie trudne. Łatwiej było zapomnieć własnego języka, ale księżna pani nie dała. Do jaśnie panienki zawsze każe mówić po francusku, niby dla wprawy...

Zagadała coś żywo do dziewczyny, która rozpaliwszy w piecu przyglądała się cudzoziemce. Dziewczyna z ociąganiem wstała z kolan, zabrała wiadro ze szczapami i wyszła.

— Wszyscy ogromnie ciekawi nauczycielki z Paryża — zauważyła Babette. — A jaśnie panienka to już doczekać się nie może... „Idź, Babette, zobacz, czy nie śpi” — powiedziała i wysłała mnie tu.

— Muszę złożyć uszanowanie księżnej pani — Valentine ciasno splatała jasne warkocze. — Może już bardzo późno?

— O nie, księżna pani kazała panience wypocząć po drodze. Jakie też rękawy noszą w Paryżu, czy ciągle bufiaste?

— Bufiaste, ale bufy nieco niżej wszyte.

— A okrągłe kołnierzyki jeszcze modne?

— Modne. Bardzo noszone są też kokardy.

— A czepeczki? Czy mój nie razi staroświecczyną?

— O nie, zupełnie podobny widziałam u modystki na ulicy Świętego Honoriusza.

Babette poprawiła przed lustrem liliowe wstążki.

— Od śmierci córki księżna pani zawsze w czerni — powiedziała krygując się i obciążając spódnice. — Ja to lubię weselsze kolory, ale księżna pani nie zdjęła żałoby...

Za to jaśnie panienka jak ptaszek. Piękne ma pani włosy, Mademoiselle.

Valentine zawsze była dumna z grubych warkoczy sięgających bioder.

— Śliczny kolor — westchnęła Babette — oryginalny... Po naszymu to się nazywa „blond cendre”.

Valentine zapinała suknię.

— I panienka na czarno — Babette krytycznie wydeła wargi. — Choć przy pani różanej cerze to bardzo do twarzy.

— Ja tak od śmierci nieboszczki mamy... ale mam i jaśniejsze suknie.

— Pomogę panience upiąć włosy — Babette ze znanstwem ujęła grube warkocze. — Po bokach puścimy anglezy, prawda? Z tyłu będzie piękny kok.

Valentine spinała gipiurowy kołnierz ametystową broszką.

— Wspaniały klejnot — zachwyciła się Babette. — Od razu widać, że od złotnika z placu Opery.

— Pamiątka po mamie — Valentine pogładziła broszkę. — Innych klejnotów nie posiadam.

Babette krzątała się po pokoju, doglądała palącego się pieca, a przy tym gadała bez przerwy.

Spokojne tu życie, dostatnie, wszystkiego w bród, służba liczna, teraz smutno, bo zima, ale jak przyjdzie wiosna, lato... Zobaczycy panienka, jak pięknie w parku, ile ptactwa... Ja to karmię na oknie wróble i sikorki, już mnie znają, a i kota mam, Marcin się nazywa... Mieszkam na drugim piętrze, tam pokoje dla służby... Mam ładny pokoik, a od śmierci pierwszej pani Tarnowickiej niewiele

roboty. Ot, czasem księżna pani każe upiąć włosy albo przyszyć kokardy do sukni jaśnie panienki... Jak przyjeżdża szwaczka, to zaraz mnie woła. „Chodź, Babette — mówi — ty masz taki dobry gust. Wymyśl ładną sukienkę dla panienki”. Pierwsza pani Tarnowicka to lubiła się stroić. Jakie miała balowe toalety! Sprowadzane z Paryża. Ale nieraz i same szyłyśmy letnie suknie z batystu. „Ty, Babette, wszystko potrafisz — mówiła. — I ładnie czeszesz, i uszyjesz, i suknię ugarnirujesz”. Inaczej tu wtedy było, inaczej, i jaśnie pan nie ten sam człowiek... Napatrzyłam się ja tu, napatrzyłam, różne rzeczy widziałam i wesołe, i smutne. Teraz to więcej smutnego, tyle że jaśnie panienka szczebiocze, to i księżnej pani lżej na sercu. Ale jaśnie panu zapomnieć trudno, oj trudno. Pierwsza żona zawsze najukochańsza, to wiadomo... Dobra była, a wesoła, a śliczna... Lubiła mnie bardzo... Byłam jej pokojową jeszcze przed ślubem... taka młodziutka, a i ja wtedy byłam młoda... Mój Boże, jak ten czas leci... Nagle zamilkła i uderzyła się po spódnicy.

— Na śmierć zapomniałam, a śniadanie wystygło! Proszę, panienko, proszę, głodne pewnie biedactwo — zdejmowała pokrywę ze srebrnego imbryka i zaglądała do jego parującej zawartości.

— Jaśnie panienka pija rano czekoladę, więc myślałyśmy, że i pani... Ja bo przepadam za kawą, taką mocną i z kozuszką... Kucharz tu dobry, a już piekarz wprost doskonały. Takich bułeczek nigdzie nie dostaniesz! Głodno tu nikomu nie jest, o nie, każdy chudziaczek odkarmi się i odpasie.

Valentine kończyła drugi rogalik z francuskiego ciasta, posmarowany grubo masłem. W głowie czuła chaos. Był więc jakiś pan Tarnowicki? Jaśnie pan? Sądziła przecież, że księżna... Księżna co prawda nosiła inne nazwisko, nie mogła sobie teraz przypomnieć, jakie, takie trudne do wymówienia, z literą, której nie ma we francuskim alfabecie... Nie śmiała jednak zadawać pytań, by nie zdradzić się z kompletną ignorancją stosunków panujących w Tarnowicach.

Fertyczna staruszka ukończyła tymczasem sprzątanie pokoju i posunęła się ku drzwiom.

— Jeśli panienka gotowa... — zaczęła z ręką na klamce.

— Już idę, Babette — Valentine poprawiła ciężkie aniołki zwisające nad uszami i popieszyła na korytarz.

— Pokoje księżnej były na tym samym piętrze, lecz po drugiej stronie domu. Babette otworzyła jedne drzwi i znalazły się w małym przedpokoju, skąd dopiero wchodziło się do sypialni. Stara Francuzka zapukała, a gdy weszły, dygnęła kilka razy i podreptała ku siwej matronie siedzącej przy krosnach. Przy niej, na niskim stołeczku, przykucnęła młoda, najwyżej szesnastoletnia dziewczynka.

Valentine onieśmieliło surowe wnętrze tej komnaty, podobnej raczej do klasztornej celi. Księżna była w czerni, nawet siwe włosy przykrywała czarna koronka, lecz twarz miała łagodną i jeszcze piękną.

— Panna Delarose pragnie złożyć uszanowanie księżnej pani — powiedziała Babette i usunęła się odsłaniając Valentine,

która zrobiła najpiękniejszy dyg, jakiego nauczono ją na pensji panny Terrier.

— Zbliź się, kochanko — księżna wyciągnęła rękę do pocałunku. — Jakaś ty młoda! Hrabina de Narville pisała, że masz dwadzieścia osiem lat. Wyglądasz najwyżej na dwadzieścia...

Valentine dotknęła drżącymi wargami ręki starej damy, która objęła ją za głowę i pocałowała we włosy.

— Witaj w Tarnowicach. Bardzo już ciebie oczekiwałyśmy, moja wnuczka i ja. Hrabina de Narville pisała o twoim wykształceniu i wielkiej muzykalności. Adelka nie gra zbyt biegle, a jej francuszczyzna pozostawia wiele do życzenia. Mam nadzieję, że przy twojej pomocy...

Valentine znowu dygnęła.

— Wiem od hrabiny, że jesteś sierotą. Postaramy się, by ci u nas było dobrze. Adelka co prawda jest trzpiotem i dotąd nie bardzo przykładała się do nauki...

— Co też babunia... — zawołała milcząca dotąd dziewczynka, której wielkie niebieskie oczy utkwione były w Valentine.

Księżna położyła rękę na ciemnej głowie wnuczki.

— Czyż nie tak, Adelko? — spytała pieśzotliwie.

— Zobaczysz babunia, jakie teraz zrobię postępy.

— Daj to Boże — westchnęła księżna, po czym znowu zwróciła się do nauczycielki.

— Adelka nie jest dzieckiem, ma szesnaście lat, ale zachowuje się bardzo jeszcze dziecinnie. Na pewno się polubicie, a

wtedy potrafisz zrobić z nią wszystko. Taka już jest.

Adelka zerwała się i przysunęła drugi taboret. Księżna zrobiła zapraszający ruch ręką.

— Siadaj, kochanko, i opowiedz nam o Paryżu. Dawno tam nie byłam.

— Pogoda podobna jak w Polsce — zaczęła Valentine — pada i zimno. Kominki nie takie dobre jak piece.

— Więc podobał ci się piec w twoim pokoju?

— O tak, bardzo, nigdy podobnego nie widziałam. Zziębłam w podróży, a od pieca buchało wprost gorąco i szybko się rozgrzałam.

— Nie zmarzniesz w Tarnowicach — zauważyła z uśmiechem księżna. — Bory tu wielkie, a my wszyscy lubimy ciepło. Nigdzie tak nie marzłam jak za granicą, gdzie mimo łagodniejszego klimatu zima zawsze dawała mi się dotkliwie we znaki. Te pojedyncze okna, te marmurowe posadzki, te kominki... o, to nie dla mnie.

— A ja bardzo chcę wyjechać za granicę — wyrwała się Adelka.

— Pojedziesz, pojedziesz, gdy wyjdiesz za męża.

— Nie chcę wychodzić za męża.

— Wolisz zostać starą panną?

— A fe, co babunia takie rzeczy...

— No więc, jeśli nie chcesz iść za męża...

— Kiedy chcę, ale nieprędko.

— Nie masz już wiele czasu, kilka lat, które szybko zlecą.

— Tak mi dobrze z babunią, a babunia... —
ciemna główka pochyliła się na kolana
księżnej.

— No, dość już, dość, ty pieszczochu. Za
moich czasów szesnastoletnie dziewczęta
wychodziły za mąż i prowadziły cały dom...

— Nie będę prowadzić domu, będę miała
ochmistrzynię — wybuchnęła Adelka. —
Chcę jeździć na hale...

Księżna położyła uspokajającą dłoń na
włosach wnuczki.

— Płocha jesteś, Adelko, nazbyt płocha —
powiedziała surowo. — Tymczasem zajmiesz
się nauką, by dokończyć edukacji. Tak życzy
sobie twój ojciec. Panna Delarose gotowa
pomyśleć, że nie masz chęci do pracy.

— Ależ mam, babuniu, mam. Przysięgam.
Zadziwię babunię postępami. Naprawdę,
proszę pani — zwróciła do Valentine oczy
błękitne jak niezapominajki.

— Nie należy jej zbyt pobłażać. — Mimo
surowych słów uśmiech księżnej był pełen
matczynej wprost czułości. — Twoja
poprzedniczka, panna Pallasier, nie miała
dostatecznego przygotowania; nic też
dziwnego, że oprócz paplaniny, w wątpliwej
zresztą francuszczyźnie, niczego Adelki nie
nauczyła. Brak jej było metody... Obmyślisz
dla niej program zajęć, prawda, kochanko? I
dużo muzyki. Jej ojcu specjalnie na tym
zależy. Adelka ma piękny głos i lubi śpiewać,
a muzyka to godziwa rozrywka na wsi.

— Przywiozłam wszystkie moje nuty —
powiedziała Valentine, patrząc z sympatią
na różową buzię uczennicy. — Będziemy
grywały na cztery ręce.

— Umilicie nam zimowe wieczory. Adelko, nawlecz mi ten zielony jedwab.

Wizyta była skończona. Valentine wstała.

— Odpocznij dziś, kochanko — księżna zwróciła do gościa smutną twarz. — Urządź się u siebie, a jeśli będziesz czego potrzebowała, powiedz Babette, ona się wszystkim zajmie. Obiad zjesz z nami, chcę cię przedstawić panu Tarnowickiemu. Będziesz siedziała zawsze koło swojej uczennicy. I bądź spokojna, nic cię tu złego nie spotka. Jesteś pod moją opieką.

Za drzwiami oczekiwała Babette.

— Pomogę panience ułożyć rzeczy — ofiarowała się usłudze.

Valentine wdzięczna była rodaczce za towarzystwo, mniej obco czuła się w tym wielkim domu, słysząc paplaninę w rodzinnej mowie.

Pierwszy dzień z dala od ojczyzny bogaty był we wrażenia, a obiad w wielkiej sali jadalnej, obwieszonej portretami przodków pana domu oraz piękną bronią, na zawsze pozostał w jej pamięci. Meble i boazerie były z czarnego dębu. Jak dowiedziała się później, ojciec obecnego pana Tarnowickiego, posiadający również dobra na Litwie, kazał wydobywać z dna Niemna spoczywające tam od wieków kłody dębowe, które nabrały w tej kąpieli tak rzadkiego i oryginalnego koloru. Ten „polski heban” przydawał dostojęstwa imponującej sali, a lśniące srebro naczyń pięknie odbijało od ciemnego drzewa olbrzymich kredensów.

Każdy miał raz na zawsze wyznaczone miejsce przy ogromnym stole. U szczytu

siedziała księżna, a za wysokim, rzeźbionym oparciem jej krzesła stał majestatyczny lokaj. Po prawej ręce starej damy było miejsce pana Tarnowickiego, właściciela Tarnowie i ojca Adelki. Naprzeciw pana domu siedział pan Surewicz, tarnowicki rezydent, staruszek niskiego co prawda rodu, któremu jednak pan Tarnowicki okazywał największy szacunek, w młodości bowiem brał on udział w kościuszkowskiej insurekcji i walczył pod Maciejowicami u boku Naczelnika.

Obok pana domu zasiadała druga rezydentka, panna Cholewińska, kuzynka pana Tarnowickiego, dożywająca spokojnie starości w majątku kuzyna. Przy panu Surewiczu było miejsce Adelki, a dalej Valentine. Na szarym końcu widać było krótko ostrzyżoną czuprynę panicza Cezarego, dwunastoletniego urwisa, którego od niedawna dopuszczono do rodzinnego stołu.

Nad przystojnym zachowaniem chłopca czuwał preceptor, pan Bukowski, młodzieniec, nieokreślonego bliżej wieku.

Dzieciom nie wolno było odzywać się przy stole, Cezary jednak z trudem utrzymywał w ryzach wrodzoną żywość, a pan Bukowski nieraz aż spocił się z obawy, by wychowanek nie wyrwał się z jakimś głupstwem.

Naturalnie, gdy bywali goście, układ ten nieco się zmieniał. Młodzież zajmowała wówczas najodleglejszy koniec stołu i była najzupełniej wyłączona z ogólnej rozmowy. Ale w Tarnowicach goście nie bywali zbyt często, a jeśli czasem przy stole robiło się gwarno, to poważni biesiadnicy, przeważnie

w wieku pana domu, nie zajmowali się sąsiedzkimi plotkami, lecz dyskutowali o sprawach publicznych.

Wszyscy byli grzeczni dla Valentine i widać było, że nauczycielka z Paryża ożywiła nieco monotonię wiejskiego życia. Każdy powiedział jej coś miłego, nawet pan Surewicz, którego francuszczyzna z wiekiem uległa dziwnej przemianie, tak że Valentine domyśliła się raczej, niż zrozumiała wyszukany komplement, jakim ją obdarzył.

Najmniej zachwycony nauczycielką siostry okazał się Cezary, któremu także groziły lekcje francuskiego.

— Nie rozumiem, dlaczego wszyscy uczą się tego obrzydliwego języka — zwierzył się preceptorowi, gdy wstawano od stołu. — Uważam, że ta madmuazela powinna jak najprędzej wyuczyć się po polsku. To się jej na pewno bardziej przyda niż mnie francuszczyzna.

— Cicho — upomniał nieszczęsny pan Bukowski, patrząc z przerażeniem na pana Tarnowickiego, czy do jego uszu nie doszły przypadkiem bluźniercze słowa syna.

— Wolę uczyć się strzelać i robić szablą — zakończył bojowo Cezary.

Pan Bukowski pociągnął pupila do okna i tam strofował przyciszonym głosem.

Adelka uwiesiła się ramienia Valentine.

— Czy mogę przyjść do pani? — spytała przymilnie.

— Panna Delarose ma dziś dzień wolny na odpoczynek — upomniała babka.

Valentine chciała zaprotestować, ale księżna okazała się nieugięta.

Gdy przechodziła przez wielką sień, udając się na górę do swego pokoju, spotkała niemłodego człowieka, sługę pewnie, który pozdrowił ją po polsku, przyglądając się ciekawie i dość natarczywie nauczycielce. Gdy weszła na schody i obejrzała się, doszedłszy do pierwszego piętra, człowiek stał w miejscu, w którym go spotkała, z zadartą głową i nie spuszczał z niej oczu. Szybko zagłębiła się w korytarz, niemile zaskoczona tym zainteresowaniem.

Zasiadła do pisania listu do Madame Gavin, obiecała bowiem dobrej kobiecie, że natychmiast zawiadomi ją po przybyciu na miejsce oraz podzieli się pierwszym wrażeniem z nowej siedziby.

Kolację przyniesiono, jak dnia poprzedniego, do jej pokoju, a potem zajrzała Babette, za którą wsunął się wielki, czarny kocur o zielonych oczach i białej kryzce pod szyją. Babette kręciła się z miejsca na miejsce, kot ułożył się przy piecu mrużąc różaniec.

— Jak się panience wszyscy spodobali? — spytała pewne chwili. — Prawda, że jaśnie pan niezwykle wytworny? A jaki szlachetny! Drugi nie szanowałby tak świekry, zwłaszcza że żona nie żyje. A on zawsze księżną panią na pierwszym miejscu... Ona rządzi domem, jaśnie pan nie wtrąca się do służby.

— Czy dawno umarła matka Adelki?

— O, dawno. Przy urodzeniu jaśnie panienki. Ona, biedaczka, nie знаła matki, o nie. Od maleńkości babka... Kocha ją też księżna pani jak źrenicę oka. Nic dziwnego. Przedtem tak samo kochała córkę. Jedyńaczka była...

— To po śmierci córki księżna pani nie wróciła do siebie, a została przy wnuczce?

— Dokąd miała wracać, niebożatko? Mąż, książę Skirwult, roztrwonił majątek. Hulaka był i gracz, nic dobrego. Mało to łez przy nim wylała? A gdy wszystko stracił, w łeb sobie strzelił i koniec, a te dwie sieroty, żona i córka, to chyba z torbami miały pójść... I poszłyby, gdyby nie brat księżnej pani. Ulitował się i zabrał do siebie. Ale słodkiego życia tam nie miały, o nie, bratowa nie cieszyła się z gości. Tym bardziej że w domu były dwie córki na wydaniu, a śliczna Halszka robiła im konkurencję, bo choć bez posagu, to jednak ją wybrał pan Tarnowicki, a nie którą z kuzynek. Urody to już im Bóg poskapił, o tak, widziałam je kiedyś w kościele. Wyszły za męża, brzydule, wyszły, bo posażne panny, a młodzież, jak wszędzie tak i tu łasa na pieniądze. Ale darować jej nie mogły... Dużo się napłakała, biedaczka, oj dużo... Więc po jej śmierci księżna pani myślała, że będzie musiała opuścić Tarnowice, ale jaśnie pan nie taki, to prawdziwy pan... „Pani matka zostanie — powiada — chować dziecko, a i domem zarządzać, nie zostawi tak mnie samego”. Księżna pani aż oniemiała ze szczęścia, bo dziecko to wszystko, co jej pozostało po córce, jak gdyby ta sama córka drugi raz w dzieciństwie. Pan Tarnowicki dał jej wolną rękę w wychowaniu jaśnie panienki. Dziecko

przymilne było i przylepne, aż dziw, wszystkich za serce chwyciło. Taka sama do dziś, a z babką wszystko robi, co zechce, choć księżna pani surowa i innym nie pobiła.

— Jeśli matka Adelki umarła przy jej urodzeniu — wtrąciła Valentine — to Cezary?...

— Cezary to syn z trzeciej żony.

— Z trzeciej żony?

— Tak, pan Tarnowicki był żonaty trzy razy. Przeżył wszystkie trzy żony, biedny on, biedny.

— Trzy żony!

— Ano tak. Widać to mu było sądzone. Jeden nie ożeni się wcale, a drugi trzy razy próbuje szczęścia.

— I Babette tu cały czas... i wszystko to widziała?

Jak teraz widzę panienkę. Mówiłam już, że ja tu trzydzieści lat. Kawał życia. Przywiązałam się do Tarnowic, to mój dom. Gdzie bym poszła? Ja gorzej niż księżna pani. Chyba na inną służbę... ale takich ludzi ze świecą szukać... I jaśnie pan ulitował się, kazał zostać, ot i mam dożywocie, spokój aż do śmierci, a potem godziwy pochówek, a i o duszy nie zapomną, i na mszę dadzą, i „wieczny odpoczynek” nieraz odmówią. Oni tu już tacy... Ma panienka szczęście, że do takiego domu trafiła, oj ma, mało to ja w okolicy nauczycielek z Paryża widziałam? Jaśnie państwo fochy pokazywało, jak służbę traktowało. W Tarnowicach potrafią uszanować człowieka, oj potrafią i żaden despekt panienki nie spotka. Co do tego to z jaśnie panem żartów nie ma. Co prawda

panienka też nie pierwsza lepsza... Nie to co poprzednia guwernantka, panna Pallassier. W Paryżu byłaby najwyżej pokojówką i to nie w pierwszorzędnym domu, a za granicą uczyć jaśnie panienki jej się zachciało. Nieraz wstyd mi było. Bo to ani manier, ani wykształcenia, a wyobrażała sobie Bóg wie co. Buzia owszem, niczego, a i figurka zgrabna, ale to jeszcze nie wszystko. A najgorsze, że za wysoko mierzyła... Bo jeśli pragnęła wyjść za mąż, to niejednego tu by się znalazł, co z pocałowaniem ręki, tylko że nikomu nie życzyłabym takiego ziółka za żonę. Ale ona samego jaśnie pana... Widziała panienka podobną śmiałość? No, ale ja tu plotę, a panienka pewnie zmęczona. Jutro już lekcje. Panienka wybaczy, ale ze ciągnie do swego...

— Babette robi mi wielką przyjemność — zaprotestowała żywością Valentine. — Dziękuję za pomoc i tyle ciekawych wiadomości.

Trudno było zasnąć od nadmiaru wrażeń. Pan Tarnówki urósł do postaci jakiegoś Sinobrodego, trzykrotnie pokarany wdowieństwem, i rzeczywistość zlawszy się senną marą pobudziła wyobraźnię Valentine do najdziwniejszych majaczeń.

O tej samej mniej więcej porze co poprzedniej nocy budził ją tętent galopującego drogą konia. Leżała nasłuchując rytmicznego stuku kopyt. Kurier z ważną depeszą czy służący po doktora? Zasnęła, gdy tętent ucichł stłumiony odległością.

* *
*

Co się ze mną stało? Nie poznaję siebie. To ta choroba mnie rozkleiła. Bo co mam robić? Muszę leżeć, n malowaniu nie ma mowy. Połamane żebra zrosły się chyba dobrze, ale reszta... Dotąd jestem obolała i jak długo jeszcze... Tylko mi przykro, że taki robię Gieni kłopot.

I Valentine... Tak ni stąd, ni zowąd. Nigdy o niej nie myślałam, w ogóle nic mnie ta przeszłość nie obchodziła. I nagle... To z pewnością wstrząs wywołany wypadkiem, pobyt w szpitalu, osłabienie.

Dumna jestem z Babette, uważam, że mi się udała. Pragnęłam mojej biedaczce dać jakąś życzliwą, swoją duszę na obcej ziemi. Inaczej zbyt byłaby samotna wśród jaśnie chlebobawców. I pomyśleć, że dziś obchodzimy Dzień Nauczyciela!

Cyryl wpadł tylko na chwilę, tuż przed kolacją. Gienia zatrzymywała go, by został na herbacie, ale odmówił. Spieszył się. Kilka razy spojrzął na zegarek, nie pogłodził Aresa i w ogóle był nie taki jak zawsze.

Nie zadawałam żadnych pytań. Widocznie ma kłopoty z Anielą.

Na pożegnanie pocałował mnie w głowę.

— Bardzo mi cię brak w Warszawie — mruknął w moje włosy i już go nie było.

Kolację jemy u mnie, żeby „rozerwać chorą”, jak mówi Gienia. Do łóżka przysuwa się stolik, Stefan i Gienia zasiadają tuż blisko i jest mi wtedy naprawdę bardzo przyjemnie.

Gdy Gienia ułożyła Romka i schodziła na dół, wrócił Julian.

Tak wszyscy odwykli od jego widoku o tej porze, że wejście chłopca wywołało prawie konsternację.

Stefan chciał rozpocząć obiecaną „rozmowę”, ale Gienia nie dopuściła go do głosu.

— Teraz kolacja — oznajmiła kategorycznie. — Dajcie nam zjeść spokojnie.

Julian jak zwykle chmurny i milczący usiadł tuż przy moim łóżku, pewny, że tak blisko gościa nie grozi mu ze strony ojca żadne energiczniejsze wystąpienie.

— Cóż tak wcześniej? — zagadnął Stefan z sarkazmem. — Myślałem, że wykłady na politechnice odbywają się nocą?

Julian popatrzył spode łba i nic nie odpowiedział, tylko prędko wpakował do ust ogromny kawał bułki z pasztetem.

— Co nowego w Warszawie? — wołałam uprzedzić dalsze ataki rozgoryczonego rodzica.

— Wszystko po staremu — burknął nie zachęcająco. — Ohydna pogoda. Zmarzłem na kość, tak długo czekałem na autobus. Gdy się mieszka na tej cholernej wsi, należy mieć własne auto.

— Im prędszej skończysz studia, tym będziesz bliższy samochodu — zauważył filozoficznie Stefan. — Ale wałęsanie się, Bóg wie gdzie, nie pomaga w nauce.

Gienia szybko podsunęła pasierbowi salaterkę z czerwoną kapustą.

— Weź do pasztetu — powiedziała pojednawczo, i patrząc jednocześnie karcąco na męża.

— Dobrze, dobrze — mruknął ten ostatni.
— I tak się jeszcze do niego dobiore.

Julian, jak gdyby przeczuwając nadciągającą burzę, szybko wypił herbatę i wstał.

— Dziękuję — powiedział nie patrząc na nikogo z nas. — Pójdę do siebie, mam jeszcze przygotować na jutro...

— Chyba co dzień masz coś przygotować, tylko tego nie robisz — posłał za nim Stefan zatrutą strzałę.

— Zostaw go — zdenerwowała się Gienia.
— Niech raz pójdzie wcześniej spać.

Gienia ma, jak się to mówi, „gołębie serce” i nie znosi żadnych utarczek słownych, uważa, że dobrocią można ugłaskać najkrwawszego nawet tygrysa. Jeśli chodzi o wychowanie dzieci, Bóg jeden wie, jakie ta metoda przyniesie rezultaty!

Czy ty, kobieto, tego nie rozumiesz — uniósł się Stefan — od paru miesięcy chłopiec bywa gościem w domu! Co ja właściwie o nim wiem? Nic. Gdzie spędza całe dnie, co robi? Wątpię, by na politechnice. Za tym się kryje jakaś dziewczyna albo coś o wiele gorszego.

— Uspokój się, dziewczynę przecież znamy.

— Jaką dziewczynę?

— No, tę Werę czy Weronikę, taka ruda... Pamiętasz, przyjechała tu któreś niedzieli. Nie było Juliana i czekała na niego.

— Ach, ta rozkuślana...

— Ma bardzo dużo włosów — Gienia przyglądała krótko ostrzyżoną grzywkę. —

No, przestań już gderać, odbierasz Wali apetyt.

— Gdy będzie miała dzieci... — zaczął Stefan. — Kto znowu grzebał na moim biurku?

— Nikt nie grzebał. Przecież Romek...

— Romkowi zapowiedziałem raz na zawsze, że nie ma prawa nic ruszać!

Gienia spogląda wymownie na męża.

— W jego wieku Cyryl był jeszcze gorszy — mówię pojednawczo. — A jednak coś z niego wyrosło.

— Cyryl jest naszym najlepszym reżyserem filmowym — oburza się Stefan — a Romek...

— Z Romka może być coś jeszcze lepszego — przerywam — a Gienia jest tak dobra, że rozpuściłaby najpotulniejsze jagnię.

Stefan wstaje wzdychając.

— Dobranoc — mówi od progu i ogląda się za żoną.

Wyciągam się wygodnie i zamykam oczy. Tyle mam różnych spraw do załatwienia, a jestem unieruchomiona. Grudzień na nosie, zaraz Święta... Czas najwyższy pomyśleć o prezentach! Poproszę Cyryla... Noga jak gdyby trochę się uspokoiła. Może dziś zasnę? Ale przedtem prędko do Tarnowic...

Wieczór trzeci

Raz, dwa, trzy, raz dwa, trzy... uważaj, Adelko, to przecież polonez. Nie opuszczaj prawej ręki, inaczej nie wyjdzie ci ten trudny pasaż. A dlaczego tak odstawiasz lewy łokieć? To brzydko. I trzymaj się prosto. Musisz ładnie wyglądać przy klawikordzie.

Ściany tak zwanego małego salonu wypełnia tęskna melodia „Pożegnania Ojczyzny”. Za oknami bezgłośniejszy akompaniament padającego wolno śniegu.

Adelka prostuje się na twardym krzeselku, przyciska do boku lewy łokieć i posłusznie powtarza pracowity pasaż.

— Czy teraz dobrze?

— Dobrze — Valentine uśmiecha się do uczennicy. Po ostatnim akordzie dziewczynka opuszcza ręce.

— Smutny ten polonez i smutna zima — mówi ze wzrokiem utkwionym w ośnieżonych drzewach parku. — Jedyne pociecha to nadzieja, że już niedługo Święta.

— Jeszcze dwa tygodnie.

— Dwa tygodnie! — wzdycha Adelka.

— Mamy wiele pracy, trzeba zrobić nowe łańcuchy na choinkę, no i zapomniałaś o prezentach.

— Prezenty — powtarza melancholijnie Adelka.

— Musisz wyhaftować tę sakiewkę dla ojca — przypomina surowo Valentine — a dla Babuni wykończyć koronkę przy chusteczkach. I wcale nie myślisz o bracie.

— O bracie...

— No tak, przecież Cezary musi dostać od ciebie prezent.

— Tak, Cezary...

Valentine patrzy z uwagą na dziewczynkę.

— Co ci jest? Boli cię głowa?

— Nie, nie, tylko te prezenty...

— Nie ma się czym tak przejmować. Na pewno wymyślimy coś ładnego.

— O, pani z pewnością wymyśli — Adelka rozpogadza się momentalnie.

— Może jeszcze raz zagrasz tego poloneza?

— Wolałabym nie. Wie pani, chciałabym coś powiedzieć. Pani taka dobra, a ja jak gdybym panią oszukiwała... Tak mi się zrobiło przykro.

— Co się stało, Adelko? O czym ty mówisz?

— Bo pani wszystkiego nie wie, o tym nikt nie mówi, nawet służba.

— Jeśli to jakiś rodzinny sekret... — przerywa Valentine.

— Nie, nie, to nieszczęście. Dlatego papo taki smutny. Ja mam... jeszcze jednego brata.

— Może papo nie chciałby, byś mi o tym mówiła?

— Och nie, dlaczego? O tym w ogóle się nie mówi, ale wszyscy to wiedzą. Zresztą pani... — Adelka zniża głos do szeptu. — On tu jest, mieszka tam — ręka dziewczynki

wysuwa się ku jednej ze ścian małego salonu.

— Tam? — głos Valentine wyraża niedowierzanie. — I nigdy nie wychodzi? Nie pokazuje się przy stole?

— Nie. On nie może... on nie chodzi...

— Nie chodzi?

— Nie, to kaleka. — Adelka ogląda się trwożnie. — Strasznie go się boję. Taki zawsze ponury. Kiedy to się stało, podobno chciał się zastrzelić. — Dziewczynka wstrząsa się nerwowo. — Przy papie nie wolno o nim wspominać, bo papo robi się jeszcze smutniejszy. Biedny papo, taki dobry...

— To rzeczywiście wielkie nieszczęście. Dobrze, że mnie uprzedziłaś, mogłabym kiedy powiedzieć niechcący coś niezręcznego.

— Pani nigdy nie powie nic niezręcznego — Adelka jest pełna uwielbienia dla zalet nauczycielki.

— I on tak zawsze sam... ten twój brat?

— Zawsze. Nikt tam nie wchodzi. Jego pokoje są na parterze, na lewo od tarasu. Latem siaduje w fotelu przy balustradzie, ale wtedy nikomu nie wolno tam chodzić. On nie lubi, żeby go widziano...

— Tak, to wielkie nieszczęście — powtarza Valentine.

— Opiekuje się nim Dominik. Od dawna u niego służy... wierny jak pies... On tylko znosi przy sobie Dominika, to jego ulubiony

sługa. Ale ja go nie cierpię, brr... — wzdryga się dziewczynka. — Okropny zrzęda!

— Chyba spotkałam go w sieni — przypomina Valentine. — To już starszy człowiek, prawda? W tabaczkowym ubraniu?

— Tak, to on.

— Zawsze mi się dziwnie przygląda...

— On się wszystkim przygląda. Bardzo podejrzliwy. Jak smok strzeże dostępu do swego pana. Ale papo go ceni i uważa, że Dominik to skarb wśród służących, taki oddany...

— To doprawdy ogromna zaleta.

— Strasznie zuchwały i gderliwy. Brat źle sypia, a Cezary czasami hałasuje, więc Dominik zrzędzi, każe, by był cicho, mówi, że brat śpi, bo w nocy nie mógł zmrużyć oka. Na mnie też czasem krzyczy, nie pozwala grać na klawikordzie czy śpiewać... Skarżyłam się już papie...

— A co pan Tarnowicki?

— Papo uważa, że Dominik ma rację, i kazał mi być posłuszną. — Twarzyczka Adelki pochmurnieje.

— Papo uważa, że Dominik ma rację, i kazał mi być posłuszną. — Twarzyczka Adelki pochmurnieje.

— Jeżeli twój brat chory...

— Ma bóle w nodze.

— Więc widzisz, on cierpi.

— Ale wszyscy nie mogą chodzić z ponurymi minami jak na pogrzebie! Byłby mniej chory, gdyby tak unikał ludzi. Przecież kiedyś miał przyjaciół... a teraz jak odludek...

— Bo jest bardzo nieszczęśliwy. Ty tego nie rozumiesz.

— Sam sobie winien — wybucha Adelka.
— Papo i najwięcej kocha, bo to syn najstarszy, dziedzic... a on tak się odwdzięcza!

— Adelko, brzydko tak mówić, przecież papo i ciebie bardzo kocha.

— Musi mnie kochać, bo to mój papo, ale...

— Nie powinnaś nawet myśleć takich rzeczy. Naprawdę nieładnie.

— Przecież ja nic złego...

— I do tego twój brat...

— Przyrodni.

— Wszystko jedno, ale brat. On też Tarnowicki.

— Kiedyś Tarnowice będą jego, ale mnie tu nie będzie!

— Nic nie wiadomo. A jeżeli nie wyjdiesz za mąż?

— Mam nie wyjść za mąż? Ja?

— Niedawno mówiłaś, że wcale nie pragniesz dostać męża.

— Och, proszę pani, czyż mam. zostać starą panną?

— Ja jestem starą panną i żyję.

— Pani... Przecież pani nie jest stara!

— Ale kiedyś będę.

— A ja...

— Ależ Adelko, nie rozumiem, czego się lękasz? Wiesz, że jesteś śliczna i konkurentów zjawi się bez liku. Ktoś ci na pewno sądzony.

— Wierzy pani?

— Naturalnie.

Adelka przysuwa twarz do policzka Valentine.

— Będziemy wróżyć w Wigilię, dobrze?

— Wróżyć?

— Tak, zobaczy pani, jak to się robi. U nas dziewczęta wróżą. Ale to straszno... bardzo straszno...

Gong zwołujący domowników na obiad przerywa rozmowę.

Tego dnia nastrój przy stole był jeszcze bardziej ponury niż zwykle. Coś dodatkowego gnębiło czy niepokoilo pana domu, ale z rzuconych tu i ówdzie uwag Valentine nie mogła nic wywnioskować. Na przeszkodzie stała nie przewyciężona dotąd bariera językowa.

W sieni znowu spotkała Dominika. Ukłonił się uniesieniem, ale w bystrych oczach nie było pokory. I znowu stał i patrzył, jak wchodziła po schodach. Doprawdy irytujące. Może biedak był niespełna rozumu, skazany na wyłączne towarzystwo ponurego kaleki? A więc i Tarnowice, jak tyle starych domów, miały swój sekret. Czemu jednak Babette?... Ona, taka gadatliwa... Tyle już naopowiadała o losach chlebobawców, a o synu ani słowa. Dziwne...

Czekała niecierpliwie wieczoru i wizyty starej Francuzki. Babette przyszła, gdy już straciła nadzieję, że przyjdzie, i rozebrana zakrecała papiloty.

— Pomogę pani — ofiarowała się dawna pokojowa.

Zręczne palce rozdzielały długie pasma włosów i nawijały je na kawałki cienkiego papieru.

— Dlaczego najstarszy syn pana Tarnowickiego jest kaleką? — spytała nagle Valentine patrząc w lustro w oczy rodaczki.

Babette nie odwróciła wzroku.

— Więc panienska wie?

— Wiem. Czy to tajemnica?

— No, nie, wszyscy o tym wiedzą, cała okolica.

— Ale Babette nie mówiła...

— Nie mówiłam, bo to smutek, niedola, bo to syn

mojej najdroższej pani...

— Pierwszej pani Tarnowickiej?

— Tak, pierwszej pani Tarnowickiej, tej, którą jaśnie pan tak kochał i uwielbiał. Jaka piękna była z nich para! Pamiętam, ubierałam ją do ślubu. Stała cała bieli i tak patrzyła gdzieś nad moją głowę, i nagle mówi: „Prawda, Babetko, że mój Stach wspaniały?” „Wspaniały, proszę jaśnie panienki — odpowiadam — godny narzeczony”. A ona dalej: „Jestem taka szczęśliwa, taka szczęśliwa... Będziemy się kochać całe życie, zawsze”.

— Kiedy umarła? — spytała cicho Valentine.

— Po dziesięciu latach szczęścia. Pan Tarnowicki całował ślady jej stóp, odgadywał każde życzenie. Nie było bardziej kochającej się pary w całej okolicy. I nagle... Zaziębiła się. Zapalenie płuc trwało tylko tydzień i już po niej... Ledwieśmy od zmysłów nie odeszli! I oni dwaj, sieroty... mąż i syn... Jaśnie panicz miał dziewięć lat. Cóż to było za dziecko! Zresztą nic dziwnego, syn takich rodziców... Ciężko to wspominać, oj ciężko! Cośmy wtedy przeżyli, tylko jeden Bóg wie...

— Czy dziecko było kaleką?

— Skądże! Chłopczyk zręczny i zwinny jak fryga! Chwili nie usiedział. Byłam wówczas młoda, wesola, nieraz bawiliśmy się w chowanego, biegali po całym pałacu, a śmiechu było przy tym...

Babette otarła oczy batystową chusteczką i ciężko westchnęła.

— Figlarz był z jaśnie panicza, ale nikomu nie dokuczył... serce złote... to po rodzicach... Jaśnie pani umierając powtarzała: „Mój Janek, strzeżcie mego Janka, żeby nigdy nic złego...” Po tych słowach stara Francuzka rozplakała się.

— Panienka wybacz, ale zbyt ciężko to wspominać...

— O, jak mi przykro, Babette, ale ja nie przez prózną ciekawość... Nie wiedziałam, że to tak bolesne wspomnienia...

— Rozumiem, panienko, rozumiem, to nic. Pójdę już sobie. Dobrej nocy panience życzę. Chodź, Marcinie, chodź spać.

Kot Marcin wstał posłusznie, wygiął grzbiet, przeciągnął się i wolno ruszył do drzwi.

Valentine została z nową porcją wrażeń do przemyślenia.

Babette nie pokazała się przez kilka następnych dni i Valentine robiła sobie wyrzuty, że niepotrzebnie sprowokowała te zwierzenia. Widocznie najstarszy syn tego domu był rodzajem „tabu” w Tarnowicach i wszelkie zainteresowanie jego osobą było tu bardzo źle widziane. Popelniła więc wielki nietakt, pierwszy, jaki sobie uświadomiła, a

najgorsze, że była przecież pełna życzliwości dla pana Tarnowickiego i jego rodziny, i nie chciała nikomu sprawić najmniejszej choćby przykrości. Ale trudno, stało się. Właściwie winna była Adelka, bo i po co pobudziła jej ciekawość? Ale Adelka jest jeszcze dzieckiem, i uchodzi jej to, na co ona, Valentine, nie powinna już sobie pozwalać.

Myśli te dręczyły ją przez cały czas aż do owego poranka, gdy schodząc do małego salonu na lekcję muzyki posłyszała gwar licznych głosów w sieni i postukiwanie kopyt końskich o twardo ubity śnieg podjazdu. Przechyliwszy się przez poręcz schodów ujrzała grupę oficerów w pruskich mundurach. Na przyjęcie gości wybiegł ów starszy jegomość, intendent pana Tarnowickiego, co tak przyjemnie powitał ją w jej rodzinnej mowie. Teraz też rozmowa toczyła się po francusku i Valentine, cofnąwszy się, mogła wysłuchać, o czym mówiono.

Pan Nowiak, intendent, zapytał najuprzejmiej, czym może służyć, na co elegancki adiutant odparł butnie:

— Jenerał baron von Gulbin pragnie widzieć się z panem Tarnowickim. Proszę zameldować.

Pan Nowiak skłonił się i otworzył drzwi salonu.

Po chwili ukazała się wysoka postać pana domu, który bardzo grzecznie, lecz chłodno

spytał, czemu zawdzięcza zaszczyt tej wizyty.

Goście weszli do salonu i drzwi zamknęły się za generałem i adiutantem. Reszta świty pozostała w sieni.

Valentine stała jeszcze niezdecydowana, gdy otwarły się przeciwległe do salonu drzwi i wyszedł Dominik, ale dziwnie przygarbiony i postarzały. Oficerowie pobrzękując ostrogami rozstąpili się, by go przepuścić. Dominik powoli przesunął się między nimi i zniknął na tyłach domu.

W tym momencie na korytarzu mignęła popielata sukienka Adelki i jej ciemne warkocze. Udała więc, że właśnie wyszła od siebie i od razu zaprosiła uczennicę do szkolnego pokoju.

— Nie będziemy teraz grały — powiedziała nerwowo Adelka. — Papo ma gości, pruscy oficerowie, widocznie znowu coś się stało...

— Stało się coś?

— Tak, tu się dzieją różne rzeczy, ale o tym nie trzeba rozmawiać. Tak przykazał papo...

— Jeszcze w Paryżu czytałam o nieszczęściach Polski, o rozbiorach... — zaczęła Valentine.

— Ja byłam wówczas mała i nie bardzo pamiętam powstania w Królestwie i wojny.

— Takich rzeczy lepiej nie pamiętać.

— Wtedy właśnie on chciał się zastrzelić...

— Twój brat?

— Tak, bo nie mógł iść do powstania. Mówili, że wojna tam była straszna, pani szczęśliwa, we Francji...

— Dlaczego? I we Francji przeżyliśmy bardzo wiele. Urodziłam się jeszcze za cesarza Napoleona, potem pamiętam rok 1815, upadek Cesarstwa i powrót Burbonów, potem wojnę, głód i ciężkie dni w Paryżu, a w piętnaście lat później rewolucję lipcową i wstąpienie na tron panującego nam do dziś króla Ludwika Filipa. Widzisz, ile zmian, a każda niosła za sobą prześladowania zwolenników poprzedniego reżymu.

— Tak wiem. Papo czytuje gazety, ale mnie to nie bawi. Tyle jest ciekawszych rzeczy niż te okropności. Wojna dobra dla chłopców. Na przykład Cezary... marzy o szabli i o pistoletach.

— Cezary to dziecko i dla niego wojna jest zabawą.

— Nie cierpię wojny. Chcę jeździć do Paryża, kupować piękne suknie i nosić perły po mamie.

— Na pewno spełnią się twoje życzenia. Ale nie tylko bale i toalety w życiu najważniejsze...

— Pani mówi jak babunia. Przecież pani też chciałaby chodzić na bale, no nie?

— Owszem, chciałabym, ale to niemożliwe. Dlatego staram się zadowolić tym, co mam, i czuję się szczęśliwa. A ty z tak kochającą babunią i dobrym papą powinnaś Bogu dziękować. No, dość tej gadaniny, zabieramy się do dyktanda. Przygotuj zeszyt; czy pióro zaostrzone?

Adelka pochyła się nad białą stronicą, oblizuje pióro, a następnie moczy je w atramencie.

— Podyktuję ci początek jednej z ostatnich powieści pana Balzaka. Powieść co prawda

nie dla ciebie, ale pan Balzak ma doskonały styl.

Dyktando przerywa w połowie gwar dolatujący z dołu, brzęk ostróg i rżenie koni.

Adelka zrywa się i biegnie do okna.

— Odjeżdżają — mówi z ulgą. — Pan Nowiak wyprowadza ich za próg. Biedny papo, pewnie znowu będzie zdenerwowany.

Vnlentine, kryjąc się za firanką, staje obok uczennicy.

Oto generał w podbitym futrem płaszczu wsiada do sanek, przy których stoi wyprostowany jak struna żołnierz. Generał, widać, jest zadowolony z rozmowy panem Tarnowickim, nawet się uśmiecha do adiutanta i patrzy łaskawie na pana Nowiaka, który kłania się ceremonialnie. Więc może to nic złego, Adelka pewnie przesadza...

Z chrzęstem i tupotem kopyt goście odjeżdżają. Podjazd pustoszeje. Pan Nowiak wchodzi do domu, słycać stuknięcie ciężkich drzwi wejściowych. Po chwili wyskakuje służący z miotłą i szuflą, i oczyszcza podjazd z końskiego nawozu. Znowu panuje ład i porządek, no i spokój.

Adelka wraca do dyktanda.

* *
*

Noc miałam fatalną. Nigdy jeszcze nie czułam się tak źle. Połamane zebra bolały przy każdym oddechu, a noga, która z

wieczora przycichła, zaczęła rwać jak obierający się palec.

Koło południa trochę się zdrzemnęłam, a obudził mnie Cyryl. Przyjechał simką Dodka, bardzo z siebie zadowolony.

— Wieczorem jadę do Łodzi — oznajmił na wstępie. — Plenery w Wilanowie zakończone.

— Jak ci idzie?

— Chyba nieźle.

— Aniela dobra?

— Doskonała. Jak gdyby od urodzenia chodziła w stylowej sukni, a nie w mini spódniczce.

— Mini nie dla niej — zauważyłam cierpko. — Ma za grube nogi.

— Czyżby? — zdziwił się. — Nie zwróciłem uwagi.

— A reszta aktorów?

— Staram się, by nie psuli widowiska. Ale atmosfera jest raczej dobra.

— Długo będziesz w Łodzi?

— Wracam pojutrze. Wnętrza kręcimy dalej w Wilanowie.

Pod drzwiami zapiszczał Ares powracający ze spaceru. Przywitał się z Cyrylem i wskoczył na łóżko.

Gienia wniosła naczynia i zaczęła nakrywać do obiadu.

— Było jeszcze parę kawałków szarlotki — powiedziała w pewnej chwili. — A teraz szukam i nie ma...

— Na twoim miejscu zapytałbym Romka — zauważył Cyryl.

— O co chce go pan zapytać? — Romek stał w progu z błyszczącymi oczami i w zabłoconych butach.

— O szarlotkę — wyjaśnił cierpliwie Cyryl.
— No, powiedz, dobra była?

— Zostało pięć kawałków. Nie wolno mi otwierać kredensu.

— Ale otworzyłeś, co?

— Tylko raz i tak troszeczkę... ale szarlotki nie zjadłem.

— Romku, idź, umyj ręce i zmień buty — rozkazała Gienia, przerywając to „badanie drugiego stopnia”.

Obiad minął w dość ponurym nastroju. Chłopiec, wyraźnie boczył się na Cyryla, Gienia wzdychała, a mnie od tego wszystkiego rozbolała głowa. Ares tylko nie zwracał uwagi na niczyje humory i spał, wyciągnięty na grzbiecie, z łapami do góry.

Kawę piliśmy we dwoje z Cyrylem. Gienia zabrała Romka do odrabiania lekcji. Ból głowy jednak nie minął.

— Zmęczona jesteś — Cyryl pogłodził mnie po rękę. — Pojadę już. U ciebie wszystko w porządku. Wstępuję prawie co dzień podlać kwiaty. Epiphyllum obsypane pączkami. Postaraj się teraz zasnąć.

To rzeczywiście doskonała rada. Po dzisiejszej nocy najlepiej zrobi mi sen. Ale przy takim bólu głowy niełatwo zasnąć.

Dziś Andrzejki... Julian nie wróci na noc. Urządzą wieczorek na politechnice. Jak wspaniale bawiłam się na Akademii... A jeszcze przedtem u Gieni...

Wieczorem, przy kolacji wspominamy te czasy polne wróżby.

— Pamiętasz — mówi Gienia — tę naszą służącą, wilniankę? Ile ona знаła wróżb!

— Bałyśmy się okropnie — odpowiadam. — Najgorsze były wróżby z lustrami.

— Jakie wróżby z lustrami? — Stefan okazał niebywale u niego zainteresowanie.

— Pokażę ci po kolacji — Gienia nałożyła mężowi nową porcję makaronu zapiekanego z jabłkami. — Teraz jedz.

— Nazywała się Cesia — przypominam.

— Tak. Tej nocy stawiała zawsze przy moim łóżku szklanę z wodą. Mówiła, że przyśni mi się ktoś, kto będzie tę wodę pił i że to ma być mój przyszły mąż. Ku mojej rozpaczy nikt nigdy mi się nie przyśnił.

— Co z nią się stało?

— Z Cesią? Wyjechała na Ziemię Odzyskane do syna. Kiedyś nawet pisała, ale potem zgubiłam jej adres. Zjesz jeszcze makaronu?

Gdy zostaję sama, zaczynam myśleć. Cyryl jest już w Łodzi. Czy pójdzie z Anielą na Andrzejki? Czy będą wróżyć? Anieli od dawna jest nim wyraźnie zajęta, jeszcze od tamtego filmu. A on?

No, ale na mnie czas.

Cyryl pojechał do Łodzi w sprawach swego filmu, a ja muszę myśleć o tym, który właśnie kręcę. Wątpię, czy u Cyryla tak wszystko gra jak w moim Hollywoodzie.

Troszkę fantazji, do licha, niech wyobraźnia pracuje, mimo że nie jest w tej wytwórni na etacie. Podmalujmy tło historyczne epoki, stosunki panujące w ówczesnym zaborze pruskim tuż po upadku powstania

listopadowego. Nie mam pod ręką żadnej właściwej książki, a powinnam przecież poczytać coś o tych czasach. To wszystko wina choroby. Bez najmniejszej pomocy naukowej muszę odtworzyć epokę. Czy dwa nędzne szkice Valentine mam uważać za wystarczający materiał przygotowawczy do filmu? Wielkiego, kostiumowego filmu przygodowego, którego akcja toczy się w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku?

Mam pomysł. A gdyby tak rzucić na papier wnętrza, dekoracje, a następnie osoby, które w moim filmie poruszają się i żyją? Zaraz jutro poproszę Gienię o moje kredki, a Juliana chociaż o Małą Encyklopedię. Zrobię wszystkie portrety po kolei. W kostiumach. Z epoki.

Wieczór czwarty

Korytarzem pędził Cezary, wymachując drewnianym pałaszem, Valentine omal nie padła ofiarą rozbrykanego chłopca.

— Jestem Dwernicki pod Stoczkiem!

— Pozwól mi przejść.

— Przepraszam — Cezary opuścił broń. — Dziś lekcji nie ma, dziś Wigilia — oznajmił triumfująco.

— Tak bardzo nie lubisz lekcji?

— Ee, można wytrzymać, choć francuski to głupi język

— Dlaczego głupi?

— No, bo taki jakiś wykręcony... nie to co polski. Stół to stół, okno to okno, a tu jakieś la table, la fenetre... do niczego nie podobne.

— Dla mnie na przykład polski jest trudny i niezrozumiały. Ale nigdy nie powiem, że głupi. A po francusku rozmawia pan Chopin, mieszkający w Paryżu. Pamiętasz, jak ci się podobał jego walc, który grała Adelka?

— Niech się pani nie gniewa, przecież gadam po francusku.

— I to wcale nieźle.

— Wolałbym jednak rozmawiać z panią po polsku. Powinna się pani nauczyć.

— To bardzo trudny język.

— Francuski trudniejszy. Po polsku mówi się „woda” i pisze „woda”, a po francusku mówi się „o”, a pisze się „eau”. Czy to ma sens?

— Francuski pochodzi z łaciny, jest bardzo starym językiem i przez wieki ulegał przemianom.

— Wolę już łacinę. Ksiądz proboszcz mnie egzaminował. Na przykład „mensa” i mówi się, i pisze mikowo. Będę pani dawać lekcje polskiego.

— Jestem ci ogromnie wdzięczna — uśmiechnęli! się ubawiona Valentine.

— Tylko zaczniemy po Świątach, bo teraz mam ważniejsze sprawy na głowie.

— Jakież to sprawy?

— Nie wiem, czy można pani powiedzieć... chodzi o Liberatora.

— O Liberatora? Któż to taki?

— To bohater. Wyswobadza więźniów, gdy ich odstawiają do granicy Królestwa. Jak dorosnę, to się z nim połączę, dopiero damy Prusakom pieprzu.

— Znasz go?

— Nikt go nie zna. Nosi maskę. Dlatego żołnierze byli w Tarnówkach, bo znowu wyrwał z rąk Prusaków dwóch patriotów skazanych za dezercję.

— I uratował ich?

— O tak, Liberator zawsze ratuje Polaków.

— A co Prusacy?

— Nic. Jeżdżą po całej okolicy i pytają. Ale papo się ich nie boi.

— I nazywa się Liberator?

— Jak się nazywa, nie wiadomo. Tak nazwał go ksiądz proboszcz za pierwszym razem. To po łacinie. Opowiadał Antoni, że gdy się o tym dowiedziano, ksiądz proboszcz podniósł do góry ręce i zawołał: „Liberator! Liberator!” I tak już zostało. Liberator to znaczy oswobodziciel, wybawca — dodał wyjaśniająco.

W tej chwili z jednego z pokoi wyszedł pan Nowiak. Musiał słyszeć ostatnie zdanie

chłopca, bo zbliżył się żywo do rozmawiających.

— Dzień dobry panience — pozdrowił uprzejmie. Co też panicz za głupstwa wygaduje, panienska pomyśli, Bóg wie co... Ma panicz fantazję, o ma, żeby tak lekcje dobrze szły... A gdzie to pan Bukowski?

Cezary spojrział spode łba na intendenta.

— Lekcje i lekcje — mruknął. — Czy to ja kołowrotek? A o Liberatorze to nie głupstwa, tylko święta prawda. Prusacy pytali papę, sam słyszałem. Ukryłem się w sąsiednim gabinecie.

Po czym, pokazawszy intendentowi język, skoczył na schody.

Nic było tego dnia obiadu, a wczesna wieczerza wigilijna zgromadziła przy wspólnym stole wszystkich domowników, nie tylko jaśnie państwo, ale i służbę. Pod tym względem w Tarnowicach panowały patriarchalne zwyczaje.

Valentine nigdy nie widziała nic podobnego.

Zanim wszyscy zasiedli do uczy, księżna, pan Tarnowicki i dzieci poszli przełamać się opłatkiem z kaleką; za nimi wysunęła się Babette, rzuciwszy Valentine porozumiewawcze spojrzenie.

Adelka po wizycie u brata straciła humor.

— Tam u niego jak w grobie — zwierzyła się Valentine. — Ciemno, palą się tylko dwie świece. Gdy musiałam go pocałować,

zamknęłam oczy. A Dominik stoi przy jego fotelu jak mumia. Na krok nie odszedł.

— Biedny on, taki nieszczęśliwy!

— Dlaczego? Przecież mógłby tu siedzieć razem z nami. Trudno, nie może chodzić, ale powinien znaleźć sobie inne przyjemności. A przede wszystkim oddalić Dominika. Sam jego wygląd doprowadza do rozpacz.

Valentine spojrzała ukradkiem na pana Tarnowickiego. Na niego też wizyta u syna podziała przygnębiająco. Szpakowatą głowę pochylał nad talerzem, a twarz złobiły głębokie bruzdy.

Księżna w czarnych koronkach miała żalobny smutek w oczach, a Babette mrugała powiekami, jak gdyby odganiając natrętne ły. Jeden tylko Cezary, wolny od wspomnień, bez przeszkód oddawał się przyjemnościom wigilijnego stołu i Valentine widziała, jak pan Bukowski musiał hamować zapał jego apetytu.

Adelka była coraz bardziej nerwowa.

— Uspokój się — napomniała nauczycielka. — I nie myśl już o tej wizycie. Widzisz, każdy człowiek inaczej przeżywa ciężkie chwile. Jedni godzą się z losem, inni nie, i jeśli twój brat...

— On jest straszny — Adelka poruszyła szczupłymi ramionami. — Wcale nie chciał z nami rozmawiać. Coś tam mruknął pod nosem, gdy papo zapytał, jak się czuje. A Cezary myszkował po całym pokoju, aż Dominik go skarcił. Bezczelny.

— Dlaczego? Cezary pewnie denerwował brata. Dominik zna najlepiej przyzwyczajenia swego pana, wie, co mu szkodzi. Z pewnością potrzebuje spokoju.

— O, ma go aż za wiele i myślę, że właśnie towarzystwo mrukliwego Dominika doprowadziło go do takiego stanu.

— Uspokój się — powtórzyła Valentine — księżna pani na nas patrzy.

Księżna rzeczywiście patrzyła na chmurną buzię wnuczki i oczy jej jeszcze bardziej posmutniały pod czarną koronką.

— Dziewczęta będą potem wróżyć — szepnęła w pewnej chwili Adelka. — Za mnie też powróżą.

— Czy można wróżyć za kogoś?

— O tak, w Wigilię można. One wróżą dla wszystkich. I o pani nie zapomną. Tej nocy Babette zawsze stawia w sypialni papy miskę z wodą i wiesza ręcznik, bo to bardzo ważna wróżba.

— Cóż to oznacza?

— Babette myśli, że papo jeszcze raz się ożeni. — Adelka zniżyła głos i spojrzała trwożliwie na pana Tarnowickiego. — Ale on tego nie zrobi, bo i po co?

— Adelko, nie wolno tak mówić o papie.

— Dlaczego? To mój papo i wszystko mnie obchodzi... A jeśli dostanę macochę, to co? Wcale sobie tego nie życzę. Jestem pewna, że papo się więcej nie ożeni. Spadkobiercą będzie Cezary, jeśli Jan nie zmielił trybu życia. A ja wyjdę za mąż, dostanę piękny posag i będę bardzo bogata, och!

Główka Adelki odskoczyła gwałtownie od Valentine, gdyż rozdzieliło je obciążone

rękawem liberyjnej kurtki ramię Antoniego, kamerdynera pana domu, który srebrnymi szczypcami obcinał knoty u świec wielkiego, czteroramiennego kandelabra.

— Doprawdy, Antoni mógłby uważać!

— Przepraszam, jaśnie panienko, ale świece kopcą — Odparł niewzruszony sługa.

Valentine obserwowała dyskretnie pana Tarnowickiego.

Co kryło się za chłodną wyniosłością, która udaremniała wszelką próbę spoufalenia? Trzy żony! To chyba wystarczy i Adelka miała rację...

— Taka pani zamyślona — pan Nowiak siedzący po lewej ręce nauczycielki podsuwał jej wazę z kompotem. — Pewno tęskni pani za swoimi?

— Nie, moi bliscy nie żyją, a tu dobrze mi jak w domu. Tacy wszyscy mili. Polacy to czarujący ludzie.

— Tak pani uważa?

— O tak. Jeszcze we Francji, gdy czytałam o klęsce powstania, o prześladowaniach... Zawsze współczułam Polsce.

Pan Nowiak pilnie zajął się kompotem.

— Czy to prawda, co mówił Cezary o tym jakimś, wyzwoliciele. Nazwał go po łacinie — Liberator.

Pan Nowiak tak niezręcznie położył łyżeczkę, że z brzękiem uderzyła o talerzyk.

— Cezary to dziecko. Nie należy brać poważnie wszystkiego, co mówi.

— Pan mi nie ufa?

— Skądże, Mademoiselle. Dlaczego miałbym pan nie ufać? Nie mamy nic do

ukrywania. Ale między ludem zwykle krążą różne podania i legendy, powtarzano przez wieki z pokolenia na pokolenie... Cezary słyszy co gada służba, i powtarza, dodając od siebie znane z bajek szczegóły. Pan Bukowski zostawia mu za wiele swobody na psoty.

— Co też pan mówi? — zaperzyła się Adelka pochylając się ku rozmawiającym. — Wszyscy wiedzą o Liberatorze, choć lepiej o tym milczeć, tak życzy sobie papo. Cezary to głupi smarkacz, co nie potrafi utrzymać języka za zębami, ale panie Delarose można wszystko powiedzieć.

— Nie wątpię, ale lepiej, panienko, słuchać się papy

— Panna Delarose nie jest szpiegiem — Adelka nie mogła opanować oburzenia.

— O czym tak państwo rozmawiacie? — pan Surewicz przyłożył rękę do ucha i poruszył siwymi wąsami.

— O wróżbach — Adelka uśmiechnęła się do staruszka.

— O gruszkach? A tak, wyborne w kompocie, wyborne. Już też pani Salińska umie przyrządzać owoce, umie...

Księżna wstała od stołu. Uczta wigilijna była skończona.

Dopiero późnym wieczorem udało się Adelce wymknąć do izb zajmowanych przez służebne dziewczęta. Valentine pospieszyła za uczennicą, niepewna, czy dobrze robi, pozwalając na tę eskapadę.

... co roku wróżą — broniła się Adelka. — Babunia o tym wie i nie zabrania. To naprawdę ciekawe!

Valenline była równie zainteresowana jak dziewczynka: i jej udzieliło się podniecenie, wywołane niezwykłym nastrojem wigilijnego wieczoru.

Na górze zastały już Babette z nieodłącznym kotem Marcinem, ocierającym się o spódnicę starej Francuzki. W środkowym pokoju ustawiono stolik, na nim duże lustro między dwoma płonącymi świecami.

Adelka zaśmiała się nerwowo.

— Już wszystko przygotowane, widzi pani? Tu się siada tak, żeby jedno drzwi mieć przed sobą, a drugie za plecami. Ja wszystko wiem, tylko się boję... I trzeba patrzeć w lustro, ot tak... a drugie lustro, mniejsze, trzymać naprzeciwko tamtego... o tak... i patrzeć, patrzeć... I być samą... I o północy...

— O północy tymi drzwiami wejdzie przeznaczenie - dodała poważnie Babette — ale na to trzeba odwagi, dużo odwagi.

Adelka siedziała nieruchomo, wlepiając okrągłe ze strachu oczy w lustro.

— Wejdzie tymi drzwiami z tyłu, zobaczę go w lustrze i będzie szedł, szedł, coraz bliżej...

— Kto?

— On, ten przeznaczony na męża. Coraz bliżej... i gdy stanie za plecami...

— Nie można dopuścić go za blisko — przerwała Babette. — Nie można, to bardzo niebezpieczne.

— Tak, bo on położy rękę na szyi i... zadusi.

— Dlatego należy odstawić małe lustro i zgasić świece. Widmo natychmiast zniknie. Ale przedtem trzeba dobrze mu się przyjrzeć, bo to ten sądzony...

— I Babette wierzy? — wtrąciła Valentine.

— Wierzę. U nas tak nie wróżą, o nie, ja się tu nauczyłam. Ale wiele widziałam, wiele... Dziewczęta zawsze wróżyły i zawsze wypadł im ten, co wszedł tylnymi drzwiami. W lustrze go widziały. Obejrzeć się nie wolno, to śmierć, ale widziały go wyraźnie... bu idzie powoli, bardzo powoli...

Adelka, jak gdyby dla dodania sobie odwagi, scisnęła rękę Valentine.

— Widzi pani, jakie to straszne... ale to jeszcze nic, gorzej jeśli sązione staropanieństwo lub klasztor, bo wtedy tylnymi drzwiami wsuwa się trumna...

Babette pokiwała głową z powagą.

— O tak, a niektóre, te, co poszły do klasztoru, widziały w lustrze różaniec.

Do stolika podeszła ładna dziewczyna z długimi, jasnymi warkoczami.

— To Cesia — wyjaśniła Adelka. — Będzie dziś wróżyć. Mówi, że się nie boi, ale ja nie wierzę...

— Chodźmy już, Adelko, nie przeszkadzajmy, będziesz się potem bała spać.

— Zawsze się boję, gdy Babette stawia tej nocy szklankę z wodą na moim stoliku.

— Szklankę z wodą? A po co?

— Bo mówi, że we śnie zobaczę, kto pije z tej szklanki. To będzie mój przyszły mąż. Ale nigdy jeszcze nikt mi się nie przyśnił...

Powoli schodziły ze schodów.

Na dole krzątała się jeszcze służba, porządkując salę jadalną i wielki salon, gdzie ustawiono wspaniałą choinkę. Z kuchni dochodził brzęk naczyń. Ktoś nucił kolędę.

Do sieni wbiegł lokajczyk w obszytej barankiem kurtce i coś krzyknął Antoniemu.

— Podano karetę na saniach — oświadczyła podniecona Adelka — Papo jedzie na Pasterkę.

— Sam?

— Nie, z panem Nowiakiem. Ale zaprzęgają kilka par i każdy, kto chce, może jechać, cała męska służba.

— Czy i Dominik?

— Dominik? Żadna siła nie wyciągnie go z domu. Na jedną chwilę nie zostawi swego pana, pilnuje go jak skąpiec szkatułki ze złotem. Czy to nie okropne?

— Widocznie brat twój nie może się bez niego obejść, nic zresztą dziwnego, w jego sytuacji...

W słabo oświetlonym korytarzu zabielał nagle czeppek Anny, pokojowej księżnej, i zafurkotały suto krochmalone spódnice.

— Księżna pani prosi jaśnie panienkę do siebie — powiedziała łamaną francuszczyzną i spojrzała przy tym z wyrzutem na Babette.

— Szukam i szukam im całym pałacu...

Adelka uwiesiła się ramienia Valentine.

— Dobranoc pani — pocałowała nauczycielkę w ucho. — Babetko, nie zapomnij o pannie Delarose. Musisz i jej powróżyć.

Kot Marcin niecierpliwił się u nóg swojej pani, rozglądając się trwożliwie, czy nie

wyskoczy skąd naturalny wróg kocięgo rodu, których kilka wspaniałych okazów kręciło się zwykle po domu.

— Jeśli Babette nie zmęczona... — zaczęła Valentine.

— Chętnie idę, chętnie — staruszka skwapliwie przyjęła zaproszenie. — W taki wieczór jak ten trudno zasnąć. Wspomnienia cisną się do głowy, opadają człowieka różne myśli... wracają dawne dzieje. Huczno tu się kiedyś bawiono, oj huczno — westchnęła. — Nie to co dziś...

— Wigilia była wspaniała — zauważyła Valentine. — Nigdy nie widziałam podobnej uroczystości.

— U nich taki zwyczaj. To samo było w rodzinnym domu mojej pani, znaczy pierwszej pani Tarnowickiej.

Kot Marcin wskoczył na kolana starej Francuzki, ale Babette nie pozwoliła mu ułożyć się do drzemki.

— Poczekaj — zawołała, stawiając zwierzę na podłodze — mam tu jeszcze wiele do roboty — po czyni zniknęła w przyległej garderobie.

Valentine położyła przy piecu poduszkę i wyciągnęła zapraszająco rękę. Kot Marcin chwilę namyślał się, zmrużył zielone ślepie, zastrzygł uszami i wreszcie skorzystał z propozycji. Mruczał przy tym z zadowolenia tak głośno, że słyhać go było w całym pokoju.

Babette tymczasem kończyła przygotowania.

— W misie świeża woda i powiesiłam czysty ręcznik — oznajmiła tajemniczo. — Niech panienka bardzo myśli przed zaśnięciem, a ukaże się ten, co na męża sądzony.

— Ależ Babette, ja nie wyjdę za mąż!

— A dlaczegóż to? — oburzyła się była pokojowa. — Taka piękna panienka miałaby zostać starą panną? Chłopy chyba oczu by nie mieli! Jaśnie panu też przygotowałam wróżby, tym razem parę potraw z wigilijnej wieczerzy. Ktoś się nimi tej nocy posili. Może to okaże się która z nieboszczek, wtenczas na mszę dać trzeba, za spokój duszy... Jaśnie panu to już żeniaczka nie w głowie.

— I pan Tarnowicki tak pozwala, aby Babette...

— Nie wie o tym, nie wie! — zawołała z żywością. — A kamerdyner Antoni mnie nie zdradzi. Ale to przecież trzeba, raz do roku wigilijny wieczór. Ile tu się zjeżdżało gości w Święta, jak tańczono! I moja pani najpiękniejsza ze wszystkich, w błękitnej sukni, cała lśniąca od brylantów... we włosach, w uszach, na szyi, na rękach. Było na co patrzeć, oj było, jaśnie pan mało oczu nie wypatrzył na to чудо. A gdy panicz podrósł, ile było uciechy z prezentów pod choinką! Na ostatnie święta dostał od mojej pani szczeniaka wodolaza. „Żebyś pilnował mego Janka” — powiedziała, podniosła psa

do góry i pocałowała w pyszczek. „Masz być zawsze przy nim”. Jak gdyby przeczuwała nieszczęście. Może gdyby żyła...

— I [co ten pies?

Wabił się Ares. Żył długo, a jak to się stało, to na chwilę nie odstał od panicza. A tak wył, wył... Umarł ze starości, miał chyba ze czternaście lat. Jaśnie panicz kazał pochować go w ogrodzie, miejsce oznaczone kamieniem.

— A właściwie, jak doszło do tego... nieszczęścia?

— Oj, dużo by tu gadać, dużo. Po śmierci jaśnie pani ja zajmowałam się paniczem. Jaśnie pan zamknął się u siebie i nie chciał nikogo widzieć. Drżeliśmy o jego rozum... Ale przezwyńczył rozpacz. Zostało mu przecież dziecko. Nie miał zamiaru żenić się powtórnie, nikt nie mógł zastąpić tej jedynej, ukochanej, ale po czterech latach wdowieństwa nagle zwołał nas wszystkich, całą służbę, i mówi: „Żenię się, będziecie mieli panią w Tarnowicach”. Piorun w nas uderzył. Więc ja zbieram się na odwagę i idę do jaśnie pana, do gabinetu. I mówię tak, a tak, co będzie z jaśnie paniczem sierotą, jaka okaże się ta macocha, przypominam słowa nieboszczki pani, gdy kazała strzec Janka. A jaśnie pan tylko spojrzał na mnie, że mi się płakać zachciało, i mówi: „Więc i ty, Babetto, uważasz mnie za zdrajcę, za wietrznika, co z

krzywdą dziecka za pannami goni?" Pod ziemię chciałam się skryć ze wstydu. Coś tam zaczęłam mamrotać, ale jaśnie pan nie pogniewał się, wstał z fotela, podszedł i w głowę mnie pocałował. „Ty moja wierna Babetko — mówi. — My z tobą razem strzeżemy Janka, on mój skarb". I księżna Skirwułtowa z córką zamieszkały w Tarnowicach. Księżna pani zaprowadziła ład i porządek w domu, bo służba rozprzegła się trochę przez te lata, a córka jej razem z jaśnie paniczem biegała po parku, bo była z nich para dzieciaków. Kazała mu nazywać się po imieniu i jaśnie pan rad był, że chłopiec miał kobiecą, prawie matczyną rękę nad sobą. Ale krótko to trwało. Po roku biedna Halszka umarła w połogu. Wszyscyśmy ją szczerze opłakali, bo była łagodna i nikomu ostrego słowa nie powiedziała. I znowu jaśnie panicz biegał sam, a ja czuwałam, czuwałam... Rósł przy tym, męźniał, wdał się w jaśnie pana, tak samo wysoki i zgrabny, tylko oczy wziął po matce i uśmiech, którym wszystkich rozbierał. Ojciec posłał go wreszcie z preceptorem za granicę, dla dopełnienia edukacji, i lat kilka go nie było. Wtedy to jaśnie pan ożenił się po raz trzeci. Dlaczego to zrobił, nie wiadomo. Nie wiem, czym ujęła go panna pułkownikówna, bo ładna nie była ani majątna, ani talentów żadnych nie miała, ale pytać wtedy już nie śmiałam.

Musiał mieć jakieś swoje racje, na pewno słuszne. Ojciec jej był wielkim patriotą, zasłużonym dla kraju. Coś tam nawet przebąkiwano, że to sprawa narodowa związała w ten sposób pana Tarnowickiego z pułkownikiem. Nowy teść porzucił właśnie Warszawę i wystąpił z wojska, którym dowodził wówczas cesarzewicz Konstanty. Podobno wykryto jakiś spisek w armii, dobrze już nie pamiętam. Zresztą jak było, tak było, dość że przyszedł na świat Cezary, a w rok potem trzecia pani Tarnowicka umarła na suchoty. W kilka miesięcy po pogrzebie wrócił z wojażu jaśnie panicz. Ledwieśmy go poznali. Kubek w kubek jaśnie pan za młodych lat. Cóż to była za radość! Jaśnie panicz cieszył się jak dziecko z powrotu do domu, a pies Ares, który z nim wszędzie jeździł, szalał wprost z uciechy.

— Jak najstarszy syn pana Tarnowickiego odniósł się do trzeciego małżeństwa ojca?

— Dobrze nie wiem. Ale kochali się za bardzo, żeby się na siebie gniewać. Jaśnie pan musiał powiedzieć synowi, co i jak. Mnie tego nie mówiono, ale panicz i Jan rad był z młodszego rodzeństwa. Ze mną też zawsze serdeczny, jak kiedyś, gdy był małym chłopcem...

Kot Marcin usiadł nagle na poduszce i zwrócił głowę; w stronę okna.

— Coś słyszy — zauważyła Babette obserwując wierzę. — Czujny jak pies.

Pewnie jaśnie pan wraca z Pasterki.

Rzeczywiście za chwilę na twardo ubitym śniegu podjazdu zatupotały kopyta i dzwonki u sań oznajmiły powrót pana domu.

— Tak się zasiedziałam! — Babette chwyciła się za głowę. — To już my w pierwszym dniu Świąt, a ja panience wyspać się nie daję!

— Wcale nie jestem senna, Babette tak ciekawie opowiada, że słuchałabym do rana.

— Oj, co też powiedziałyby księżna pani, gdyby tak wiedziała. Dobranoc, panienko, dobranoc, wesółych Świąt panience zyczę.

Zamiast zapowiedzianego przez Babette kandydata na męża Valentine śniły się trzy kobiety. Jedna we wspaniałej balowej toalecie i brylantach szła parkiem w wyiskrzoną zimową noc. Druga, podobna do Adelki, długimi, opuszczonymi jak u dziewczynki warkoczami, siedziała z Cezarym przy stole w szkolnym pokoju. Trzecia, niepozorna brzydula w szarej sukni, wpatrywała się pilnie w lustro oświetlone płomykami dwu świec. Valentine wydawało się, że w szklanej tafli majaczy jakaś twarz, ale mimo wysiłków nie udało jej się rozpoznać rysów.

* *
*

Pukanie. Na moje zaproszenie wsuwa się niezbyt starannie uczesana głowa Juliana.

— Można? — pyta mrukliwie.

— Chodź. Jak tam Andrzejki? Udały się?

— Tak sobie, nic nadzwyczajnego.

Chłopiec siada przy moim łóżku i chwilę milczy. Po czym, nie patrząc na mnie, mówi prędko:

— Czy Cyryl ma klucze od twojej kawalerki?

— Ma — odpowiadam zdziwiona.

— Ale ty... masz drugie klucze?

— Naturalnie, że mam.

— Czy mogłabyś mi je pożyczyć? Chciałbym zostawić jutro u ciebie moje wykresy. Taka psia pogoda, jeszcze mi to zamoknie... i całe obliczenie na nic...

Bez słowa wyciągam z torebki klucze.

— Teraz to zrobiłaś? — Julian bierze ze stoliczka karton z portretem Adelki.

— Dziś rano.

— Czy to coś... do filmu Cyryla?

Kręcę przecząco głową.

— Świetnie ci wyszło. Ładna dziewczyna. Zostawszy sama, długo wpatruję się w wizerunek panny Tarnowickiej. Rzeczywiście nieźle mi się udała. Dobrze uchwycona epoka, jeśli chodzi o suknię i uczesanie, i w ogóle o całą sylwetkę. Ale charakter? Zachowanie się? Czy jest wystarczająco staroświecka? Cyryl mówi, że Aniela doskonale wczuła się w rolę księżniczki sprzed stukilkudziesięciu lat. I że wygląda stylowo, szczególnie w balowej toalecie.

Przydałby się i u mnie bal. Świetnie wychodzi na filmie. Można pokazać dawne splendory... tańce, toalety, salony... Tak, tak, bal jest konieczny. Muszę o tym pomyśleć. Inaczej obraz byłby zbyt monotony. I należy wprowadzić do akcji kobietę demoniczną. Wszystkie bohaterki nie mogą być dobre i niegroźne. Niech jedna będzie bezpieczna. Ochrzczę ją dla kontrastu niewinnym imieniem, coś w rodzaju Anieli... Na przykład Beatrycze... Czy jest bardziej słodkie, bardziej poetyczne, bardziej kobieciątkowate imię niż Beatrycze? A więc będzie drapieżna Beatrycze i bal.

Z tym postanowieniem otwieram Małą Encyklopedię. Szukam pod „Prusami” pod „Pruskim zaborem” i nie znajduję nic potrzebnego do mojej opowieści. Ustalam jedynie, że w owym czasie Wielkie Księstwo Poznańskie jako część Prus znajdowało się pod panowaniem pruskiego króla Fryderyka Wilhelma III. To niestety za mało. No trudno, wyobraźnia scenarzysty nadrobi jakoś braki w historycznym tle obrazu. Podsypię za to garść realiów „z epoki”, błysnę tytułami jaśnie i mniej jasno oświeconych, liberią lokai, ogniem brylantów, chociażby sztucznych. To zawsze robi na widzach wrażenie.

Podczas kolacji przyłapałam niespokojne spojrzenie Gieni, która przygląda mi się ukradkiem.

— Co tak na mnie patrzysz?

— Taka jesteś dziwna...

Wzruszam ramionami.

— Czy noga gorzej boli?

— Nie, tak jestem zajęta rysunkami, że nie mam czasu...

— To dobrze — wtrąca Stefan. — Masz przynajmniej rozrywkę. Tyle czasu leżysz. Ale, ale... Nie powiedziałem wam najważniejszej nowiny. Okradli Mietka Nowickiego.

— Mietka? Kiedy? Jak to się stało?

— Sam sobie winien. Ten jego zamek... Dawno powinien był go zreperować.

Julian głośno odsuwa krzesło i wstaje.

— Dobranoc — mówi mrukliwie jak zawsze.

— Mam jeszcze dużo roboty.

— Ludzie okropnie nieostrożni — wzdycha Gienia.

Raptem, nie wiadomo dlaczego, ogarnia mnie niepokój. Czy Julian dobrze zamknie drzwi? Na oba zamki, górny i dolny. Przecież i do mnie mogą zakraść się złodzieje! Wprawdzie nie mam nic cennego, żadnej biżuterii ani futer, ale i to, co posiadam, stanowi dla mnie wiele. Cyryl jest bardzo uważny, znam go, dużo porządniejszy ode mnie, ale Julian... taki smarkacz... Może to łgarstwo z tymi wykresami? I nagle wiem, że to wybieg, że wcale nie dla przechowania rysunków technicznych potrzebne mu było moje mieszkanie. Jak mogłam nie domyślić

się od razu? Potrzebny mu cichy kącik, azyli, gdzie mógłby spokojnie kochać się ze swoją rudą dziewczyną.

Jestem okropnie zła i zdenerwowana... Żeby nie to, że Gienia i Stefan u mnie siedzą, zawołałabym Juliana i odebrała klucze pod lada pretekstem. Ale nie chcę wpakować chłopca w gorsze jeszcze tarapaty. Co by było, gdyby Stefan dowiedział się...

Symuluje zmęczenie, żeby prędzej zostać sama. I żeby uciec do Tarnowie, nie myśleć o kluczach, o Julianie i jego rudej dziewczynie, o moim mieszkaniu i o złodziejach...

Gienia, pełna współczucia, poprawia mi poduszki i życzy dobrej nocy. Ale zdenerwowanie długo trzyma mnie w napięciu i nie pozwala spokojnie rozkoszować się balem. Mimo wszystko udaje mi się jakoś wydostać na wywoskowane parkiety balowej sali. Nie wiem jeszcze, co z tego wyjdzie, ale spróbuję...

Wieczór piąty

Jaśnie Oświecony Książę Poniński — zaanonsował Antoni w galowej liberii i białych rękawiczkach. Rozmowy na chwilę przycichły, gdy do salonu wszedł posiadacz tak wspaniałego tytułu.

Pan Tarnowicki pospieszył na spotkanie gościa.

Valentine, ukryta za klawikordem, mogła swobodnie obserwować świetne zgromadzenie. Mówiono przeważnie po francusku. Widać ojczysty jej język modny był aż tu, i w dalekiej Polsce należał do dobrego tonu.

Co prawda obawiała się zejść w ten drugi dzień Świąt, gdy w Tarnówkach był wielki zjazd gości i otwarto na oścież wspaniałe salony. Czuła lęk przed tyloma nieznanymi osobami; a nuż powrócą przykre wrażenia z wieczorów pani de Flagny? Księżna jednak raźnie dała do zrozumienia, iż życzy sobie, by nauczycielka towarzyszyła Adelce, którą po raz pierwszy przy takiej okazji dopuszczono do towarzystwa dorosłych.

Dziewczynka ubłagała, by pozwolono jej upiąć włosy, a niezawodna jak zwykle Babette i tym razem dokonała cudów, tu przypinając niesforny kosmyk, tam puszczając wolno loki na odsłoniętą szyję. W białej sukience, przepasanej różową szarfą z mory, z bukiecikiem różanych pączków —

które ogrodnik specjalnie na tę okazję wyhodował w cieplarni — przy staniku, wyglądała uroczo i Valentine kilkakrotnie przyłapała spojrzenie chmurnych oczu pana domu, które rozpogadzały się na widok córki.

Sama też wystąpiła najgodniej, jak umiała. Co prawda szarobłękitnej jedwabnej sukni daleko było do Wspaniałości toalet utytułowanych właścicielek „dusz” i folwarków, ale krój miała modny, wyszczuplający talię, rękawy wystarczająco bufiaste, a spódnica na krochmalonej halce rozkładała się szeroko, jak należy.

Księżna przedstawiła ją kilku matronom z sąsiedztwa oraz gromadce panien, które przyjrzawszy się jej z zainteresowaniem, jako że przybyła z wymarzonego Paryża, zasypały ją pytaniami, „co się nosi”, a zaspokoivszy ciekawość, przestały się nią zajmować.

Adelka była w siódmym niebie: krążyła między gośćmi, odwoływana często do babki, ale co jakiś czas wpadała do kącika za klawikordem.

— Tak się pani ukryła — zawołała w pewnej chwili z wymówką — a tam się panowie dopytują, kim pani jest.

— Cóż to za panowie?

— Z sąsiedztwa. Jest wśród nich Edzio Ostreyko, którego pamiętam z dawnych czasów.

— Jakież to „dawne czasy”? — uśmiechnęła

się Valentine.

— No, kiedy Jan, to znaczy mój brat, był jeszcze zdrów. Pan Ostreyko to jego przyjaciel, ciągle tu przyjeżdżał... bawił się ze mną... zresztą obaj się wtedy ze mną bawili — dodała ściągając brwi.

W tej chwili nad gwar rozmów wybił się donośny głos Antoniego, anonsujący nowych gości.

— Jaśnie pan hrabia Drwęcki i jaśnie pani hrabina.

Hrabina w różowej tafcie wyglądała zachwycająco, a jej bizuteria — perły i brylanty — warta była majątek.

Pan Tarnowicki przywitał nowo przybyłych nader powściągliwie.

Bez zwykłej uprzejmości — stwierdziła w myśli Valentine.

Nie mogła dosłyszeć, o czym mówiono, ale mina pana domu poinformowała ją wystarczająco o niewielkiej sympatii, jaką żywił dla hrabiego i jego małżonki.

Hrabina wydawała się nie zrażona chłodnym przyjęciem. Rozglądała się chwilę po salonie, ale zaraz zakrył mi przed wzrokiem Valentine żywy mur czarnych i granatowych fraków, cisnących się dokoła pełnych i imion i brylantowej kolii.

— Prawda, że piękna? — Adelce błyszczały oczy.

— Owszem, bardzo piękna, ale chyba nie jest sympatyczna.

— Nie... za to jaka suknia... Ciekawam, czy sprowadzona z Paryża?

— Czy to takie ważne, Adelko?

— Mnie chyba dobrze byłoby w tym kolorze. Jak pani myśli?

Tobie dobrze w każdym kolorze, a w tej białej sukience z różyczkami wyglądasz prześlicznie.

— Ale w takiej różowej, z dekoltem... Pewnie za rok będę już mogła włożyć taką suknię.

— Włóżysz niejedną piękną suknię, piękniejszą od tej.

— Będę codziennie jeździła na bale... i codziennie w innej sukni... Chcę, żeby mnie podziwiano. Ale takiego męża jak hrabia Drwęcki to sobie nie życzę. Brzydki, nie ma postawy, a przy żonie wygląda jak wymoczek. Papo ich nie lubi. Ale to nic dziwnego... Hrabina, nim wyszła za mąż, była narzeczoną mego brata.

— Tego... kaleki?

— Tak. Ja wtedy byłam jeszcze mała, jak tu przyjeżdżała, ale jej nie lubiłam. Nigdy nie poświęciła mi chwili uwagi. Ona tylko chce zawracać w głowie mężczyznom!

— A... hrabia?

Hrabia? Poszedł pewnie do zielonego salonu na karty, zawsze grywa, słyszałam, jak papo kiedyś mówił, że roztrwonił cały swój majątek. O, babunia daje mi znaki, muszę iść.

Na kanapkę przy kryjówce Valentine opadła panna Cholewińska, tarnowicka rezydentka. Była w brązowej, jedwabnej sukni, szczelnie zakrywającej przywiedle wdzięki, sukni, która już od dziesięcioleci przestała być modna. Do krótkowzrocznych oczu przykładła lorgnon na długiej szylkretowej rączce, lustrując poszczególnie grupy towarzystwa.

— Co też pani sama, tak w kącie? — zaczęła z troską w głosie.

— Dziękuję, dobrze mi tu, czuwam nad Adelką.

— Ślicznie dziś wygląda, prawda? Smutno nam będzie, gdy wyjdzie za mąż i opuści Tarnowice. Ale niech się pani nie martwi — dodała szybko — nie zostanie pani bez miejsca...

— Och, wcale o tym nie myślałam...

— Tak, tak, nie trzeba. Kuzyn z pewnością znajdzie coś dla pani w sąsiedztwie.

Valentine nagle poczuła, jak niepewny jest jej los. Co przyniesie jutro? Nic nie wiadomo. Rzeczywiście, jak mogła być dotąd tak beztroska? Żyć jak we własnym domu, jak gdyby Tarnowice były portem, z którego nie wygna jej żadna burza. Boże, Boże, co może być za miesiąc, za trzy, za rok? Przecież Adelka na pewno wyjdzie za mąż. Widziała, z jakim zachwytem spoglądają na nią młodzieńcy. A ona, Valentine, to nie Babette,

dożywająca spokojnie starości za długą i wierną służbę. Co się z nią stanie?

Poszarzał jarzący się od świec pająk z weneckich kryształów, poszarzały barwne toalety kobiet, przygasł blask klejnotów. Zrobiło się obco, zimno, straszno...

U której z utytułowanych ziemianek umieści ją wówczas pan Tarnowicki? Czy u tej otyłej jejmości z podwójnym podbródkiem, z małymi świńskimi oczkami, ginącymi prawie w fałdach tłuszczu? A może u tej mamy, co to coś tam perswaduje brzydkiej, bladej i córeczce o nadaśanej minie? Co robić? Gdzie iść? Taka tu się czuła bezpieczna i spokojna... Księżna wzięła ją w opiekę, a i pan Tarnowicki zawsze taki grzeczny i uważający, jak gdyby była gościem, a nie płatną nauczycielką. Doprawdy karygodna ta jej głupota i bezmyślność... Tak, tak, przecież powinna była wiedzieć od razu, od początku, że wiecznie tu nie zostanie. Adelka już dorosła, to tylko wykończenie jej edukacji...

Do oczu napłynęły łzy. No, nie roztkliwiać się nad sobą, moja panno, nie ma rady, jesteś jak ta trzcina na wietrze. Jesteś sama, sama, sama...

Nie zauważyła odejścia panny Cholewińskiej. Adelka też daleko, gdzieś w drugim końcu salonu...

Trzeba jakoś wycofać się z tego kąta. Poprosi księżnę o pozwolenie udania się do

swego pokoju. Powie, że źle się czuje. Ale jak dotrzeć do drzwi wśród tylu osób, nie zwracając na siebie uwagi? Do księżnej pojejdzie później, teraz przy niej jacyś starsi panowie, książę Poniński... Musi koniecznie uciec, wypłakać się, za dobrze tu jej było, za dobrze.

Przesuwa się pod ścianą, ale niestety do drzwi daleko, a goście krążą po salonie i co chwila trzeba przystawać, by nie natknąć się na rozbawione grupki młodzieży. Nagle poczuła na sobie czyjś wzrok, a podniósłszy oczy ujrzała pana Tarnowickiego, który właśnie coś mówił do pana Nowiaka i spoglądał na nią ze zdziwieniem. A nuż przyśle intendenta lub sam spyta, co jej jest? Nie wytrzyma wówczas i rozplacze się, tak, wie, że to zrobi. Łzy są tuż, tuż... No, nie uda się uciec, ale oto pąsowa portiera kryje zbawcze drzwi do bocznego salonu. Ciemnawo tu, pali się tylko kilka świec w wielkim kandelabrze na marmurowej konsoli i nawet, jeśli ktoś wejdzie, z pewnością jej nie zauważy. W rogu wielka palma, a za nią dwa fotele. Tam sobie posiedzi, aż się uspokoi, a potem poprosi księżnę...

Oczy powoli oswajają się z mrocznymi kątaami podłużnego pokoju. W krótszej ścianie drzwi, którymi weszła, przysłonięte portierą, znaczy je jaśniejsza smuga światła. Co to? Ktoś wchodzi? Szelest taftowej spódnicy, błysk brylantów... Kobieta idzie

pewnym krokiem, jak gdyby dobrze znała ten salon i wiedziała, dokąd wiodą przeciwległe drzwi. Zdecydowanym ruchem kładzie rękę na połyskującej w mroku klamce; Valentine widzi wyraźnie, jak drzwi uchylają się, kobieta jednak nie znika za progiem, tabaczkowe ubranie tarasuje wejście i nie wpuszcza jej do środka. Kobieta musi cofnąć się do salonu, a Dominik wchodzi za nią, zamykając za sobą drzwi.

Kobieta mówi coś rozkazująco, ale Dominika niełatwo przestraszyć i nawet wspaniała jak Junona hrabina Drwęcka nie czyni na nim najmniejszego wrażenia. Odpowiada gościowi równie burkliwie jak domownikom i hrabina, choć uderza go wachlarzem po ramieniu, musi wreszcie dać ze wygraną. Dominik znika dopiero wówczas, gdy portiera przeciwległych drzwi opada za różową suknią.

Czego chce od kaleki dawna narzeczona? Czy jednak Dominik ma prawo aż tak dalece decydować w sprawach swego pana i nie dopuszczać do niego niepożądanych w jego mniemaniu gości?

Trzeba szybko wracać do wielkiego salonu, tu niebezpiecznie. Za chwilę wejdzie jaka zakochana para, szukająca samotności, i co wtedy zrobi? Już może pokazać się ludziom, uspokoiła się, a scena, której była świadkiem, oderwała jej myśli od własnej osoby. Nie tylko jej smutno i ciężko wśród

ogólnego wesela. Wyobraża sobie, co musi przeżywać biedny kaleka, dziedzic tego pałacu, zamknięty z własnej woli za tymi drzwiami. Przy okazji wypyta o wszystko Babette...

Znowu uniosła się portiera, ukazując tym razem męską postać. Valentine widzi młodego człowieka w szafirowym fraku. U wylotu wysokiego kołnierza, w białej chustce owijającej szyję połyskuje wielka perła... Kto to może być?

Młody człowiek rozejrzał się po salonie, a nie dostrzegłszy nikogo — Valentine znowu skryła się za palmą — podszedł żywo do tak zaciekle bronionych drzwi. Zapukał trzy razy i, o dziwo, drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Po chwili Valentine znowu była sama. No, tym razem nie ma ani sekundy do stracenia. Wychodząc natknęła się na kamerdynera Antoniego, który roznosił na tacy kieliszki z winem.

— Księżna pani prosi panienkę — powiedział dobitnie, by zrozumiała, podsuwając jednocześnie tacę.

Valentine nie wzięła kieliszka i poszukała wzrokiem Adelki. Dziewczynka szła ku niej, zamieniając po drodze wesołe uwagi z młodzieżą.

— Gdzie pani była? Bardzo się niepokoiłam — powiedziała serdecznie. — Przepraszam, że zostawiłam panią samą.

— Ależ Adelko! Nie możesz siedzieć ze mną

w kącie. Chodźmy do księżnej pani...

— Dobrze, chodźmy. Goście chcą, żebym coś zaśpiewała, ale się boję.

— Czego? Koniecznie musisz zaśpiewać. Ja ci zaakompaniuję. Zrobisz wielką przyjemność babuni i ojcu. Zaczniemy od Haydna.

Księżna spojrzała bystro na Valentine.

— Czy źle się czujesz, kochanko? — spytała z troską w głosie. — Błado jakoś wyglądasz...

— Czułam się trochę niedobrze — odparła szczerze — ale to już przeszło.

— Pamiętaj, jesteś pod moją opieką — powtórzyła księżna z naciskiem — i gdyby ktoś ci uchybił...

— Dziękuję księżnej pani — Valentine odzyskała dawną pogodę. — Było mi trochę duszno, nic więcej.

Gdy zasiadła do klawikordu, rozmowy w salonie ucichły. Na początku pieśni głos Adelki lekko drżał, ale potem jak gdyby zapomniała o słuchaczach, cała oddana ulubionej melodii. Słowa starej romancy, którymi niegdyś książę d'Artois wyznał miłość Marii Antoninie, pobudziły wyobraźnię obecnych. Przez tarnowicki salon przesunęły się blade zjawy w atłasowych frakach, krynolinach, pudrowanych perukach...

Przy końcu pieśni znowu uniosła się paşowa portiera i podczas gdy klaskano, do klawikordu podszedł młodzieniec w szafirowym fraku. W chustce okręcającej szyję tkwiła podłużna perła w kształcie

gruszki (albo łyzy — jak stwierdziła Valentine).

— Słowa tej pieśni skierowane były pewnie do mnie, panno Adelko — uśmiechał się pozornie wesoło, ale dziwnie baczne, prawie czujne spojrzenie szarych oczu szło ku akompaniatorce.

— Wcale nie — Adelka przechyliła przekornie głowę. — Okropnie pan zarozumiały. Mimo to przedstawię pana pani Delarose, mojej nauczycielce. Pan Ostreyko.

Szafirowy frak skłonił się przed Valentine. W blasku świec perła jak gdyby ożyła, mieniąc się delikatnie różem i złotem.

Valentine nie mogła znieść natarczywego spojrzenia szarych oczu.

Przygląda mi się jak Dominik — skojarzyła w myśli dziwną postawę starego sługi i wytwornego panicza.

— Pan Edward wspaniale gra do tańca — Adelka stanęła jak do figury z kadryla.

Valentine powoli podniosła się zza klawikordu.

— Tańczyć, będziemy tańczyć — zawołała dziewczynka do kilku zbliżających się panien, które szły powinszować śpiewaczce sukcesu.

W salonie zrobił się ruch, odsuwano pod ściany krzesła i fotele, szykowano salę balową.

Valentine skryła się w swój kąt. Miała teraz przed sobą plecy szafirowego fraka, który z wielką brawurą zaatakował

klawiaturę pana Pleyela. Z zielonego salonu przyszli nawet najzagorzalsi amatorzy taroka, by popatrzeć na skaczącą młodzież. Hrabina Drwęcka miała wreszcie okazję zaćmić inne damy i ukazać w tanecznych pozach wspaniałą figurę, upodabniając ją do antycznej bogini.

Roztyje się na starość — pomyślała Valentine obserwując pełne ramiona, pięknie odbijające białą skórę od różowej tafty.

Pan Ostreyko grał niezmiernie, walił w klawikord, aż pojękiwały struny, a po wywoskowanej posadzce ślizgały się do taktu stopy tancerzy.

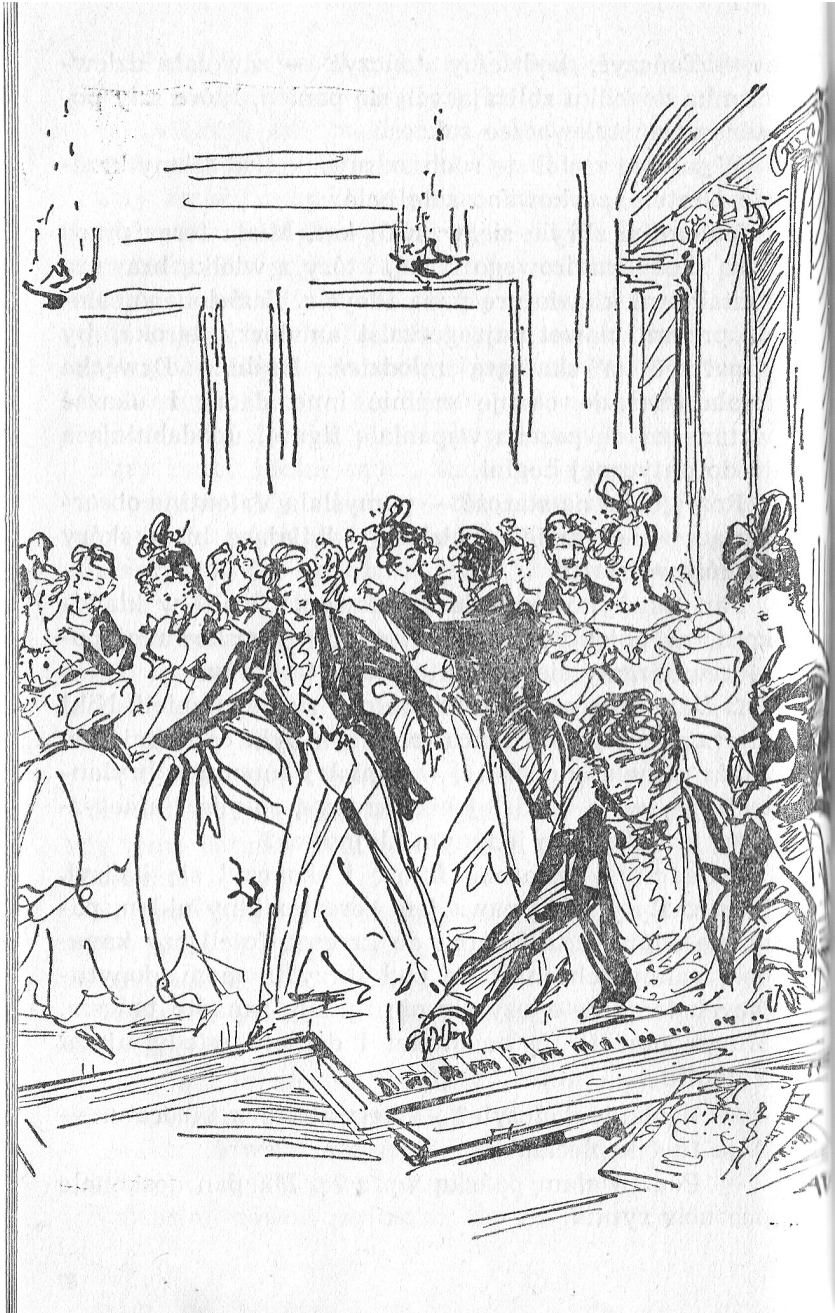
O Valentine wszyscy zdawałoby się zapomnieli. Nikt nie poprosił jej do tańca, ale rada była odosobnieniu. Jakże stanęłaby obok tej wspaniałej Junony w brylantach, ze swoją bardziej niż skromną suknią i ametystową broszką jako jedynym klejnotem?

Odtąńczono ostatnią figurę i skończył się kadryl. Pary złożyły sobie nawzajem ceremonialny ukłon, panowie odprowadzili damy do krzeseł, foteli czy kanapek, panny schroniły się pod skrzydła mam, dopytujących troskliwie, czy się nie zgrzały zanadto tańcem. Muzyk obrócił się na stołku i dopiero wtedy ujrzał Valentine.

— Pani nie tańczyła? — zerwał się z taboretu. — A ja tu tak plecami...

— Podziwiałam pańską wprawę. Ma pan doskonale poczucie rytmu.

— Pani żartuje. Ja jestem tylko skromny grajek-samouk, a pani zapewne wirtuoz.



— Lubię muzykę, ale daleko mi do wirtuozerii.

— Dawno pani w naszych stronach? Jak tu się pani podoba?

— Nie ma jeszcze dwóch miesięcy, jak przyjechałam. Tarnowice podobają mi się bardzo, a Polacy wyli wyjątkowo sympatyczni. Szafirowy frak skłonił się.

— Panna Adelka zrobiła ogromne postępy w śpiewie. Gdy ją słyszałem ostatnim razem...

— Już mnie pan obgaduje? — Adelka, zaróżowiona tańcem, opadła na kanapkę obok Valentine. — Przez wszystkie pięć figur miałam w kadrylu hrabinę Drwęcką. Tańczy prześlicznie, a ta jej suknia...

— Pani suknia o wiele piękniejsza — stwierdził szafirowy frak z przekonaniem.

Adelka poprwiała różane pączki przy staniku.

— Tak pan nas teraz rzadko odwiedza — powiedziała z wymówką. — Rozumiem, przykro panu z powodu Jana... ale nie tylko on jest w Tarnowicach... Powinien go pan przekonać, namówić, przecież tak nie można... Zresztą kto wie, ten wstrętny Dominik może i pana do niego nie dopuści. Warczy na wszystkich jak zły brytan.

Pan Ostreyko zwiesił głowę.

— Grajek, muzyka, chcemy tańczyć! — rozochoceni panicze obiegli klawikord. — Panny się nudzą. Do roboty, Edziu, do

roboty!

Pan Ostreyko podniósł poły fraka i zasiadł posłusznie przed klawiaturą.

* *
*

Poranna poczta przyniosła kartkę od Cyryła.

Kochanie, przedłużam pobyt w Łodzi o jeden dzień. Wszystko w porządku, załatwiłem pomyślnie sprawą laboratorium i dźwięku. Ponadto udało mi się pozyskać do epizodu Maksiewicza (rola starego sługi). Byłem wczoraj na kolacji u Heniów, przesyłają Ci wiele serdeczności. Bardzo mi Cię brak. Gieni i Stefanowi pozdrowienia. Ściskam. Zawsze Twój Cyryl.

Ciekawa jestem, czy Anieli Remiga także pozostała w Łodzi o jeden dzień dłużej, niż zamierzała? O tym Cyryl nie wspomina w kartce. Natomiast cieszy się z jakiegoś Maksiewicza...

Gienia dziś bardzo zajęta, bo w domu pranie. Przez to obiad trochę opóźniony. Romek także korzysta z większej swobody. Zaraz po obiedzie wymyka się do kolegi i wreszcie jest spokój.

Wieczorem zrywa się szalona wichura. Długo w noc nie mogę zasnąć. Nie znoszę wiatru, bardzo źle działa na mój system nerwowy. Leżę i wsłuchuję się w jęk

szarpanych wściekłymi podmuchami drzewek owocowych i stukot źle przymocowanego płata papy na dachu. Szum wichru tłumi wszelkie inne dźwięki. Nie słyszę skrzypu furtki ani kroków Juliana na ścieżce, dopiero gdy chłopiec wchodzi do domu, dowiaduję się, że właśnie wrócił. Patrzę na zegarek. Jest po północy. A więc za późno na ostatni autobus. Musiał go ktoś podrzucić własnym wozem.

Przypomnienie Tarnowie przywołuje mnie do porządku. Cyryl tam w Łodzi, zajęty swoim filmem, a ja... Prędko, posuwajmy akcję naprzód. Musi się przecież coś dziać na ekranie. Dziś znowu dam maleńki skok wstecz. Ciekawam tylko, jak reżyser wybrnie z tej retrospekcji. Czy skomasuje wszystkie te sceny w jeden fragment filmu, czy zachowa ich chronologiczny porządek, tak jak Valentine po trochu dowiadywała się o przeszłości od Babette lub od Adelki. Tak, tak, rozwiązanie tego problemu zależy będzie wyłącznie od reżysera. Przy okazji spytam Cyryla... Boże cóż za pogoda! (Wichura doskonale wychodzi na filmie — do wykorzystania).

W moim scenariuszu już najwyższy czas na wiosnę.

Wieczór szósty

— Zrobiła pani wielkie postępy — Cezary z powagą pokiwał głową. — Antoni twierdzi, że już potrafi się z panią dogadać.

— Rzeczywiście, doskonały z ciebie pedagog.

— Grunt, że ma pani stałą konwersację, najlepiej ze służbą, najwięcej się pani nauczy.

— Bardzo ci dziękuję. Pragnę jednak zwrócić twoją uwagę na jedno zdanie, o tu, spójrz: konieczne jest użycie czasu zaprzeczonego, a ty użyłeś niedokonanego przeszłego. Po francusku tak nie można.

Cezary z miną pełną wyższości zaledwie raczył spojrzeć na podkreślone czerwonym atramentem zdanie.

— Czy to takie ważne? — wzruszył ramionami. — Nie widzę żadnej różnicy między czasem przeszłym niedokonanym a zaprzeczonego.

— Owszem, jest wielka różnica. I dobrze wiesz, jakich czasów używa się w zdaniach warunkowych. Wszystko zależy od tego, czy warunek jest możliwy do spełnienia, czy nie.

— ...

— Proszę cię, ułóż teraz zdanie, w którym raz warunek będzie rzeczywisty, czyli możliwy do spełnienia, a drugi raz w tym samym zdaniu nierzeczywisty, nieaktualny, a więc niemożliwy do spełnienia.

— Gdyby Liberator zechciał, uwolniłby pięciu żołnierzy aresztowanych przez generała Gulbina.

— Gdyby Liberator był zechciał, byłby uwolnił pięciu żołnierzy aresztowanych przez generała Gulbina.

— A widzisz, jak dobrze potrafiłeś zastosować odpowiednie czasy. Trzeba się tylko zastanowić, a nigdy nie zrobisz błędu. Czy generał Gulbin aresztował pięciu żołnierzy?

— On ciągle kogoś aresztuje. Po to tu jest. Antoni mówi, że po upadku powstania wielu żołnierzy polskich przekroczyło granicę pruską. Ale rząd nakłaniał ich do powrotu i opornych odstawiał na terytorium i królestwa. Tamci żołnierze, którzy odmówili złożenia przysięgi na wierność carowi, zostali najpierw Bblci knutami, a potem wcieleni do pułków rosyjskich i pognani w głąb Syberii.

— A czy Liberator uwolni tych pięciu?

— Nie wiadomo. Wiosną uratował ucznia, którego przychwycono na czytaniu patriotycznych książek. To było doprawdy wspaniałe! Świetnie mu się udało oszukać tych szakali. A wie pani, jak to zrobił? Przyjechał I ktoś do więzienia jako berliński kurier do generała Gulbina. Generał bawił wówczas z wizytą u hrabiego Drwęckiego, to taki zdrajca... Judasz... I ten niby kurier poczęstował strażnika wódką, do której przedtem wsypano jakiś proszek. Strażnik

zasnął jak kamień, a on chłopca wyprowadził, na koń i — szukajcie wiatru w polu! Tego ucznia to skazano na deportację i nazajutrz miano go wywieźć do Niemiec.

— Ucznia skazano?

— A tak. Nie słyszała pani o Karolu Levitoux? Tak go dręczyli w więzieniu, że obawiając się wydać towarzyszy, podpalił słomę, na której sypiał, i zginął w płomieniach. To bohater. Żeby to było w naszych stronach, Liberator na pewno byłby go uratował.

— Skąd ty to wszystko wiesz?

— Wszyscy o tym wiedzą. Tylko baby zajęte fatalaszkami nie dostrzegają najważniejszych rzeczy.

— Czy rozmawiasz o tym z panem Bukowskim?

— Ee, pan Bukowski wszystkiego się boi.

— Nic dziwnego, to niebezpieczny temat.

— Nie można być tchórzem. Ja się nie boję generała Gulbina. Co mi zrobi?

— Tobie nic, ale twój ojciec może mieć nieprzyjemności, jak będziesz za dużo gadał.

— Przecież gadam o tym z panią, a pani nie jest hrabiną Drwęcką, co to zaraz leci z językiem do Prusaków.

— Leci do Prusaków?

— Tak, Antoni mówi, że ona do nich oczy wywraca.

— Tobie tak mówił?

— E nie, słyszałem tylko, jak rozmawiał ze

stangretem.

— Na przyszły raz przepiszesz to opowiadanie o Wercyngetoryksie. Tylko pisz uważnie i nie przekręcaj słów.

— Nigdy nie przekręcam. Raz mi się zdarzyło, a pani już...

— No, dobrze, dobrze.

— Wtedy zamiast „kupić” napisałem „sprzedać”, ale to nic dziwnego. Pan Surewicz opowiadał tak wspaniale rzeczy o Kościuszcze i wyobraziłem sobie, że jestem kosynierem. Pan Surewicz też się niczego niej boi.

— Jednak musisz być ostrożny.

— Przecież nie krzyczę z dachu na całą okolice. Rozmawiam z panią.

— Ze mną możesz rozmawiać, ale ty tak z każdym...

— Wcale nie, z hrabiną Drwęką na przykład tak bym nie rozmawiał. Ona naprawdę wywraca oczy widziałem raz, jak tu był pan Ostreyko...

— Dość, Cezary. Jest tak piękna pogoda, że pan Bukowski z pewnością czeka, żeby wyjść z tobą do parku.

— Pan Bukowski nudny jak lukrecja — mruknął Cezary zbierając zeszyty. — Już wolę panią.

Wiosna w tym roku przyszła wcześniej i marzec płynął się w roztopach i wygrzewał w słońcu. Nie było już śniegu w alejach parkowych, obeschły one szybciej niż

trawniki, gdzie wschodziła świeża, młoda zieleń. Adelka i Valentine po raz pierwszy wybrały się na daleki spacer, porzuciwszy utarte ścieżki, którymi dotąd wędrowały, omiecione zazwyczaj ze śniegu łopata i miotłą lokajczyka. Adelka była w nadzwyczajnym humorze, biegała podskakując jak wróbel i wypatrywała w trawie pierwszych przyłasczek.

— Tu pełno przyłasczek, sasanek i fiołków, zobaczy pani, ile tego będziemy zbierały! — obiecywała nauczycielce.

Valentine była w równie radosnym nastroju, lecz bardziej skłonna do refleksji, rozmyślała, że oto minęła pierwsza zima jej pobytu w Tarnówkach. Ile takich nu czeka ją jeszcze?

— Niech pani spojrzy, jakie mnóstwo szpaków — Adelka stanęła na skraju trawnika i zaczęła drobić przyniesioną w tym celu bułkę, rzucając daleko przed siebie, ruchem siewcy, pełne garście okruchów.

Od jeszcze szarych i nagich drzew odbijały pokryte zielonym puchem gałęzie płaczącej wierzby. Ustawioną pod nią kamienną ławkę starannie oczyszczono z zeszłorocznych zeschniętych liści. Zapraszała do odpoczynku.

— Będziemy tu przychodziły z książką i robótką — oznajmiła Valentine, starając się zapamiętać miejsce.

— Tu wiele takich ławek i zakątków, dokąd będziemy przychodziły. Na pewno się pani

spodobają. Ja też mam swoje ulubione kryjówki.

Park wydawał się bez granic. Gdy kończyła się jedna alejka, rozpoczynała druga, a płaszczyznę trawników co jakiś czas przecinało jeziorko, sadzawka lub posąg bielejący wśród poczerniałych pni i konarów.

— Już chodzimy z godzinę — zauważyła Valentine — a nie widać końca dróżkom i alejkom. Czyżby ten park był zaczarowany?

— O nie — zaśmiała się dziewczynka — za chwilą będzie mur, a za nim droga i las.

Długo jednak musiały iść, nim doszły do obiecanego muru, który okazał się tak wysoki, że całkowicie przesłaniał i drogę, i las. Porastało go dzikie wino, teraz zwisające nagimi lianami czerwonej barwy. Przy tej żywej zasłonie stała znowu kamienna ławka, pokryta mchem, widać dawno nie używana, a trochę dalej, w głębi parku, wśród kępy bezlistnych bzów i jaśminów krył się kokieteryjny parterowy pawilonik, pokryty kopulastym dachem. Ganek, na który prowadziło kilka stopni, wspierały dwie kolumny z białego kamienia, a szczelnie zaryglowane okiennica nie dopuszczały najmniejszego choćby promyczka do niewidocznej szyby.

— Śliczny pawilonik — zachwyciła się Valentine. — Jeśli nie jest nikomu potrzebny, mogłybyśmy urządzić w nim szkolny pokój na lato.

— Niestety... papo się nie zgodzi...

— Już go prosiłaś?

— Chciałam kiedyś tam wejść, ale drzwi zamknięte. To pawilonik matki Jana... Po jej śmierci papo zabronił tam wchodzić. Tylko Jan ma klucze, a Dominik sprząta i odkurza od czasu do czasu. Podobno pięknie urządzone...

— No trudno, możemy wobec tego obejrzeć go z zewnątrz. Jak solidnie zbudowany!

— O tak, cały z kamienia, a Babette mówiła, że w chłodne dni lata palono tam nawet na kominku. Żeby ten Dominik był inny, pozwoliłby choć zerknąć ale to stary zrzęda. Nie ma pani pojęcia, jak jestem ciekawa... Wiele dałabym, by tylko zajrzeć...

— Na pewno nie ma tam nic nadzwyczajnego, ot lulka ładnie umeblowanych pokoi. Czy twój brat tu bywa?

— Skądże! Przecież pani wie, że jest kaleką, nie byłby w stanie odbyć tak dalekiej drogi. Wychodzi najwyżej na taras, latem, przy pomocy Dominika. Nie znosi koło siebie żadnego innego sługi. Strasznie zdziwaczał.

Obeszły dokoła intrygującą budowlę. Mimo kruchego wyglądu mury widać były grube, gdyż okna ukazywały głębokie framugi, a w okiennicach nie znalazłbyś najmniejszej szpary czy szczeliny. Solidne drzwi zaopatrzone w równie mocny zamek i ani drgnęły, gdy Adelka usiłowała poruszyć mosiężną gałką błyskającą w miejscu

klamki.

— Wczorajem nie odważyłabym się tu przyjść sama — dziewczynka uderzyła kilkakrotnie dłonią w gładką powierzchnię pięknie polerowanych, dębowych drzwi.

— Po co miałabyś przychodzić?

— Pani nie wie, co się tu dzieje w nocy... Tu straszy...

— Straszy? Adelko, nie powtarzaj podobnych głupstw.

— To nie głupstwa. Wie o tym cała służba. Przedtem było tu zupełnie spokojnie, ale od paru lat...

— Cóż się dzieje od paru lat?

— Nie wiem i pewnie nikt tego nie wie, każdy się boi zbliżyć do pawilonu po zapadnięciu zmroku. Ale widziano kiedyś światło przez szparę w okiennicy...

— Ee, pewnie promień księżyca odbił się w szybie, a Dominik zapomniał zasłonić okna.

— Dominik niczego nie zapomina. To nudny pedant.

— Więc komuś się zdawało. Okiennica tak szczelna, że nie widzę żadnej szpary.

— W każdym razie służba unika tego miejsca. Opowiadają różne rzeczy...

— Czy pan Tarnowicki to słyszał?

— O tak, i strasznie się gniewał. Skrzyczał lokajczyka, a potem przyszedł tu sam w nocy i nazajutrz powiedział służbie, że nic nie widział. Zabronił o tym rozmawiać.

— Papo ma rację, Adelko.

— Ale ksiądz proboszcz odprawił mszę za duszę matki Jana, a Babette mówiła...

— Ksiądz proboszcz nieraz odprawiał mszę za duszę matki twego brata, jak również za duszę twojej matki i matki Cezarego.

— Ale Babette...

— Babette równie przesądna jak reszta służby. Pawilon wygląda tak niewinnie, że żaden duch nie zechciałby w nim straszyć, a ja mogłabym tu spacerować o północy bez najmniejszej obawy.

— Taka pani odważna? — zdumiała się Adelka.

— To nie odwaga, dziecko, to zdrowy rozsądek.

— Wszystko jedno, ja bym się nie zdobyła ani na jedno, ani na drugie.

— Nie zapominaj, że żyjemy w dziewiętnastym wieku. Za dużo naczytałaś się Waltera Scotta...

Naprzeciw pawilonu stał wielki posąg satyra z szarego kamienia. Dziwacznie pokręcony stwór o złośliwej gębie grał na fujarce.

— Latem dokoła niego moc floksów, białych i liliowych, i tak pachną... Lubię tu przychodzić — Adelka pogładziła kosmatą nogę wspartą o kamienny postument.

Valentine obeszła posąg, oglądając ze wszystkich stron mitologicznego potwora.

— Kiedyś go się bałam, wie pani, a raz Jan posadził mnie na ramionach tego obrzydliwca. Okropnie krzyczałam, a Jan powiedział: „Czego się boisz? Zobacz, to tylko kamień”. I odtąd przestałam się bać. Wtedy Jan mnie lubił, a ja bardzo go kochałam. Ale to już dawno temu...

— A jak doszło do tej... katastrofy?

— To pani nie wie?

— Nie... Babette opowiadała mi o matce twego brata, której była pokojową jeszcze przed jej ślubem.

— Tak.

— Mówiła też, jakim wspaniałym chłopcem był jej syn. Dla niej to bardzo smutne wspomnienia, jest ogromnie przywiązana do twojej rodziny, nie chciałam jej zanadto wypytywać, raz się rozpląkała...

— To było na polowaniu, tuż przed wybuchem powstania w Królestwie. Jan spadł z konia tak nieszczęśliwie, że złamał obie nogi. Hrabina Drwęcka, wówczas narzeczona mego brata, także brała udział w wyprawie i pan Ostreyko, i wiele młodzieży z sąsiedztwa. Pamiętam, jak go przynieśli na noszach splecionych z gałęzi. Był taki błydy i nic nie mówił... Staliśmy na ganku, papo, babunia i ja... I papo tak krzyknął „Janku!”, że zrozumiałam wówczas, co dla niego znaczył najstarszy syn. Ani ja, ani Cezary nie stanowiliśmy treści jego życia, choć bardzo nas kochał i taki zawsze dobry. Może to dlatego, że matka Jana była jego pierwszą żoną i, jak mówią, pobrali się z wielkiej miłości? Nie ma pani pojęcia, co się wtedy u nas działo! Przyjeżdżali najslawniejsi doktorzy i raz zdawało się, że nogi będą uratowane, a Jan potrafi chodzić. Ale złamanie okazało się niezwykle skomplikowane i nastąpiło pogorszenie. Wówczas to narzeczona odesłała mu pierścionek. Podła... W Królestwie była wojna, a my blisko granicy, coraz trudniej o

doktorów, a Jan gryzł się i tym, że nie mógł iść do powstania. I jeszcze ta Beatrycze — to imię hrabiny Drwęckiej, wcale do niej nie pasuje, prawda? Beatrycze musi być dobra, łagodna i szlachetna, pełna poświęcenia, a ta, taka... zmija... Wszystko było dobrze, póki Jan tańczył z nią na balach, ale jak dotknęło go kalectwo, pierwsza go zdradziła. Pan Ostreyko też jej nie cierpi. To wierny przyjaciel Jana. A potem wojna się skończyła... Pełno tu było żołnierzy, którzy przeszli granicę i złożyli broń w ręce władz pruskich. Wyłapywano ich... Papo ukrywał uciekinierów, a Prusacy ciągle nas najeżdżali i szukali „buntowników”. Działy się tu straszne rzeczy! Wreszcie zjawił się taki jeden doktor z Warszawy i powiedział, że nie ma nadziei, że Jan nie będzie chodzić, że jedna noga zrosła się, owszem, jako tako, ale z drugą jest zupełnie źle... Od tej pory Jan zdziwaczał, nie chciał widzieć nawet przyjaciela, nam, dzieciom, wstęp do niego był wzbroniony, a Dominik sprawował wszelką władzę w pokojach swego pana i nie dopuszczał nikogo. I wtedy papo tak posiwał... Babunia to się ciągle modliła, stale odmawiała koronkę do Przemienienia Pańskiego i mówiła, że wszelkie zło przemieni się w coś dobrego i tak czekaliśmy. Babunia dotąd nie straciła nadziei, tylko mówi, że to dopust Boży, który trzeba znieść. Wkrótce potem Beatrycze wyszła za hrabiego Drwęckiego. Brr, jaki nieprzyjemny człowiek... Widziała go pani? Wszyscy mówili, że zachciało się jej być hrabiną. Jest bardzo bogata, a hrabia Drwęcki przegrał majątek. Całe szczęście, że

pokazała, kim jest, to nie żona dla Jana. Tak bardzo ją kochał i tak się strasznie zawiódł. To okropne, prawda? Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby tak mnie spotkało coś podobnego. A pani, co by pani zrobiła?

— Nigdy o tym nie myślałam, ale rozumiem, co czuje twój brat. Wszystko razem, i kalectwo, i zdrada ukochanej, to doprawdy za wiele na jednego człowieka. Tym bardziej że tak się świetnie zapowiadał...

— O tak, Jan był niezwykły. Gdy bywali u nas noście, zawsze mówił o mnie „moja mała siostrzyczko”, a ja pękałam z dumy, że mam takiego brata. A teraz sam, w ciemnych pokojach, z Dominikiem... I nigdy nie wychodzi. Widuję go parę razy do roku, ale nie mogę poznać. Boję się... nie mogę patrzeć... taki przedtem wesoły, serdeczny, teraz zmieniony nie do poznania. Czasem trudno mi nawet przypomnieć, jaki był, gdy widzę go z daleka, w fotelu na tarasie... nie chce wówczas, by się do niego zbliżano, a Dominik jak smok...

Gdy domawiała ostatnich słów, z bocznej alejki wyłonił się służa w tabaczkowym ubraniu. W rękę trzymał duży, lśniący klucz.

— Idzie sprzątać w pawilonie — rzuciła Adelka i pociągnęła Valentine w powrotną drogę, unikając spotkania ze srogim stróżem pamiętek.

* *
*

Dziś spadł pierwszy śnieg, a także odwiedził mnie doktor Gorlicki. Została po nim kupka recept i zapach jakiegoś środka dezynfekcyjnego. Obrzydliwy.

Nic mi się nie chce. Ani czytać, ani rysować. Noga znowu boli. Do tego Gienia jeszcze zajęta praniem.

Najlepiej teraz czuję się w Tarnówkach. Tam już wiosna, choć i tam smutek.

Wieczór siódmy

Uratowani! Wszyscy uratowani! — Cezary zatrzasnął z impetem drzwi szkolnego pokoju i spojrział triumfująco na Valentine.

— Kto taki? O kim mówisz?

Już pani zapomniała! No, ci żołnierze... pięciu żołnierzy!

Pamiętam, pamiętam, ci, co odmówili złożenia przysięgi.

— No właśnie. Dziś w nocy zostali odbici.

— Jak to... odbici?

— Nic pani nie rozumie. No, odbici przez Liberatora i jego ludzi.

— To on ma ludzi?

— Ma cały oddział, a gdyby zechciał, wszyscy z tej okolicy poszliby pod jego rozkazy. Ja pierwszy!

— Kiedy to się stało?

— Dziś w nocy. Antoni mówi, że dobrze wybrał porę, bo teraz nie ma księżycy i noce bardzo ciemne. Podobno Prusacy pękają z wściekłości. Dostali porządne lanie.

— Czy była bitwa? — zaniepokoiła się Valentine.

— Trochę tam popukali — Cezary lekceważąco wstrząsnął głową. — Tuż po północy, gdy wszystko ucichło, wyprowadzono więźniów i, zakutych w kajdany, wsadzono na konie. Eskortował ich oddział dragonów. Liberator czekał już ze swymi ludźmi w lesie, niedaleko karczmy.

Prusacy niczego się nie spodziewali, popędzali tylko konie i rwali naprzód. Aż tu raptem „Halt!” i z zarośli wysypali się na drogę zamaskowani jeźdźcy — oni zawsze w maskach. Dostarczyli do oficera i przyłożyli mu pistolety do piersi, że nie mógł drgnąć, rozpędzili dragonów na cztery wiatry, jeńców pognali naprzód i przepadli w lesie. Natychmiast wysłano pogoń, ale gdzie ich szukać? Oni już piwnie daleko, mają zaprzyjaźnione dwory, a więźniów odstawiają etapami do granicy, a potem hajże do Francji... Tak mówi Antoni, a on wszystko wie. Gdyby był młodszy, poszedłby do Liberatora, ale już za stary, tak mówi... Za to ja kiedyś pójdę.

— Mogą być z tego wielkie nieprzyjemności.

— Na pewno będą. Papo spodziewa się wizyty generała Gulbina, słyszałem, jak rozmawiał z panem Nowiakiem.

— No cóż — westchnęła Valentine — mimo wszystko zabierzemy się do lekcji.

— Pani to tylko lekcje...

— Bo widzisz, w twoim wieku należy się uczyć.

— Są ważniejsze rzeczy, niż te jakieś... zdania warunkowe.

— Owszem, zgadzam się, ale ta godzina dziennie, jaką poświęcasz na naukę francuskiego, też ma swoje znaczenie. Nie wiadomo, kiedy i w jakich okolicznościach te dziś tak przez ciebie pogardzane zdania

warunkowe mogą się przydać, a nawet być niezmiernie ważne. Może od twojej poprawnej francuszczyzny będzie zależeć czyjś los... Może kiedyś będziesz musiał coś dobrze i jasno wytłumaczyć po francusku, coś bardzo ważnego. Nic nie wiadomo, tyle jest w życiu niespodzianek — chociażby i ten Liberator...

— O, Liberator — Cezary przymknął oczy w zachwyceniu. — Do licha, wszystko bym dał, żeby go zobaczyć! Niechby już był nawet w masce!

Przyjechali, gdy Adelka i Valentine zajęte były wycinaniem portretów bohaterów różnych czasów i naklejaniem ich na osobne kartoniki. Postanowiły bowiem założyć „galerię wielkich ludzi” na szkolny użytek, a właśnie nadeszły z Paryża zamówione w tym celu albumy.

Najpierw posłyszały ujadanie wszystkich psów, jakie tylko były w domu, a potem z tupotem kopyt i brzękiem ostróg stanęła u podjazdu cała kawalkada. Generał Gulbin zajechał powozem, w towarzystwie nieodłącznego adiutanta.

Po kwadransie w szkolnym pokoju zjawił się Antoni z wiadomością, że generał życzy sobie widzieć wszystkich domowników i jasnie pan polecił poprosić panienki. Na twarzy starego kamerdynera przez powłokę

falszywego smutku przebijało zadowolenie, satysfakcja, zawziętość, jak gdyby cieszył się, że mimo wszystko postawił na swoim.

Valentine wstąpiła do siebie, aby przyglądać włosy. W lustrze uderzyła ją zmiana własnego wyglądu. Nigdy nie sądziła, że tak szybko może się poprawić, ale zaokrąglone policzki, błyszczące oczy i zdrowa cera przekonały ją niezbicie, że wiejskie powietrze Tarnowic służy o wiele lepiej niż paryskie salony pani de Flagny. Mały, biały kołnierzyk, ciasno otaczający szyję, czynił ją niezwykle młodą, wprost dziecinną, nic też dziwnego, że gdy schodziła z uczepioną u ramienia Adelką, wyglądała prawie na rówieśnicę uczennicy, takiego zresztą zdania był adiutant, który stojąc pośrodku wielkiej sieni, wydawał rozkazy żołnierzom.

Gdy znalazły się na dole, otworzył przed nimi drzwi salonu. Valentine popchnęła naprzód Adelkę, która ujrawszy ojca, szybko posunęła się w stronę, gdzie siedział pan Tarnowicki, lecz sama nie zdążyła przestąpić progu pokoju. Usłużny adiutant już stuknął obcasami, okiem znawcy oceniając zgrabną figurę i piękne włosy nauczycielki, a jednocześnie przytrzymał stanowczo zbawcze drzwi.

— Pani pozwoli, Mademoiselle — francuszczyzna była bez zarzutu, a ręka w białej rękawiczce wskazywała przeciwną ścianę.

— Przepraszam pana — Valentine spojrzała prosto w oczy oficera — pan Tarnowicki prosił, bym zeszła razem z moją uczennicą.

— Tak, tak, wiem, Mademoiselle, przedtem jednak pragnąłbym z panią chwilę porozmawiać. Tam nam nikt nie przeszkodzi — prowadził ją do małego salonu — to... rozkaz generała.

Valentine oparła się o klawikord.

— Pani prześlicznie gra, słyszałem — ciągnął oficer, podsuwając fotel. — Proszę łaskawie usiąść.

— Dziękuję, co ma mi pan do powiedzenia?

— O... nic specjalnego. Pani jako cudzoziemka nie jest, naturalnie, zainteresowana tutejszymi sprawami. Polacy, to naród trudny do prowadzenia, niesubordynowany. Pewnie już to pani zauważyła?

— Jestem nauczycielką i zajmuję się edukacją panny Tarnowickiej. Nigdzie nie bywam i nie widuję nikogo oprócz domowników. Poza tym nieznajomość języka nie pozwala mi bliżej ocenić charakteru Polaków. W Tarnowicach wszyscy grzeczni i uprzejmi, reszta mnie nie obchodzi. Czy to panu wystarczy?

— Najzupełniej, Mademoiselle. Niemniej jednak, gdyby pani coś zauważyła... Widzi pani, oni nie chcą zrozumieć najlepszych intencji Jego Królewskiej Mości. Za tyle dobrodziejstw, taka czarna niewdzięczność...

— Nie interesuję się polityką.

— To nie polityka, to najprostsze zasady dobrego wychowania. Ale to gbury, okropnie zarozumiali. I zamiast ubiegać się o łaskę... Ot, na przykład w tej okolicy... pewnie słyszała pani o Liberatorze?

— O kim?

— No, o „Wyzwoliciele”, nazywają go tu po łacinie.

— Nie słyszałam, nie znam łaciny.

— Ale może ktoś o nim mówił? Proszę sobie przypomnieć... Liberator...

Valentine wstrząsnęła lokami.

— Amerykanie nazywają Wyzwolicielem Jerzego Waszyngtona — powiedziała rozbijającą. — Ale nie widzę związku...

— Tak, tak — pospieszył adiutant. — Rzeczywiście to nie ma nic wspólnego z interesującą nas sprawą. Jest pani czarująca i rzadko mam taką przyjemność... dziękuję stokrotnie... Sługa pani, sługa, Mademoiselle.

Valentine rada była z siebie, gdy poprzedzona przez eleganckiego adiutanta przemierzała sień i wchodziła do przeciwległego salonu. Przed generałem stała Anna, w jeszcze bardziej, jeśli to możliwe, nakrochmalonych spódnicach.

— Księżna pani kazała powiedzieć, że jeżeli pan generał sobie życzy, przyjmie pana w swoich apartamentach.

Pokojowa odeszła z podniesioną głową, przy akompaniamencie nadmiaru krochmalu, nie czekając na odpowiedź gościa.

— To panna Delarose — pan Tarnowicki wskazał Valentine złożone krzeselko. — Nauczycielka mojej córki.

General Gulbin skłonił głowę i przyglądził siwiejące faworyty.

— Bardzo mi miło, Mademoiselle — niespokojne oczy badały twarz nowo przybyłej. — Francja to śliczny kraj, śliczny — nieokreślony ruch ręką, po czym w stronę pana Tarnowickiego — Paryż, ach, Paryż! My też byliśmy młodzi, prawda? Pani dawno z Paryża?

— Już ze cztery miesiące.

— Ach tak... a po polsku pani już umie?

— Skądże? Tego języka chyba nie nauczy się żaden Francuz. Za to moja uczennica robi wielkie postępy we francuskim. I pan generał ładnie mówi.

— Dziękuję, dziękuję. A uczennica robi postępy? Nu, nic dziwnego — generał wydawał się zbity z tropu. — No, a jak pani rozmawia ze służbą?

— Wcale nie rozmawiam. Obsługująca mnie kobieta rozumie trochę po francusku, w razie potrzeby pomaga mi panna Tarnowicka.

— Rozumiem, rozumiem, ale ciekawią panią różne rzeczy, nie?

— O tak! — twarz Valentine wyraziła najwyższy entuzjizm. — Na przykład muzyka! Cóż to za rozkosz! Tym bardziej że w Tarnowicach jest doskonały klawikord, od pana Pleyela z Paryża. Dużo grywamy na cztery ręce i...

— Wiem, wiem — rozczarowanie generała rosło. — Pani artystka, słyszałem, słyszałem. Ale tak w wolnych chwilach...

— Mało mam wolnych chwil — przerwała surowo Valentine. — Przez cały dzień nie odstępuję mojej uczennicy. Panna

Tarnowicka pod moim kierunkiem dopełnia swej edukacji i może pan być pewien, że pracy mamy wiele...

— Nie wątpię — generał spojrzał porozumiewawczo na pana domu. — Paryska moda, ech? Żurnale...

— Chociażby i żurnale — przytaknęła z powagą Valentine. — Pan generał interesuje się modą? — dodała niewinnie.

— Jak najbardziej — roześmiał się baron Gulbin. — Nic lubię niemodnie ubranych kobiet.

Przez cały czas rozmowy pan Tarnowicki bawił się sygnetem.

— No to chyba na dziś wystarczy. Pan ma jeszcze, zdaje się, syna, tak?

— Dwóch synów. — Pan Tarnowicki nie odrywał oczu od krwawnika sygnetu. — Młodszy dwunastoletni, a starszy...

— Wiem, wiem — przerwał generał. — Kaleka...

— Tak, kaleka...

— I nie chodzi?

— Nie.

— Ale tak po domu...

— Od czasu katastrofy nie opuszcza swoich pokojów... i nie widuje nikogo z wyjątkiem starego sługi...

— A ten sługa?

— Na krok nie odstępował swego pana, wierny jak pies, zna wszystkie jego chorobliwe dziwactwa i tylko on potrafi mu dogodzić...

Generał Gulbin trząsał współczująco głową.

— I to tak... dawno?

— Dawno, już pięć lat.

— Dobrze, że ma pan drugiego syna, będzie kom przekazać taki piękny majątek... Ja mam same córki, ech! — machnął ręką. — Z córkami też kłopot. Trzeb dobrze wydać za mąż, a to nie takie proste... Coraz trudniej o solidnych kandydatów. Przy posażnych pannach kręci się zazwyczaj zgraja hołyszów i jak które taki spryciarz zawróci w głowie, to i kijem nie wybijesz. Ech! — Generał wstał z trudnością. — Chyba już nie złożę uszanowania księżnej pani — powiedział poruszając nogą — ciężko wejść na schody, dziś znowu chwyciła mnie podagra, widać na zmianę pogody...

Gdy wreszcie zapanował spokój, trudno było powrócić do przerwanych lekcji. Adelka kręciła się na krzeselku, niezdolna przypomnieć daty bitwy pod Crecy.

— Pójdę do babuni, można? — spytała wreszcie, patrząc prosząco na Valentine. — I tak nic mi się nie klei... Ten wstrętny generał Gulbin popsuł cały dzień.

— Najważniejsze, że sobie pojechał.

— Oby nigdy nie wracał! Papo powiedział, że pani była wspaniała. Ja zresztą zawsze jestem tego zdania.

— No, nie przesadzaj.

— Adiutant tak się pani przyglądał... Bezczelny! — Adelka pociągnęła nosem i zamknęła podręcznik historii powszechnej. — Nie potrafię się skupić — powiedziała ze skruchą.

— Idź do księżnej pani — zachęciła Valentine. — Ja też chętnie odpocznę. Rozboląła mnie głowa.

Po wyjściu dziewczynki podeszła do okna. Ze szkolnego pokoju widać było tę część parku, kędy szło się do niedostępnego pawilonu. Pusto tu teraz i cicho. Alejki lśniły wilgotnym żwirem. W nagich jeszcze konarach starych drzew przekrzykiwały się ptaki. Nagle spod domu wyłonił się Dominik. Szedł jak na starca zadziwiająco szybko i sprężysto, przytrzymując poły zielonej bekieszy, odstające po bokach, jak gdyby kryły jakiś przedmiot dość pokaźnych rozmiarów.

Valentine przeprowadziła wzrokiem starego sługę, aż znikł wśród zarośli.

Najchętniej położyłaby się do łóżka, lada chwila jednak należało oczekiwać gongu wzywającego na obiad. Nie chciała robić zamieszania i zwracać na siebie uwagi nieobecnością. Domownicy i tak przeżyli wystarczająco na ten dzień emocje.

Czego jednak Prusacy szukają w Tarnowicach? Wiadomo przecież, że nie tu kryje się ten nieuchwytny Liberator. A jeżeli?... Valentine przyciska rozdygotane nagle serce. Czyżby pan Tarnowicki? Czemu nie? Wszystko możliwe. Taki patriota... Tyle tu służby, młodych, silnych parobczaków, którzy na skinienie pana poszliby w ogień. Pan Nowiak pewnie wtajemniczony...

Pokój szkolny nagle robi się za ciasny. Valentine przechodzi do siebie. Tu jakoś lżej oddychać, spokojniej, bezpieczniej wśród własnych drobiazgów. Bezwiednie co chwila

spogląda w okno, jak gdyby kogoś wyczekując. Ale kogo? Czyżby powrotu Dominika? Dominik to też problem, zachowuje się bardziej niż podejrzanie. Dlaczego kręcił się wśród Prusaków za pierwszą bytnością generała w Tarnowicach? Czego szukał, gdy specjalnie powoli przesuwiał się przez sień zatłoczoną żołnierzami?

Valentine zrywa się z fotelika.

Kiedyż wróci ten niepokojący „człowiek w tabaczkowym ubraniu”, który z początku tak się jej natarczywie przyglądał? Przypuszczalnie to szpieg. Siedzi zamknięty z kaleką, widzi i słyszy wszystko, co dzieje i się w domu, i donosi... Ten wzór wierności i oddania to zręczny intrygant, hipokryta, który potrafił wkraść się w łaski biednego ojca, stać się niezbędnym dla syna, a w rzeczywistości robi to nie z dobrego serca czy przywiązania, lecz za pruskie pieniądze...

Valentine wstrząsa się z obrzydzeniem.

Wśród nagich gałęzi zielenieje wypłowiała bekieszka. Valentine jednym skokiem dopada okna. Tym razem bekieszka niczego nie ukrywa, opada płasko po obu bokach idącego.

Czyż pan Tarnowicki nie widzi, nie domyśla się zdrady?

Gdy w chwilę potem schodziła na obiad, miała wypieki i większy ból głowy niż przed godziną.

Księżna, jak zawsze prezydowała przy stole. Pan Tarnowicki wyglądał jeszcze bardziej stroskany, a rezydenci nie objawiali

ochoty do rozmowy. Dobry humor nie opuszczał jedynie Cezarego, który ze zwykłym apetytem pożerał wszystko, co podawał Antoni, obrzucając obecnych triumfującym spojrzeniem. Pan Bukowski za to prawie nie dotykał potraw i nie spuszczał z wychowanka przerażonych oczu.

Valentine obserwowwała pana domu. Właśnie powiedział coś do Antoniego, który nachylił się z szacunkiem. Trudno jednak usłyszeć. Stół wielki, a krzesła siedzących oddalone od siebie. O, teraz księżna zwraca uwagę, że Adelka mało je. Valentine obraca głowę w stronę uczennicy. Rzeczywiście talerz dziewczynki pełny, Adelka grzebie od niechcienia widelcem wśród plasterków pieczeni, po czym z westchnieniem bierze ilo ust jeden kęs.

— Proszę cię, zjedz wszystko — mówi księżna.

— Dobrze, babuniu — odpowiada cicho dziewczynka udając zainteresowanie dla puree z kartofli.

— Hy — prycha pogardliwie Cezary przełamując żelazną obiadową dyscyplinę — głupia gęś z tej Adelki. Zamiast się cieszyć...

Pan Bukowski ma taką minę, że Valentine mimo litości, jaką wzbudza nieszczęsny preceptor, musi stłumić uśmiech.

Cezary naturalnie ma rację, należy cieszyć się, że i tym razem Liberator bez przeszkód zrobił swoje. Prusacy ciągle szukają, a więc nie mają pewności czy dowodu, że to właśnie pan Tarnowicki...

Wieczorem wpadła Babette.

— Pytali mnie, lotry — zawołała od progu.
— Mylili, że ja sprzedawczyk! Widziała panienka coś podobnego? Świat się kończy. Jaśnie pan na próg nie powinien wpuszczać tej zarazy.

— Jakże może nie wpuścić? — westchnęła Valentine. — Mają prawo...

— Jakie tam prawo, zaborcy! Boże mój, Boże, na co ja się już napatrzyłam! W piekle będą gorzeć, szatany! — krzyknęła nagle z pasją. — Panienka nie wie, co tu się działo przed pięciu laty! Nieszczęście z paniczem i powstanie w Królestwie. Zastrzelić się chciał! Ile ja nocy przy nim przesiedziałam! „Janeczku, mówię, skarbie, dziecko ty moje najdroższe, ja matce twojej obiecałam, a nie ustrzegłam. Jak ja jej w oczy na tamtym świecie spojrzę, co powiem... Nie rób je tego! Nogi twoje młode, jeszcze się wyleczą. Na kolanach do Częstochowy pójde na tę intencję...” A on nic, tylko „koniec ze mną, koniec.” Ratunku nie było Jaśnie pan doktorów, jakich tylko wynalazł, sprowadzał, ale potem, jak powstanie ogarnęło cały kraj, jak bili się wszędzie, a my tak blisko granicy, że po drogach snuły się pruskie oddziały, to i doktorzy przestali przyjeżdżać. Siedzieliśmy zamknięci w Tarnowicach jak w fortecy, tylko nocą szły dostawy dla naszych, bito świnie i bydło, pieczono chleby, wysyłano owies. A Prusacy to od początku jawnie pomagali carowi. Pludry im się trzęsły ze strachu, tak się bali zwycięstwa Polaków. Na granicy gromadzili wojsko i dostarczali carskim żołdatom żywność i amunicję. Co

dzień prawie zjawiali się u nas różni generałowie i inni dostojnicy. „Chorobę mam w domu, nieszczęście — mówił jaśnie pan — nie w głowie mi rewolucja, dajcie spokój, przepuście doktorów”. Wypadek panicza narobił rozgłosu w całej okolicy, więc jakoś nas oszczędzili.

— Adelka opowiadała mi o katastrofie — wtrąciła Valentine — i o zwrocie pierścionka.

— To ladacznica — zasyczała Babette. — Od początku ją przejrzałam. „Janeczku, nieraz mówiłam niedobra to dziewczyna, strzeż się.” A on tylko mnie w oba policzki pocałował i wołał: „Ale śliczna, Babetko, śliczna, że drugiej takiej na świecie nie znajdziesz” Śliczna to ona była, ale nie taka, jak należy. Bezwstydnica! Omotała go dookoła palca, nie miał własne woli. Patrzył na wszystko jej oczami. A ja wiedziałam, że to zguba. Inaczej być nie mogło. I nogi stracił przez nią...

— Jak to przez nią? Przecież wypadek zdarzył się na polowaniu, syn pana Tarnowickiego spadł z konia.

— Nigdy nie spadał z konia, słyszy panienka? Nigdy! Tylko ten raz... bo ona kazała przesadzić rów, bo się droczyła, bo go nie kochała, na śmierć posłała! Z kokieterii, z pustoty! Pan Ostreyko był przy tym i widział. Ścierpieć jej nie może. Rozpacz udawała, kłamczucha, lała krokodyle łzy, a potem nagle odesłała pierścionek...

Kot Marcin otworzył oczy i wlepił w swą panią chryzolitowe ślepie. Babette głośno wytarła nos.

— Ladacznica! — powtórzyła z pogardą. — Ladacznica i zbrodniarka. Za moich czasów wystawiano takie pod pręgierzem na widok publiczny na placu de Grève w Paryżu. To hańba! Myślałam, że wtedy zwariuje. Tak płakał... a potem śmiał się... na krok nie odstałam, za ręce trzymałam... jeden Bóg widział... — Trzęsącymi się dłońmi podniosła do oczu chusteczkę. — Ot i mówić o tym nie mogę, gdy wspomnę, to tylko płakać i płakać...

Valentine pogłaskała po ramieniu była pokojową.

— Biedna Babette, przepraszam, że ja tak ciągle... Babette to przeżyła, a dla mnie wszystko nowe. I ciekawi mnie, bo bardzo się do nich przywiązałam. Ale już nie będę. Wie, Babette, mnie też wypytywali... aż dwaj... adiutant i sam generał.

Babette podniosła zaczerwienione oczy.

— O co pytali?

— O Liberatora.

— To panienka wie?

— Słyszałam. Cezary nie mówi o niczym innym. Ma nabitą głowę czynami bohatera. A co Babette o tym sądzi?

— To prawdziwy bohater, panienko. Jak pierwszy raz wydarł więźniów z rąk Prusaków, to jak gdyby piorun uderzył w całą okolicę! Gdy 5 października 1831 roku wojsko polskie pod dowództwem generała Rybińskiego przekroczyło granicę, Prusacy otoczyli wszystkich żołnierzy i zaczęli zmuszać do powrotu. Co tu się działo, panienko, to Bogu jednemu wiadomo, szcze-

gólnie w Elblągu i w Tczewie! A carscy czekali tylko na „buntowników”. Kto więc mógł, przedzierał się do Francji. Resztę wylapywali. I nagle pojawił się Oswobodziciel. Uciekinierom przez granicę przedostać się pomagał i dalej kierował ich losem. Wiemy, że ci, których uratował, znaleźli się na francuskiej ziemi. Widzi więc panienka, co on dla nas znaczy. Po strasznej wojnie w Królestwie, w niedoli i ujarzmieniu, nagle we wszystkich wstąpił nowy duch! Proboszcz „Te Deum” dziękczynne odśpiewał i on to nadał wyzwolicielowi łacińskie imię. Są tacy, co go widzieli — Babette zniżyła głos do szeptu — młody, wspaniały, na pięknym koniu, w masce...

— Młody?

— Tak przypuszczają, sądząc po postawie i ruchać A... co panienka odpowiedziała?

— Że nie wiem, że nie słyszałam, że nie rozumiem po polsku, a w ogóle zajęta jestem edukacją panny Tarnowickiej.

— To dobrze. Szelmy, już się i do panienki dobrali. Liberatora i tak nie wykryją, nie ma zdrajców w naszej okolicy. Cały lud za nim, chyba że...

— Że co?

— E, nic. Tak mi się jakoś wyrwało. Za straszne to podejrzenie, żeby je nie zbadawszy na kogo rzucić.

— A dlaczego szukają w Tarnowicach?

Nie tylko w Tarnowicach. Wszędzie. Byli i u hrabiego Bielskiego w Celinówce, i u pana Stryjewicza w Radlewie, i u księcia Ponińskiego. Służba mówiła... A proboszcza to zabrali do miasteczka i pół dnia trzymali, powtarzając w kółko: „A kto? a gdzie? a kie-

dy?" Ale Liberator mądry i nikt nie wie i nie potrafi nic powiedzieć. Każdy pod przysięgą może zeznawać spokojnie.

— Czy on dawno tu działa?

— Już chyba ze trzy lata. Teraz to my przywykliśmy, ale z początku... Jak gdyby nas kto na sto koni wsadził! Jaśnie pan zabronił mówić paniczowi Cezaremu, żeby dziecko nie wypałało co niepotrzebnie, nie służbie nie utrzymać języka za zębami! W kuchni czy w stajni tylko o tym gadano. A Prusacy kręcili się wszędzie, szpiegów różnych nasyłali, badali ludzi, nie bez skutku. A tamtej nocy to słyszałam... wielu jeźdźców pędziło drogą. Nie wiem tylko, czy to byli dragoni, czy oddziałek Liberatora. Spać nie mogłam...

— A co Babette przypuszcza? Kto to może być?

— Nic nie przypuszczam i nie chcę wiedzieć! Tak lepiej. On wie, co robi. Dlatego nosi maskę. Może on nietutejszy... nie wiadomo. Ale niech się panienska pilnuje, generał Gulbin to chytra sztuka, udaje dobrodusznego... Trochę go teraz unieszkodliwiła podagra, bo przedtem to latał konno jak młodziak. Adiutant łobuz, amory mu w głowie, zameżne kobiety bałamuci. Reszta to hołota, potrafi tylko machać szpicrutą... Proszę uważać. Może i panience uwierzyli, a może nie i będą dalej węszyć. Generał Gulbin nie spocznie, dostał rozkaz od samego króla. Już ja ich znam...

* *
*

— Tak mi przykro — Gienia siada z westchnieniem w nogach mego łóżka. — Nie wiem wprost, co robić? Stefan będzie wściekły...

— Musisz ją zaprosić na obiad, nie ma innej rady, Siedzą ciągle w pokoju Juliana?

— Ciągle. Boję się, że Stefan zrobi awanturę.

— Bądź spokojna, nie zrobi.

— Tak nie lubi obcych, bo to ani porozmawiać... a szczególnie w niedzielę...

— Obiad już gotów?

— Tak, ale sama nie wiem...

— Idź, uprzedź Stefana, a potem zapukaj do nich i poproś na obiad.

— Tobie to nie zrobi różnicy?...

— Wprost przeciwnie. Nareszcie ujrzę tę rudowłosą boginię.

Gienia wstaje jakby ciut, ciut pogodniejsza.

— No to idę do Stefana.

— Nie bój się i tak zrobisz z nim, co zechcesz. Gienia wychodzi już rozpogodzona, a ja zabieram się pospiesznie do makijażu i poprawiam włosy.

Z dołu słychać stukot otwieranych i zamykanych drzwi, głosy i brzęk naczyń. Gienia wyjmuje z kredensu talerze. Kroki na schodach. Po chwili za Gienią wsuwa się rudowłosa dziewczyna. Niesie obrus i sztucce. Od razu widać, że czuje się jak u siebie w domu.

Julian ma minę obitego psa, a Stefan wcale nie przypomina groźnego pana domu, niezadowolonego z przygodnego gościa. Wprost przeciwnie. Jest uprzedzająco grzeczny, nawet powiedziałabym — nadskakujący.

Gienia ma rację, dziewczyna jest zdecydowanie nieapetyczna. Ale z mężczyznami to nigdy nie wiadomo. Szopa rudych kosmyków zwisających do ramion, cera nieświeża, prawie szara. Od razu poznaję, że kolor włosów sztuczny, rude mają tę nieporównaną, jasną karnację. Oczy nijakie, usta brzydkie, nie malowane. Tylko zęby wspaniałe. Białe i duże. Drapieżne.

Postać raczej chuderława. Ubrana w nędzną, nieokreślonego koloru spódniczynę i biały, mocno przybrudzony sweter.

Przy obiedzie uderzają mnie jej ręce. Źle utrzymane, ale równie drapieżne jak zęby. Julian milczy, nie podnosi prawie oczu znad talerza. Dziewczyna za to jest rozmowna.

— Pani też na politechnice? — pyta Stefan.

— Nie, ja w technikum wieczorowym.

— A rodzice pani mieszkają w Warszawie?

— Nie, ja w internacie, rodzina daleko, na Śląsku, Julian za to ma wygodę, tak blisko Warszawy. W internacie też przyjemnie, większa swoboda. Starzy wszystkiego się czepiają...

Romek patrzy z zainteresowaniem na gościa i z triumfem na rodziców.

Dziewczyna je z wilczym apetytem, a Gienia, nawykła do gościnności, podsuwa jej półmiski.

— Szczęściarz z tego Juliana — mówi rudowłosa ustami pełnymi buraczków —

takiego żarcia nie dają w stołówce, a on wiecznie skrzywiony. Spróbowałby...

Romek wprost promienieje.

— Pomogę pani sprzątać ze stołu — ofiarowuje się dziewczyna po obiedzie, ale Gienia nie przyjmuje pomocy i wysyła na dół Juliana i jego bogdankę.

— Jak ci się podoba? — pyta zgnębiona, gdy zostajemy same. — Nigdy nie posadziłabym Juliana u takie gusta.

— Wydaje się bardzo zakochany. I bezsprzecznie jest pod jej wpływem. Trochę się też za nią wstydzi, że taka nieokrzesana. No cóż, kiedyś będzie pod pantoflem...

— Żeby była mniej pewna siebie, żałowałabym jej. Głodne to, zabiedzone...

— Ale chłopców umie wodzić za nos. Julian za to może być spokojny, takiej nikt nie poderwie.

Dziewczyna odjechała wieczorem, a właściwie Julian odwiózł ją do Warszawy. Nie widziałam jej już od obiadu, bo całe popołudnie udawałam drzemkę. Bardzo dobrze mi się myślało o Tarnowicach. Starałam się wygrać patriotyczną nutę. Prusacy — to pachnie okupacją. Wojny co prawda nie pamiętam — urodziłam się w historycznym dniu pierwszego września 1939 roku — ale tak dużo się o tych czasach słyszało, widziało filmów, czytało książek! A bohaterski partyzant to też nie nowość. Tyle że na koniu i w masce, a więc romantyczniej niż z lat „serca w plecaku”.

Jaka piękna tarnowicka wiosna! Można by urządzić przyjęcie w parku... z lampionami... takie zeszlowieczne garden party... Jasne toalety kobiet, świeża zieleń drzew i

krzewów, kwiaty na kapeluszach i na kłombach. Doskonale wyjdzie w eastmancolorze. Po patriotycznej wstawce taka chwila odprężenia ucieszy widzów. Należy przecież wyzyskać wszystkie możliwości filmu. Potrzebna tylko będzie dobra ilustracja muzyczna. Poradzę się Cyryla. Wydaje mi się, że najlepiej wyszłyby kawałki z epoki... takie mniej znane, mniej grane utwory, podkreślające nastrój poszczególnych scen. I konieczny choreograf do odpowiedniego układu tańców. Nie mam na przykład zielonego pojęcia o kadrylu. Ale to już nie moja rzecz, to znowu reżyser... a więc Cyryl...

Dlaczego Cyryl na niedzielę został w Łodzi? Tego dnia nic przecież nie załatwi. Odpowiedź jednak jasna i wyraźna: Aniela Remiga.

No, szkoda czasu. Wracajmy do Tarnowie.

Wieczór ósmy

Tę niebieską w narcyzy obszyjemy falbaną — zdecydowała Adelka. — Prawda, babuniu, że to będzie ładnie?

Księżna pogłaskała cienki batyst w białe narcyzy z żółtymi oczkami, jedwabistej wprost delikatności.

— Owszem — odparła po namyśle. — W takim razie przy rękawach także potrzebna falbanka.

— Kolor jak stworzony dla jaśnie panienki — Babette miała pełne usta szpilek. — W sam raz do oczu.

— A tej w szafirowe bratki damy bufiaste rękawy i biały kołnierzyk z walansjenek. Nie wiem tylko, co wiozę na papy imieniny...

— Jak to co? Białą muślinową.

— Zawsze na biało...

— Najodpowiedniejszy kolor dla młodej panienki. Adelka wydeła usta, nie przekonana argumentem babki.

— Wolałabym różową taftę.

— Tafta na zimę — wtrąciła Valentine. — Teraz najwłaściwszy batyst lub muślin.

— Wykończę tę błękitną w narcyzy — obiecała Babette. — Zobacz panienka, że to będzie cudo. Elegancka i modna, fason przecież z paryskiego żurnalu.

Adelka jednak nie podzielała entuzjazmu starej pokojowej.

— Zapominasz, Babette, że w maju same imieniny. Ósmego papy, piętnastego Zofii, już nas zaprosili państwo Bielscy, potem

Heleny, więc jedziemy do Radlewa... Nie mogę stale występować w białym muślinie, a z zeszłorocznych sukien całkiem już wyrosłam.

— Nie grzesz, Adelko. Słuchając ciebie, myślałby kto, że najważniejsze w życiu to szafa pełna strojów.

— Ale wszystkie za krótkie, widać kostki. Jestem już zbyt dorosła...

— Obawiam się, że długo jeszcze pozostaniesz dzieckiem próżnym i rozkapryszonym.

— Niech się babunia nie gniewa...

— Nie gniewam się, tylko mi smutno.

— Proszę nie być smutną. Panna Delarose uważa, że bardzo ostatnio spoważniałam. Czyż nie tak, proszę pani?

Valentine kiwnęła głową z uśmiechem, po czym, nawlekła długą, białą nitkę. Na jej kolanach piętrzyły się zwoje batystu w gałązki wrzosu, prezent od Madame Gavin. Paczka przysłała przed kilkoma dniami, a oprócz batystu zawierała jeszcze tuzin białych pończoch i śliczne pantofelki.

Moja kochana Valentine — pisała pocziwa kobieta. — Cieszę się, że ci dobrze u księżnej. To mądra pani, nie to co twoja była opiekunka. Zmieniła już trzy panny do towarzystwa, żadna nie mogła wytrzymać dłużej niż miesiąc. Ostatnią oskarżyła o kradzież pierścionka, pamiętasz, tego wielkiego szmaragdu, który stale nosi.

Dowiedziałam się o tym od hrabiny de Narville. Biedną dziewczynę, pół żywą ze strachu, zabrała policja, a pani de Flagny krzychała: „Złodziejka, trzymajcie złodziejkę, niech mi odda szmaragd”. Policijni ajenci przesłuchali całą służbę, dobrze, że ciebie tu nie było, czysta Sodomia i Gomora, co się tam wyrabiało. No i szmaragd znalazł się w klatce papugi. Pani de Flagny taka nieporządna, jak wiesz, a Lorcja właśnie spacerowała po pokoju i chwyciła błyskotkę z toaletki. I zamiast sprawdzić, przeszukać kąty, to zaraz huzia na biedną dziewczynę. Ciężko się podobno rozchorowała po tym przejściu, jak słyszałam...

Posyłam ci kilka drobiazgów i batystu na suknię, z pewnością ci się przyda. Zaoszczędziłam trochę groszak a że ja, stara, nie mam już tylu potrzeb, więc cieszę się mogąc zrobić ci drobną przyjemność. U nas w tym roku bardzo wczesna wiosna, jeździłam ostatnio do mojej siostrzenicy, do Bougival — wszystko tam już kwitnie, bzy i glicynie. Wspominałyśmy ciebie...

Batyst był wyjątkowo piękny i w gatunku, i we wzorze. Cieszyła się z prezentu. Będzie miała aż dwie nowe suknie, bo i księżna ofiarowała jej muślin w bukieciki fiołków. Żeby tylko uszyć na czas...

— Babetko — Adelka pogodziła się z decyzją babki — Czym ugarnirujesz tę białą?...

— Niezapominajkami, panienko. Damy duży pęk przy staniku i rozrzucimy po spódnicy...

— Ale bez szarfy...

— Szarfa niepotrzebna. Stanik tak skrojony, że nie wymaga przewiązania. Będzie panienka oczy rwać w lej sukni...

Na świętego Stanisława, patrona pana Tarnowickiego, suknia z paryskiego batystu była gotowa. Lekko nakrochmalona i świeżo uprasowana, leżała na białej kapie łóżka. Valentine w falbaniastej halce kręciła się po pokoju, podniecona przygotowaniami do uroczystości. Na komodzie stał wielki bukiet bzu, który służąca wniosła wraz ze śniadaniem, a z otwartego okna płynęły wiosenne zapachy parku. Spodziewano się wielkiego zjazdu gości, choć nie proszono nikogo. Taki Już był zwyczaj, że całe sąsiedztwo zjeżdżało się tego dnia do Tarnowic. Nawet nieszczęście, jakie dotknęło solenizanta przed pięciu laty, nie wpłynęło na zmianę ustalonego porządku. Zjazd tylko był mniej hałaśliwy, nie tańczono, każdy jednak spieszył wyrazić swe współczucie, a jednocześnie życzyć odmiany losu.

Valentine i tym razem miała czuwać nad Adelką, tak bowiem zadysponowała księżna.

Korzystając z pięknej pogody, cała zabawa odbywała się w parku. Starsze towarzystwo ulokowało się na tarasie, a wśród zieleni

alejek migały jasne suknie panien i fraki paniczów.

Tych, co przybyli najwcześniej, zatrzymano na obiedzie i tego dnia w wielkiej jadalni z czarnego dębu zasiadło do stołu trzydzieści osób.

Po południu przyjechali hrabiostwo Drwęccy. Ona olśniewająca w jasnożółtej powiewnej kreacji z mnóstwem falban i riusz, on jak zwykle ginący w cieniu żony.

— Po co tu przyjeżdża — mruknęła Adelka, oceniając szczegóły wspaniałej toalety. — Tyle lat się nie pokazywała, a teraz przy każdej okazji... Niech pani spojrzy na siostry Rylewskie, pękają z zazdrości. Hrabina sprzątnęła im konkurenta, bo zanim się ożenił, hrabia Drwęcki ubiegał się o jedną z dwóch sióstr.

— Nie przypisuj im tak brzydkich uczuć. Są nieładne, ale może dobre i miłe...

— Słodkie jak lukrecja — prychnęła Adelka. — Swoją drogą tak cytrynową suknię może włożyć tylko ktoś, kto ma taką cerę jak hrabina. Pani też byłoby w tym do twarzy.

— Adelko — zgromiła Valentine — postaraj się być miłszą gospodynią dla swoich gości.

Na tarasie prowadzono poważne dysputy, młodzi zaś maćili ciszę parku chichotem dziewcząt i śmiechem młodzieńców.

Adelka pobiegła z gromadką panien przypatrzeć się grze w palanta, Valentine — chwilowo uwolniona od obowiązku towarzyszenia uczennicy — usiadła w zacienionej alejce i rozwiązała wstążki kapelusza. Było doprawdy ciepło, a w słońcu

wprost upalnie. Ze swego miejsca widziała z jednej strony kawałek trawnika, gdzie bawiła się młodzież, z drugiej zaś plac przed domem, skąd dobiegały głosy z tarasu. Za plecami wysoki, bukszpanowy żywopłot oddzielał ją od głównej alei. Rada była z samotności. Goście tarnowiccy co prawda stanowili przeciwieństwo towarzystwa bywającego niegdyś u pani de Flagny, ale i tu, wiedziała, mimo okazywanej grzeczności, nie traktowano jej jak równej. Dla Adelki naturalnie i dla domowników była panną Delarose, nauczycielką, osobą wykształconą i godną szacunku, ale dla całej reszty, zapełniającej dziś park, daleko jej do prestżu, jakim cieszyła się w Tarnowicach. Ot, na przykład choćby te siostry Rylewskie, wysmiane przez Adelkę z powodu brzydoty. Rzeczywiście nie są urodziwe, niemniej jednak starsza spogląda z góry na panny z mniejszą ilością folwarków w posagu, a młodsza nie pozwala przystąpić do siebie młodzieńcom o zbyt niskich koligacjach. Mimo więc żółtawej, nieczystej cery i rzadkich włosów jednej oraz niezgrabnej figury drugiej, Valentine wie, że niedługo wyjdą za mąż, że życie ich potoczy się gładko, że nie zazną biedy, niepewności jutra czy osamotnienia.

Tak była zamyślona, że nie od razu usłyszała rozmowę w alei, od której oddzielał ją bukszpanowy żywopłot. Ku swemu zdumieniu rozpoznała głos eleganckiego adiutanta. Rozmawiał z kobietą, tytułując ją comtesse — hrabiną.

— Generał Gulbin wysłał mnie z życzeniami do Tarnowic — gruchał adiutant

— a ja od razu pomyślałem, że i pani tam będzie...

— Nietrudno zgadnąć, dziś tu całe sąsiedztwo.

— Ale dawniej pani nie bywała. Wiem, wiem, smutne wspomnienia... Jednakże kobieta wyższa ponad przeciętność... i tak zachwycająca...

— Pochlebca z pana. Jak zdrowie generała?

— Podagra, droga hrabino, podagra. Przesyła pani ucałowanie rączek, sam niestety nie mógł stawić się w Tarnowicach. Wiosna w tym roku mu nie służy, do tego ciągle kłopoty... Najjaśniejszy Pan niezadowolony... z Berlina przychodzi pismo za pismem. Ciężko żyć w tak niewdzięcznym kraju...

— Mam nadzieję, że prawowita władza zaprowadzi porządek.

— Czy ja wiem — westchnął adiutant — to zupełnie tak, jak z tymi bandytami w Italii, co to napadają na podróżnych i okradają dyliżanse. Na nich też nie ma sposobu.

— Więc pan wątpi?

— Sam nie wiem, co myśleć; chyba przy pani pomocy...

— Jest tu jeden młody człowiek — hrabina ściszyła głos — warto zwrócić uwagę...

— Już raz mówiła pani generałowi, ale sprawdziłem. Fałszywy trop! Młody człowiek namiętnie poluje, poza tym bywa na wszystkich tanecznych wieczorkach. Raz nawet z nim rozmawiałem. Nie, nie, to nie to. On za prosty, za szczery, za... No, rozumie pani, nie potrafi udawać...

Żwir zaskrzypiał pod stopami kilku osób. Rozmawiający natychmiast zmienili temat, komentując z zapałem najnowszy romans pani Sand, po czym powoli poszli w stronę domu. Mimo upału Valentine dostała dreszczy. Francuszczyzna hrabiny była aż nadto doskonała, by nie pozostało najmniejszej wątpliwości co do treści prowadzonej za żywoplotem rozmowy. Chyba to hrabina Drwęcka, Cezary wyraźnie powiedział... ale Cezary to dziecko powtarzające plotki, jakie roznosi służba. Czyż na tak słabych podstawach można opierać tak ciężkie oskarżenie?

Cisza za żywoplotem, już nie ma nikogo w głównej alei, tylko od strony trawnika niosą się oklaski i wesołe okrzyki, witające celny rzut któregoś z graczy.

— Z pani to chyba będzie pustelnica — przed Valentine pochylił się w ukłonie pan Ostreyko w jasnopopielatym fraku. — Zamiast cieszyć nam uszy piękną francuszczyzną, pani ucieka od ludzi.

— Przestraszył mnie pan.

— Przepraszam. Chciałem tylko sprowadzić panią di Tarnowic, duchem bowiem bujała pani daleko stąd...

— Nie zgadł pan. Rozmyślałam o tutejszych sprawach.

— Czy panna Adelka pomyliła się w użyciu subjonctifu? A może w dyktandzie robi za wiele błędów?

— Proszę nie żartować. Nawet nauczycielka miewa poważniejsze zmartwienia. Może pan usiądzie? Dla poprawienia akcentu...

— Gani pani moją wymowę? A taki byłem dumny!

— Wcale nie ganię, tylko uważam, że inni mówią lepiej niż pan.

— Kto na przykład znalazł łaskę w pani oczach?

— Kto? Na przykład adiutant generała Gulbina.

— Och, adiutant... To bałamut. Cóż by robił, gdyby jego francuszczyzna była mniej atrakcyjna? To ważny atut w ręku poskramiacza serc niewieścich. Czyżby i pani padła ofiarą?

- Jeszcze nie — zaśmiała się Valentine. — Jestem dziwnie uodporniona.

— Przecież to naturalne — wykrzyknął pan Ostreyko. — U pani może mieć szanse wyłącznie ktoś, kto jak ja potrzebuje pedagoga. Panią porwie błąd ortograficzny lub czas niewłaściwie użyty.

— Pan w takim razie odpada, za dobrze mówi pan po francusku. Wydaje mi się, że i hrabina Drwęcka o ile mogłam ocenić...

— Hrabina Drwęcka jest doskonałością.

Na dróźnie ukazali się młodzi zwolennicy palanta, poprzedzani gromadką panien. Valentine poszukała wzrokiem białego kapelusza Adelki, ozdobionego pękiem niezapominajek, po czym spojrzała spod oka na swego rozmówcę.

— Czy pan poluje?

— Jesienią spędzam całe dnie w borze z fuzją i psami.

— A... tańczyć pan lubi?

— Nie opuszczam żadnego balu w okolicy. Czy to pani odpowiada?

— Nie bardzo. Za mało pan poważny.

Pan Ostreyko zaśmiał się, pokazując trzydzieści dwa białe i mocne zęby.

— Chodźmy coś zjeść — zawołała Adelka.

Valentine zaczęła wiązać wstążki kapelusza.

Cytrynowa suknia hrabiny Drwęckiej zółciła się w samym środku tarasu, otoczona jak zwykle jasnymi frakami mężczyzn. Eleganckiego adiutanta nie było, widocznie odjechał, złożyłwszy solenizantowi kurtuazyjną wizytę. Szeroko otwarte drzwi małego salonu ukazywały czerwono połyskujący bok klawikordu i jeden z foteli krytych złocistym adamaszkiem. Dalej były dwa okna szczelnie zamknięte i zawieszone, jak gdyby na świecie zamiast majowej orgii zieleni panował najsmutniejszy z grudniów.

— To... jego okna, prawda? — spytała Valentine.

— Tak — Adelka wstrząsnęła się nerwowo.

— Wyobrażam go sobie, jak tam siedzi sam, w ciemności, odgradzony od tego wszystkiego

— objęła wzrokiem wiosenną scenerię parku.

— I myśli, i wspomina... Wie pani, są chwile, że zapłakałabym się z rozpaczą nad nim. Co on tam robi już tyle lat? Czy przestał nas kochać?

— Może nie chce sprawiać przykrości widokiem swego kalectwa? Zresztą nie wiem... nie znam go... No, rozchmurz się, tak ci posmutniała buzia, księżna pani zmartwi się, jeśli to zauważy. Nie zapominaj o obowiązkach gospodyni. Goście na ciebie patrzą.

— Niech patrzą! I tak wszyscy są głupi i nic nie rozumieją, może jeden pan Ostreyko...

— Jestem do usług — jasnopopielaty frak znalazł się nagle koło białej sukienki. — Cóż więc pan Ostreyko?

— Chciałam pana pochwalić, ale skoro pan podśluje, to nic nie powiem.

— Trudno było nie słyszeć, natura niestety obdarzyła mnie doskonałym uchem. Wie pani, ja słyszę, jak trawa rośnie.

— Jak? Jak rośnie? Czy szumi?

— Gada — odparł poważnie. — Ale nie powiem, co. Dwa zasłonięte okna wychodzące na taras, pełen teraz rozbawionych gości, przyciągały wzrok Valentine. Co kryły koronkowe firanki? Straszliwą rozpacz, gorycz i bunt czy apatię i obojętność, chłód wystygłego serca i całkowite oderwanie od życia i jego spraw? Była to wielka tajemnica, której nie zgłębi nigdy, nigdy bowiem nie będzie miała przystępu do dobrowolnego więzienia parterowych pokoi tanowickiego dworu. Bo i po co? Cóż mu powie i jak go pocieszy? Na jego ból nie ma lekarstwa i niemałego trzeba by hartu ducha i silnej woli, żeby go przezwyciężyć.

Przez całe popołudnie okna te nie dawały jej spokoju. Między rumiane twarze i zgrabne postacie młodzieży wsuwał się natrętnie cień wychudłego kaleki o poźółkłej twarzy, pozbawionego światła, ruchu i powietrza. Jakże mógł tak żyć sam na sam z rozpaczą i ciemnością? Adelka mówiła, że w ciepłe dni siadywał na tarasie... przypuszczalnie wieczorem, gdy wszyscy szli spać... I zawsze sam... No, nie sam, z Dominikiem, I ta hrabina Drwęcka...

Beatrycze... On pewnie słyszy teraz jej głos. Dlaczego przyjeżdża, jeśli zerwała? Co łączy ją z adiutantem generała Gulbina? Valentina przekonała się, że to ona rozmawiała za żywoplotem, poznała jej głos. Jaką prowadzi grę? Czy prawdą jest, co mówił Cezary?

Gdy wieczorem pozapalano w parku weneckie lampiony, mało już gości pozostało w Tarnowicach. Taras opustoszał. Lokaj wniósł światło do małego salonu. Było zupełnie cicho, najmniejszy powiew nie poruszał firanką, a płomyki świec stały prosto nad białym woskiem i tylko czasem ćma, wypadłszy z czarnej nocy, oślepią blaskiem osmaloną skrzydła, i jak gdyby odbiwszy się od ognia, wracała w mrok.

Adele księżna nie pozwoliła pozostać w parku, było za chłodno na powiewny muślin. Młodzież więc skupiła się w salonie, zajęta modną grą towarzyską „w fanty”. Valentine, przekonawszy się, że uczennica jest pod dobrą opieką — księżna i kilka matron piło herbatę w drugim końcu salonu — wróciła na taras, w pobliże niepokojących okien, po czym wsunęła się do małego salonu i otworzyła klawikord. Nie wiadomo skąd wysnuła się prześliczna melodia włoskiej romancy, a słowa francuskiego poety same wprost cisnęły się na usta. Niezwykle udany był ten muzyczny mariaż Martiniego z Florianem! Z początku cichutko, a potem głośniejsz, zapominając o gościach, zaczęła śpiewać.

*Plaisir d'amour ne dure qu'un moment
Chagrin d'amour dure toute la vie...*¹

Beznadziejne to były słowa, ale tak pewnie
czuł odepchnięty narzeczony pięknej
Beatrycze. Czy ciągle spłukiwał stratę?

*J'ai tout quitté pour l'ingrate Sylvie Elle
me fuit et prend un autre amant...*²

Tak skarżył się niegdyś sielankowy poeta,
ale zdrada stara jak świat zawsze taką samą
zadaje ranę.

*Plaisir d'amour ne dure qu'un moment
Chagrin d'amour dure toute la vie...*³

Ciekawe, czy ona, Valentine, pozna słodycz
miłości? A może tylko ból? Albo nic? Kto wie?

*Tant que cette eau coulera lentement
Vers ce ruisseau qui borde la prairie
Je t'aimerai, me répétait Sylvie,
L'eau coule encore, elle a changé pourtant...*⁴

Sylwia czy Beatrycze, wszystko jedno, obie
równie przewrotne, równie płocze i
kłamliwe. Może gdyby go nie odtrąciła,
otrząsnąłby się z apatii i mimo kalectwa żył
życiem normalnego człowieka. Jeśli ją, tak
kochał, jak mówi Babette, może nawet
zapomniałby, byłby szczęśliwy...

¹ Rozkosz miłości trwa tylko chwilę,
a ból całe życie...

² Wszystko opuściłem dla niewdzięcznej Sylwii,
a ona porzuca mnie i wybiera innego kochanka...

³ Rozkosz miłości trwa tylko chwilę
a ból całe życie...

⁴ Dopóki płynąć będzie ten trumyk
ku rzeczce na skraju łąki
dopóty będę cię kochać — mówiła Sylwia.
Strumyk ciągle płynie, ona się jednak zmieniła...

*Plaisir d'amour ne dure qu'un moment
Chagrin d'amour dure toute la vie...*⁵

Jeśli to prawda, to i jego smutek przetrwa całe życie, całe życie...

Drzwi małego salonu otworzyły się z trzaskiem, do klawikordu podeszła postać w tabaczkowym ubraniu. W blasku świec oczy Dominika błyszczały gniewnie, a głos był szorstki i rozkazujący, gdy powiedział dobitnie:

— Proszę nigdy nie grać i nie śpiewać tej pieśni jaśnie panicz nie życzy sobie. Nigdy... zrozumiiała panienka?

Struchlała Valentine siedziała jeszcze przed klawiaturą, gdy Dominik dawno już opuścił mały salon. A więc słyszał. Słyszał i nie życzy sobie... Boże, Boże co zrobiła?

Takie było pierwsze pośrednie zetknięcie Valentine z Janem Tarnowickim.

* *
*

Cyryl zjawił się o pierwszej. Od razu wiedziałam, że coś jest nie tak, jak być powinno. Wydawał się bardzo rad, że mnie widzi. Wypytał troskliwie o zdrowie, o bóle w nodze, zainteresował się ostatnią porcją leków, przepisanych przez doktora Gorlickiego. Obserwowałam go spod oka, gdy gładził Aresa, głośno objawiającego zachwyty i radość.

⁵ Rozkosz miłości trwa tylko chwilę
a ból całe życie... (z Franc.)

— Jadąc tutaj wstąpiłem na Świętokrzyską — powiedział nagle. — Czy dawałaś komu klucze?

— A co się stało?

— Bo nocowała jakaś kobieta. Niechlujna. Czy to... plastyczka?

— Dlaczego plastyczka?

— Powiedziałem, że niechlujna. Tapczan posłany byle jak. W łazience nieporządek. Ponadto używała twojej koszuli nocnej, tej seledynowej z koronkami.

— Seledynowej? — oburzyłam się. — Jak śmiała?

— Więc dałaś komuś klucze?

— Dałam...

Cyryl patrzył wyczekująco.

— Dałam Julianowi. Prosił mnie, lał tego dnia deszcz, chciał u mnie zostawić jakieś wykresy. W takim razie był tam z tą rudą. Ona tu wczoraj przyjechała. Została na obiedzie. Okropna.

— Po prostu prymitywna. Takie teraz podbijają chłopaczków w rodzaju Juliana. Mimo że małowówny i mruk.

— Dałam mu klucze, bo prosił, i w pierwszej chwili uwierzyłam w te wykresy. Później zrozumiałam, po im potrzebuje mojego mieszkania. Byłam wściekła, ale nic już nie mogłam poradzić. Nie chciałam, żeby Stefan dowiedział się. Nie mów tylko Gieni. Byłaby straszna awantura.

— Zrobili ci szkodę.

— Jaka szkodę?

— Opadła większość pączków w epiphyllum. Mówiłem ci, że było osypane.

Doniczkę, widać, przewrócono, sporo jest obłamanych listków i rozsypanej ziemi, jak widzisz, zabawiłem się w detektywa. Ale to nie wszystko.

— Nie wszystko? A co jeszcze? — czułam wzbierający gniew.

— Dziewczyna musiała grzebać w twojej bieliźnie i w sukniach. Straszny tam nieporządek. Nie dam głowy, czy co nie zginęło.

— Obiad, obiad — zawołała z dołu Gienia i zaraz usłyszeliśmy kroki na schodach i pobrzękiwanie talerzy.

— Jedzie obiad, tratatata — zaanonsował gromko Romek otwierając z hukiem drzwi i zamilkł, ujrawszy Cyryla.

— Prędko do stołu — zakomenderowała Gienia. Zaraz przynoszę zupę. Tak zimno, że wszystko natychmiast stygnie.

Cyryłowi nie zamykały się usta. Wysypał przed nami wszystkie nowinki z łódzkiego atelier, uniósł się nad talentem aktorskim Maksiewicza, nad urodą jakiejś młodziutkiej gwiazdki, świeżo zaangażowanej do filmu, nad doskonałym scenariuszem, jaki właśnie bierze na warsztat reżyser Połomski. Nie powiedział tylko ani słowa o swoim filmie i o związanych z nim sprawach.

Udawałam, że tego nie dostrzegam. Jednocześnie wrzała we mnie złość na Juliana za tak bezceremonialne panoszenie się w moim domu.

— A jak praca przy twoim filmie? — zagadnęła wreszcie Gienia. — Bardzo jestem ciekawa, mówiłeś, że to film kostiumowy z Anielą Remizanką.

— Tak — uciął Cyryl. — Anieli to bardzo zdolna aktorka.

— I piękna kobieta — dokończyła Gienia.
— Uroda w moim guście. Chodzę na każdy jej film.

— Ma zastępy wielbicieli w kraju i za granicą.

— Ile już razy zmieniła męża?

— W ogóle nie wyszła dotąd za mąż. Myślę, że czeka na oświadczyzny koronowanej głowy, gdyż odrzuciła wszystkich mężczyzn poniżej tego stanowiska.

— Tak to mówisz, jak gdybyś i ty znajdował się w tym tłumie odrzuconych — zaśmiała się Gienia.

— Jeszcze się nie oświadczyłem. Woląłem być oryginalny i w ten sposób odróżnić się od innych.

Usłyszawszy tę odpowiedź Gienia trochę przygasła. Spojrzała na mnie z lękiem, ale mnie w tej chwili bez reszty absorbowwały inne sprawy. Niezwykle realnie i plastycznie widziałam brzydkie, drapieżne ręce grzebiące w mojej szafie i szufladach. Żebym była zdrowa, natychmiast pognałabym do domu, ale w tym stanie...

Cyryl odjechał o czwartej. Nie udało mi się więcej porozmawiać z nim w cztery oczy. Gienia kręciła się cały czas, to wchodząc, to wychodząc i gdy zaczynaliśmy już interesującą mnie rozmowę o moim dobytku, trzeba było nagle przeskakiwać na inny temat. Obiecałam tylko, że dziś jeszcze odbiorę od Juliana klucze i zmyję mu porządnie głowę.

I dostałam też list od mamy. Mąż jej choruje na serce, dlatego nie może znowu

przyjechać. Gdy byłam w szpitalu, tuż po wypadku, siedziała tydzień w Warszawie odwiedzając mnie co dzień. Biedna mama, zdaje się, nie jest zbyt szczęśliwa, tak coś czytam między wierszami. Ale nigdy się nie skarży. Sama przecież chciała...

Wieczorem wracam do moich tarnowickich szkiców. Mam już pałac i tajemniczy pawilon w parku, pokój Valentine i mały salon z „klawikordem od pana Pleyela”. Teraz uzupełniam galerię portretów. Sama nie wiem, pokazać to kiedy Cyrylowi czy nie?

Julian, jak na złość, nie przyjeżdża. Już dawno po kolacji. Nasłuchuję warkotu autobusu, skrzypu furtki. I nic.

Zmęczyło mnie to czekanie. Marnuję czas przeznaczony na Tarnowice. Co robić?

I oto z mrocznego kąta pokoju wylania się blada sylwetka kaleki. Zaczyna mnie fascynować ten nieszczęsny twór mojej wyobraźni.

Nagle znajduję się w Tarnówkach, zapominam o spóźniającym się Julianie, nawet o seledynowej koszuli. Tam teraz ważniejsze sprawy...

Wieczór dziewiąty

Schody na drugie piętro były trochę węższe, a niektóre stopnie skrzypiały cichutko pod paryskim trzewikiem Valentine. Korytarz kończył się balkonem w bocznej ścianie domu i górne gałęzie starych olbrzymów z parku dotykały balustrady.

W pokoju Babette pachniało anyżem. Kot Marcin rozciągnięty w nogach łóżka rzucił na wchodzącą zielone spojrzenie, po czym ziewnąwszy ukazał przepaścistą głąb paszczy, pełnej ostrych jak szpilki zębów.

— Jak dziś ma się chora? — Valentine ustawiła przy łóżku dzbanek z pękiem konwalii.

— Dziękuję, panienko, tak mi dobrze, że tylko chorować — twarz Babette wydawała się dziwnie drobna w obramowaniu suto marszczonego czepka.

— Czy kaszel mniejszy?

— Ustał zupełnie. Krople anyżowe jedyne na tę dolegliwość. Księżna pani co dzień poi kwiatem lipowym, a to odciąga chorobę. Za kilka dni już wstanę. Doprawdy, sama nie wiem, gdzie się tak przeziębiam.

— Wieczory chłodne, na korytarzach przeciągi, zaziębić się łatwo.

— Bez ciepłej chustki nie wychodzę z pokoju. Ale to starość, panienko, starość.

— Jaka tam starość, Babette tak pełna życia...

— Pożyć to ja bym jeszcze chciała, oj chciała. Dobrych dni w Tarnowicach doczekać, wesela jaśnie panienki... Mam tu co dzień gościa — dodała tajemniczo.

— Któż taki?

— Dominik. Z rozkazu panicza Jana przychodzi dowiedzieć się o zdrowie. Pamięta o mnie mój Janeczek, nie zapomniał swojej Babetki, dziecko najdroższe. Ale serce to on zawsze miał złote.

A więc pamięta, więc żyje, nie wygasły uczucia, nie zamarło wspomnienie. Miała przecież niedawno dowód...

— Biedny on, biedny. Ale ja nie tracę jeszcze nadziei. I księżna pani wierzy. On młody, wszystko może się odmienić. Mało to widywali kalek, co nie ruszali mi ręką, ani nogą, a potem im się poprawiło? Żeby tylko ta ladacznica zostawiła go w spokoju.

— Dlaczego pan Tarnowicki zaprasza hrabiostwo Drwęckich?

— Jaśnie pan nikogo nie zaprasza. Jak Święta czy imieniny, to wszyscy i bez tego jadą do Tarnowiec Żmija nie pokazywała się lat parę, teraz znowu coś knuje. Boję się, że nie da zarosnąć starej ranie.

— Może go jeszcze kocha?

— Ona? Nigdy nie kochała nikogo prócz siebie. To samolubna bestia, każdego podepcze dla własnej wygody czy kaprysu. Bawiła się nim, dumna, że miała u stóp takiego młodzieńca jak Janeczek.

— I on nie widział?...

— Bardzo jeszcze panienka młoda, skoro tak nie zna ludzi. Opętała go, otumaniała. Zakochany był do szaleństwa... jak jego ojciec. Tylko że ojciec dobrze ulokował swe uczucie, a on, biedaczek, w anielskie pióra przystroił tę diablicę.

— Hrabina interesuje się teraz panem Ostreyko.

— Ona interesuje się każdym mężczyzną, na którym może wypróbować siłę swych wdzięków! Każdego chce pognębić. Pan Ostreyko jej nienawidzi.

— Odniosłam przeciwne wrażenie, wyraża się o niej z zachwytem.

— W imię Ojca i Syna. Czyżby i jego złapała już w swoje sidła? To przyjaciel panicza. Ile my wspólnie napłakaliśmy się po wypadku... Co panienka mówi?

— Na imieninach w Radlewie dużo z nią tańczył.

— On nie tańczy, zwykle gra na klawikordzie.

— Cały wieczór kręcił się z pannami, a najwięcej z hrabiną. Ja trochę grałam, poza tym była orkiestra.

— Nic już nie rozumiem. Durne chłopcy całkiem rozum tracą.

— Mnie także z początku pan Ostreyko wydawał się poważniejszy, ale się pomyliłam.

Babette trzęsła głową w białym czepeczku.

— Wierzyć się nie chce...

— Hrabina kokietuje również adiutanta generała Gułbina.

— Ten pies wszędzie się wkręci i węszy. Oj, żeby tylko jakiego nieszczęścia nie było...

— Jakże może być nieszczęście?

— Liberator znów działa. Przez kilka nocy, gdy mnie dusił kaszel i oka zmrużyć nie mogłam, słyszałam konie na drodze. Dzieją się tu wielkie rzeczy... Nikt panience nie mówił?

— Nie... Chyba i Cezary nic nie wie...

— To dobrze. Dziecko nie powinno paplać. — Babette uniosła się na łokciu. — Proszę bliżej, panienko, o tym lepiej nie mówić głośno.

Valentine pochyliła się nad zarumienioną twarzą staruszki.

— Mimo że tu leżę, wiem wszystko. Poczcivi ludzie znoszą nowiny, cieszą uszy dobrym słowem. Dwa dni temu Liberator dokonał śmiałego napadu na pocztę. Cicho o tym, nikt nic nie gada, Prusacy wody w gębę nabrali. Papiery podobno ważne przechwycono, co szły do Berlina na szkodę i zgubę Polaków. Depesze informujące o planach akcji pacyfikacyjnej w tym rejonie... o likwidowaniu bandytów — wie panienska, oni tak nazywają naszych bohaterów. Pieniędzy nie tknięto, choć ciężka szkatuła leżała na dnie bryki. Samą tylko urzędową pocztę zabrano, nic więcej. Pocztylion i dwaj pomocnicy siedzą w kozie, ale mówią, że tylko po to, by nie rozgłaszali o tym wydarzeniu. Podobno woźnica zranił jednego

z napastników, postrzelił go rękę, mam jednak nadzieję, że biedaczek prędko się wyliże... A generał Gulbin dlatego nie rozgłasza sprawy, gdyż boi się gniewu króla. Pewnie ominie go order przy najbliższej nominacji.

Kot Marcin znudził się już opowiadaniem znanych mu widać wypadków, gdyż wstał, strzelił w Valentine zielonym płomykiem i skoczył na komodę. Wygodnie usadowiony rozpoczął wieczorną toaletę.

— Czy... niepokojono pana Tarnowickiego?

— Nie, przecież mówiłam panience, że generał Gulbin zataił ten nowy triumf Liberatora. Pod karą zakazał gadać komukolwiek. Ale przed naszymi ludźmi nic się nie ukryje. Spod paznokcia dobędą prawdę. I choć wszyscy ją znają, nikt nie papla niepotrzebnie, a Prusacy myślą, że sekret jest ich wyłączną własnością.

— Mogą być represje.

— Jakie represje? Na kim? Na pocztylionie i woźnicy? A cóż oni mogli wobec przewagi przeciwnika?

— Czy jechali bez eskorty?

— Było tam kilku żołnierzy, może nawet kilkunastu, ale Prusacy bardzo pewni siebie, wydaje im się, że ich przesyłki do najjaśniejszego króla to rzecz święta. Zresztą to pierwszy napad tego typu. Dotąd Liberator ograniczał swą działalność wyłącznie do ratowania nieszczęśników przeznaczonych na katorgę. Mimo że car ogłosił amnestię, niespieszno im do powrotu.

Mało to ich nasz dobroczyńca przemycił do Francji?

— I co oni tam robią? Z czego żyją?

— Pieniędzy nie braknie. Jestem pewna, że każdy, kto może, przykłada rękę do tak zbożnego dzieła. A bo to im źle w Paryżu? Praca wszędzie się znajdzie dla chętnego. Za to są bezpieczni. Ja też z ochotą przeszłabym się bulwarem du Tempie.

— To czemu Babette nie wraca?

— A do kogo? Do czego? Oni całą moją rodziną. Nigdy nie opuszczę Janeczka, przysięgłam matce. Nie, nie, tu już mnie sądzono umrzeć, jeszcze panienka przyjdzie kiedy na moją mogiłę...

— Co też Babette... zdrowie powraca, a Babette o śmierci...

— Księżna pani mnie wyleczyła. Biedna ona, biedna, drży o jaśnie panienkę. Żeby jaki niecnota nie zawrócił główki.

— Dużo tu młodych ludzi w sąsiedztwie.

— A dużo i każdemu uśmiechały się taki kąsek jak nasza panienka. Ale ona młoda, ma jeszcze czas.

Valentine westchnęła, przypomniawszy swe dwadzieścia osiem lat i epitet „starej panny”, jakim obdarzono ją w domu Madame de Flagny. Ona już nie miała czasu, skończył się dla niej okres młodości i związanych z nią nadziei.

— Co panienka taka smutna? Teraz przecież wiosna i pięknie w Tarnowicach. Tęskni panienka za Paryżem?

— Broń Boże. Równie jak Babette i ja nie mam nikogo. I moja tu cała rodzina.

— No, widzi panienska. Mówiłam, że tu będzie dobrze.

W tej chwili gdański zegar w sieni zaczął bić dwunastą. Nocą głęboki dźwięk słychać było w całym domu. Valentine zerwała się przerażona.

— Już tak późno, a ja siedzę... Babette chora, potrzebuje spokoju, powinna już dawno spać.

— W dzień się wyspałam, po obiedzie, teraz i tak bym nie zasnęła. To panienska zmęczona lekcjami. Dziękuję paniencie za wizytę.

Kot Marcin, który lizał łapę, rzucił na gościa zagadkowe spojrzenie.

Valentine cichutko otworzyła drzwi. Światła już pogaszono, ale korytarz zalany był blaskiem księżyca, wpadającym przez oszklony balkon. Zamiast iść ku schodom, posunęła się w jego stronę. Gdyby to było możliwe, chętnie zeszlaby do parku, tak pięknie świat wyglądał w czasie pełni. Klamka ustąpiła lekko i zimne powietrze wtargnęło do korytarza. Trochę może za chłodno w lekkiej sukni, ale tak cicho wśród drzew... Raptem wyobrazila sobie, jak teraz musi wyglądać posąg satyra przed niedostępnym pawilonem. Potwór pewnie jak żywy... Przypuszczalnie stąd pochodzi gadka o duchach, straszących w opuszczonym domku, od tego starożytnego dziwadła grającego na flecie, któremu księżyc i noc użyczają pozorów żywej ludzkiej istoty.

Gdzieś z głębi parku doleciało jęklive pohukiwanie puszczyka. Powtórzyło się trzy razy. Wówczas od domu oderwał się czarny cień, ostro zarysowany na jaśniejącym w księżycu trawniku. Człowiek szedł pewnie, z wysoko podniesioną głową, a jego cień wydłużał się na trawie, składał się i rozkładał jak nożyce..

Valentine cofnęła się zaskoczona, po chwili jednak znowu wysunęła głowę. Choć zmarzła, nie zamykała drzwi balkonu, czekając, co będzie dalej. Ale nic już się nie działo, chyba tylko ten puszczyk... znowu bowiem trzy razy odezwał się nocny zwiastun nieszczęścia.

Powoli, ostrożnie stąpając po skrzypiących stopniach, zeszła do siebie.

Może to był nocny stróż, zabłąkany w parku w swym obchodzie budynków gospodarskich? Może chciał przejść się „pańskimi” alejami i posłuchać słowika? Przypomniała sobie jednak, że kiedyś widziała krępą, prawie kwadratową figurę tego człowieka, nic a niepodobną do wydłużonego cienia kroczącej trawnikiem postaci.

Rozebrawszy się zdmuchnęła świece. W pokoju od księżycy było jasno jak w dzień. I znowu usłyszała krzyk sowy, tylko o wiele słabszy, dochodzący jak gdyby z bardzo daleka. Ptak rzucił swą złowieszczą skargę sześć razy, liczyła uważnie i zaraz potem zadudniły kopyta, hen, na drodze za

parkowym murem. Dwa konie, wyraźnie słyszała podwójnie wybijany rytm czterech par rozpędzonych kopyt.

Nazajutrz cały dom mówił tylko o zuchwałej akcji Liberatora, komentarze jednak wypowiedziano szeptem, oglądając się za siebie i milknąc, gdy nadchodził ktoś trzeci.

Już rano, gdy tylko Cezary zjawił się na lekcję, butna mina chłopca i wyzywające spojrzenie przekonały Valentine, że jest on au courant wielkiej nowiny.

— Głupcy — powiedział z pogardą. — Myślą, że nic nie wiem, że trzeba przede mną ukrywać, bo wypaplam. Głupcy — powtórzył z gniewem. — Pani też mnie uważa za gadułę!

— Uspokój się, ciesz się, że masz do mnie zaufanie.

— Muszę do kogoś mieć zaufanie — mruknął. — Inaczej pękłbym...

Obiad minął w całkowitym prawie milczeniu. Pan Tarnowicki miał twarz bardziej zmęczoną niż zwykle, a zaczerwienione oczy księżnej wskazywały, że musiała płakać.

Przy deserze zjawił się pan Nowiak. Pan Tarnowicki natychmiast wstał i przeszedł wraz z intendentem do gabinetu.

Po południu, gdy wybierały się z Adelką do parku, przed gankiem stanął powóz generała.

Baron Gulbin wyglądał jak człowiek złożony ciężką niemocą. Policzki o żółtawym, niezdrowym odcieniu obwisły, jak gdyby wyjęto spod skóry utrzymujące je dotąd w czerstwości mięśnie. Przez twarz przelatywały co chwila nerwowe drgawki, oczy zdawały się nic przed sobą nie widzieć. Wysiadając oparł się ciężko na ramieniu usłużnego adiutanta. Gdy pan Tarnowicki wyszedł na ganek, generał postąpił ku gospodarzowi z taką miną, jak gdyby przybył szukać u niego ratunku i pomocy.

— Słyszała pani, co się stało? — spytała Adelka, gdy rozsiadły się w altanie i ustawiły na stoliku koszyk z robotą.

Valentine kiwnęła głową i wyjrzała na prowadzącą do altanki alejkę.

— Papo skrzyczał dziś Cezarego — ciągnęła dziewczynka. — Gdy poszliśmy razem do gabinetu na dzień dobry, Cezary zupełnie oszalał... papo zabronił mu o tym mówić. Czy to on posłucha? — dodała niechętnie. — Ten chłopiec wymaga mocnej ręki, pan Bukowski za łagodny.

— Cezary jest patriotą — stanęła w obronie ucznia Valentine — poza tym pan Surewicz opowiadaniem o walkach z kościuszkowskiej insurekcji rozpala wyobraźnię twego brata. Ma on żywy temperament...

— Zbyt żywy — przerwała Adelka — a w ogóle to nieznośny smarkacz.

— Zmienisz zdanie, gdy dorośnie — zaśmiała się Valentine. — Zobaczysz, jaki z niego będzie elegancki kawaler.

— Cezary? — prychnęła dziewczynka. — Elegancki kawaler? Nigdy w to nie uwierzę.

— Zobaczysz — zapewniła Valentine. — Przetańczysz z nim niejednego kadryła.

— Ja z Cezarym? — Adelce oczy rozbłysły oburzeniem. — Przecież to gbur. Jak on mnie traktuje!

— Za pięć, sześć lat wszystko się zmieni. Będiesz niego dumna.

Adelka w zdenerwowaniu splątała jedwab.

— Cezary jest wstrętny! — wybuchnęła. — Czy wie pani, co znalazłam wczoraj w koszyku do robót? Ropuchę!

— Rzeczywiście, to bardzo brzydko z jego strony.

— Potwór! Zrobił to umyślnie, żeby mnie przestraszyć! Wie, jak się boję tych okropnych stworzeń.

— Przeprosi cię — zdecydowała stanowczo Valentine.

— On? Nigdy. Zapyta najniewinniej, o co go oskarżam, będzie udawał męczennika. To nie pierwszy raz. Hipokryta! Jan nigdy by tak nie postąpił...

— Jan jest dorosły. Takiego go znałaś i pamiętasz. Nie wiadomo, jakie psikusy przychodziły mu do głowy, gdy miał dwanaście lat.

— Jan był zawsze szlachetny, nawet gdy miał tyle lat co Cezary. Babette mówi, że takiego drugiego nie ma na świecie.

Valentine pracowicie doprowadziła do porządku splątany motek czerwonego jedwabiu.

— Z Cezarego też może wyrosnąć wspaniały młodzieniec — zauważyła po chwili. — Będiesz go tak samo kochała jak Jana.

Adelka trzęsła głową z niedowierzaniem.

— Widziałam wczoraj Jana na tarasie — powiedziała ponuro. — Ramzes siedział przy nim z głową na kolanach, a on gładził go i coś mówił. Psy teraz dla niego ważniejsze — dodała z goryczą.

— Psy są symbolem wierności. Dawni rycerze na nagrobkach kazali sobie umieszczać w głowach lwa, oznakę męstwa, nogi zaś opierali na psie. Nic więc dziwnego, że i Jan... tym bardziej że dotknęła go zdrada... najstraszniejsza, jaką może przeżyć człowiek.

Adelka uważnie wkluwała igłę, nawleczoną czerwonym jedwabiem, w naciągnięte na tamburku płótno.

— Co teraz będzie? — spytała nagle.

— Nie rozumiem, o czym mówisz?

— O Liberatorze, o napadzie na pocztę. Generał Gulbin przyjechał do papy. Złe wygląda, pewnie chory ze złości. Okropnie się boję...

— Jak dotąd Liberator nieuchwytny, należy więc mieć nadzieję...

— Podobno Prusacy szukają człowieka ze zranioną ręką — Adelka obejrzała się za siebie. — Jeździli do księcia Ponińskiego, który akurat miał wypadek z bronią, ale

książę to starszy człowiek, a służba zaświadczyła pod przysięgą, że wypadek wydarzył się w pałacu, na oczach wszystkich. Wzywali do siebie lekarzy z całej okolicy, badali... tylko w ten sposób mogą dojść sprawców.

— Nie dojdą. Jestem pewna, że nietrudno zranić się w rękę na wsi, przy gospodarce, na łąkach, przy pracy w polu...

— Mówią, że trzech bracia Gostyńscy noszą rękę na temblaku — zaśmiała się dziewczynka. — Defilują tak bezczelnie przed nosem generała Gulbina i jego świty.

— Niejeden człowiek zranił się pewnie w rękę dla odwrócenia podejrzeń od właściwego sprawcy.

— Mam ochotę zabandażować sobie palec — zawołała Adelka zrywając się — i pokazać się tak generałowi. Miałabym doprawdy uciechę z jego miny.

— Lepiej nie drażnić tygrysa, on i tak dostatecznie straszny.

— Straszny — szepnęła dziewczynka z dreszczem.

* *
*

— Niespokojna jestem o Juliana — Gienia westchnęła ciężko, dolewając sobie mleka do herbaty. — Nie nocował w domu.

Mnie niepokój o Juliana nie odebrał apetytu. Wiedziała doskonale, gdzie spędził noc. Ale dławiała mnie złość na bezczelnego chłopca.

— Na szczęście udało mi się to ukryć przed Stefanem. — Gienia smarowała masłem drugą kajzerkę. — Gdy wróci, pogadam ze smarkaczem.

Wiedziałam, czym kończyły się te rozmowy Gieni z pasierbem. W każdym razie nigdy nie przynosiły zamierzonego rezultatu.

— Obawiam się tej dziewczyny — Gienia nie zrażała się moim milczeniem. — Jeszcze go zmusi do małżeństwa. Tak było z Antkiem, synem pani Kafarskiej, pamiętasz?

Nic mnie nie obchodziła pani Kafarska, a jej syn Antek mógłby w ogóle nie istnieć. Julian i ta dziewczucha! W moim mieszkaniu! Obrzydliwe.

— Coś taka nie w humorze? Gorzej się czujesz?

— Na twoim miejscu powiedziałabym Stefanowi...

— Zwariowałaś? Wyobrażasz sobie, jakie piekło...

— Alę Julianowi potrzebna mocna ręka i może takie piekło dobrze mu zrobi.

— No wiesz? — Gienia patrzy na mnie ze zgrozą. — Nie poznaję cię. Taka zawsze byłaś dobra...

— Gdy Julian wróci, przyślij go do mnie.

Gienia przestaje jeść.

— Może to i niezła myśl? — mówi po chwili. — Zawsze miałaś na niego wpływ.

Nigdy nie miałam żadnego wpływu na Juliana, nikogo z nas nie lubił i unikał, jak mógł. Ale wszystko mi jedno, chcę odzyskać wreszcie moje klucze.

Julian zjawia się po południu. Wchodzi do mnie razem z Gienią, która daje mi znaki oczami.

— Chciałam cię prosić o zwrot kluczy — zaczynam, gdy zostajemy sami.

Julian nie patrzy na mnie, ale widzę wyraźnie, jak jest zakłopotany.

— Może jutro? — pyta mrukliwie. — Zostawiłem tam jeszcze...

— Muszę dać je Cyryłowi dla kobiety, która u mnie sprząta.

— Czy będzie jutro? — przestraszył się.

— Tak. Jutro jej dzień. (Wszystko to kłamstwo).

— To ja jutro rano zabiorę moje rysunki i...

— Ale klucze możesz oddać dzisiaj, bo dziś przyjedzie Cyryl. A po rysunki wstąpisz, gdy będzie ta kobieta.

— Nie mam kluczy — mówi wreszcie z ponurą miną. — Zostawiłem w Warszawie...

— W Warszawie? No, wiesz! U kogo?

— U kolegi. Razem z całą teczką.

— Jak mogłeś! — ledwie się opanowuję, rozszarpałabym smarkacza z największą przyjemnością. — Zaczynam żałować, że ci je w ogóle dawałam.

— Jutro ci je przywiozę. Nic się przecież nie stało.

Na tym kończy się nasza rozmowa, podczas której miałam „wpłynąć” na Juliana. Ciekawam, kiedy dostanę te nieszczęsne klucze? Czekam niecierpliwie na przyjazd Cyryla, on chyba mi pomoże.

W domu atmosfera dziwnie napięta. Gienia chodzi na palcach, Julian zamknął się u siebie, a Romek węszy awanturę. A ja nic nie mogę zrobić, tylko czekam na Cyryla.

Przyjechał dopiero na herbatę. Zamknął starannie drzwi mego pokoju i usiadł na brzegu łóżka.

— Czas najwyższy, abyś wróciła do domu — oznajmił. — Zamówię pielęgniarkę.

— Po co?

— Żeby się tobą opiekowała.

— A Gienia?

— Powinnaś wrócić na Świętokrzyską. Twój pupilek za bardzo rozrabia.

— Julian nie jest moim pupilkiem.

— Wszystko jedno. Zawsze go bronisz...

— Żal mi chłopca. Ale co prawda tupet to on ma! Wyobraź sobie, że kiedy zażądałam zwrotu kluczy, oznajmił, że nie ma ich przy sobie.

— Otóż to, że ich nie ma. Dziewczyna za to panoszy się u ciebie.

— Skąd wiesz?

— Bo ją zastałem w twoim łóżku.

— W moim łóżku?! Kiedy?!

— Dziś rano. Umyślnie zaszedłem. Chodzi w twoim szlafroku...

— I co?

— Nic. Trochę dla niej za długi.

Nie mogłam uleżeć ze zdenerwowania.

— Wcale się nie stropiła. Zapytała, kim jestem i czego sobie życzę.

— A ty?

— Też nie okazałem zdziwienia. Odpowiedziałem, że przyszedłem zamówić sobie portret.

— No wiesz! Wyprosiłeś ją, mam nadzieję.

— To ona mnie wyprosiła. Czuje się jak u siebie.

— A ty co?

— Cóż ja? Dałaś im klucze...

— Nie „im”, tylko Julianowi.

— To wszystko jedno.

— Słuchaj, Cyryl, ty, widzę, przeciwko mnie...

— Ja? Bronię twego mienia z narażeniem życia, a ty... cóż za posądzenia? Miałem czelność zwrócić dziewczynie uwagę, że na chippendalowskim stoliczku nie należy stawiać gorącej patelni ze smażonymi kartoflami.

— Postawiła patelnię na moim stoliku?!

— Nie unoś się. To ci może zaszkodzić.

— Powiedz od razu wszystko. Niech wiem, jak niszczą mój dom!

— Rzeczywiście niszczą. Dlatego powinnaś wracać.

— A ty to tak z zimną krwią...

— Uspokój się. Nie mogłem wyrzucić jej za kudły.

— Mogłeś.

— Nie zapominaj, że sama dałaś klucze.

— Julianowi, słyszysz, nie jej!

— Ale Julian ją tam wpuścił i dopóki nie zwróci ci kluczy...

— Jutro ma mi je przywieźć! Ach, po co dawałam mu te nieszczęsne klucze!

Chciało mi się płakać z bezsilnej wściekłości; i ten Cyryl, taki ślamazarny. Mój śliczny, stylowy stoliczek. Tyle pieniędzy mnie kosztował. Jak zobaczyłam w Desie, od razu chciałam go mieć. Wandale.

Po wyjeździe Cyryla zostałam z bólem głowy i wielką porcją przykrych myśli. Tak, doprawdy czas najwyższy znaleźć się na swoich śmieciach. Córka pani Pałęskiej posprząta mi, poproszę. Gdy ona chorowała, ja robiłam jej wszystkie zakupy. No i jest przecież Cyryl.

A co w Tarnowicach? Nie poświęciłam dziś ani jednej myśli bohaterom mego „filmowego romansu”. Jakże mogłam przy tylu kłopotach? Zobaczymy jeszcze, jak to będzie z kluczami. A tak nie chciałabym doprowadzić do zaostrzenia stosunków między chłopcem a Stefanem. Tyle Gieni zawdzięczam. Już wolałabym zmieniać nawet zamki. Tak, to jest myśl! Jeśli Julian nie dotrzyma słowa, każę zmienić zamek u drzwi. Oba zamki, górny i dolny. Cyryl to załatwi.

Decyzja ta uspokaja mnie. Że też od razu o tym nie pomyślałam. Nie ma co się dręczyć, jutro powiem Cyrylowi...

Więc w Tarnowicach wiosna, a raczej już lato. Trzeba obmyślić śliczne toalety dla głównych bohaterek. Jutro rzucę na papier projekty sukien. I dawno już nie występowała hrabina Drwęcka. Należy ją znowu pokazać. Cóż to za rola dla Anieli Remizanki! Wymarzona. W filmie Cyryla nie ma takiego pola do popisu, jest po prostu zwykłą, banalną księżniczką, za to u mnie...

Wieczór dziesiąty

Valentine okazała się dobrym prorokiem.

Na świętego Jana, podczas uroczystej sumy, wszyscy młodzi mężczyźni wystąpili ostentacyjnie ze zranioną dłonią. Zza żółtych lub jasnoszarych rękawiczek paniczów wyglądały strzępki szarpii, a od opalonych rąk parobczaków odbijały białą płócienną szmaty. Nawet służący do mszy ministrant dzwonił na Podniesienie taką samą, otuloną w lniany płatek, dłonią.

Valentine i Adelka jechały z księżną odkrytym powozem.

— Nie widziałam hrabiny Drwęckiej — zauważyła dziewczynka, gdy skręcono z głównej ulicy miasteczka na drogę wiodącą do Tarnowic. — Czyżby nie była w kościele? Obawiam się, że przyjedzie, dziś Jana imieniny...

— Od wielu lat nie składa mu życzeń, nie widzę więc powodu, by miała zmienić w tym roku swe zwyczaje.

— Ale ciągle przyjeżdża. Była na imieninach papy...

— To co innego.

— Słyszałam wychodząc, jak Jan mówił do Dominika, że nikogo nie przyjmuje oprócz rodziny. Boże, jaki On zmieniony! Tak cicho mówi, że ledwie słyhać... Babunia, widać, pocieszyła go, bo po kilka razy całował ręce babuni.

— Zawsze powtarzam mu, by nie tracił nadziei. W jego położeniu to jedyny ratunek przed rozpaczą.

— I babunia wierzy?

— Wierzę — odparła z mocą księżna.

Valentine spojrzała z podziwem w piękne oczy starej damy. Księżna podchwyciła wzrok nauczycielki i odpowiedziała uśmiechem.

— Tak, kochanko, nasze życzenia dla dzisiejsze solenizanta są zawsze takie same: oby wyzdrowiał.

— Oby wyzdrowiał — powtórzyła jak echo Valentine.

Obiad był wspaniały, mimo że bohater dnia nie uświetnił swą obecnością posiedzenia przy rodzinnym stole. Służba wystąpiła w galowej liberii, a Antoni celebrował roznoszenie półmisek jak święty obrządek.

Zasiedziano się przy stole dłużej niż zwykle. Valentine czuła, że myśli każdego z biesiadników biegnęły do parterowego apartamentu, za małym salonem. Nawet Cezary był grzeczniejszy, nie kręcił się na krześle i nie proszony nie zabierał głosu, tak że pan Bukowski mógł z całym spokojem dokończyć wielkiej porcji orzechowego tortu.

Po obiedzie wszyscy przenieśli się na taras, ocieniony olbrzymim parasolem. Mimo święta księżna i panna Cholewińska nie siedziały bezczynnie: szyły koszule dla biedaków. Pan Surewicz zdrzemnął się w fotelu, a gospodarz domu zatonął w gazecie. Cezary z panem Bukowskim grali w kręgle nie opodal na placyku.

Księżna prosiła o muzykę. Adelka i Valentine zasiadły więc przy klawikordzie w

małym salonie, skąd popisywały się obfitym repertuarem na cztery ręce.

— Gramy dla niego — szepnęła w pewnej chwili dziewczynka, przewracając stronicę. — Jestem pewna, że słucha. Dawniej bardzo lubił muzykę.

— Teraz nie wiadomo, co lubi — odszepnęła Valentine. — Może mu jeszcze smutniej...

— Nie rozumiem, dlaczego nie każe odsłonić okien? Tak pięknie na dworze.

— Pewnie razi go światło. Tyle lat nie wychodzi na słońce.

— Pomyliłam się, przepraszam. Już będę uważać. Pani zawsze wybiera łatwiejszą partię, akompaniament — dodała z urazą. — O, znowu się pomyliłam...

— Dlatego wybieram akompaniament, żeby ci zostawić pole do popisu. Gdy nie rozmawiasz i uważasz, doskonale ci wychodzi.

Na tarasie błysnęły srebrne guziki liberyjnej kurtki Antoniego. Lokaj anonsował gości. Po chwili pojawił się pan Ostreyko z obowiązkowym opatrunkiem na prawej ręce. Lewą przyciskał do piersi lśniący szapoklak.

Złożywszy uszanowanie starszym, gość zbliżył się do otwartych drzwi małego salonu.

— Prosimy, prosimy — Adelka odpowiedziała z wdziękiem na ukłon młodego człowieka. — Pomoże nam pan muzykować.

— Nie skomponowano jeszcze utworu na sześć rąk, a właściwie na pięć — pan Ostreyko spojrzął na owiniętą bandażami

dłoń. — I byłbym chyba tylko przyszłowiowym piątym kołem u wozu czy inną dziurą w moście, a to przykra rola. Przy takich wirtuozkach...

— Ciagle się mylę — poskarżyła się Adelka. — Panna Delarose wyznaczyła mi trudniejszą partię i myślałam... miałam nadzieję, że mnie pan zastąpi.

— Niestety, zrobiłbym to naprawdę con amore, tym bardziej że i mój francuski zyskałby na tym muzycznym duecie, ale cóż, inwalida ze mnie...

— Tylko chwilowy — zaśmiała się dziewczynka — i tylko od parady. Ale tu, między swoimi...

— Jak to? — oburzył się gość. — Jest pani tak okrutna, by żądać od człowieka z przestrzeloną ręką gry na klawikordzie?

— Znamy się na tych przestrzelonych rękach — Adelka zanosila się od śmiechu. — Niech pan zdejmie tę ranę wraz z rękawiczką, choć na pół godzinki — dodała prosząco — i zagra...

— Na pani życzenie dałbym sobie przestrzelić i drugą rękę, ale doprawdy w tym stanie grać nie potrafię.

— Fe, jaki brzydki upór. Wiem przecież, że to na niby.

— Moja ręka jest naprawdę przestrzelona, nie na niby.

— Akurat. Nie wierzę. Mógłby pan się upierać przed generałem Gulbinem, ale tu, w Tarnowicach...

— Nie naprzykrzaj się, Adelko — skarciła ją Valentine. — Jestem pewna, że dziś

odpowiedziałyby tak każdy z tych młodych ludzi, których widziałyśmy w kościele.

— Zgadła pani, Mademoiselle. Czy mogę prosić o tego Mozarta, którego panie grały, gdy przyszedłem?

Adelka z westchnieniem otworzyła nuty. Pan Ostreyko, oparty o framugę drzwi, zasłaniał część tarasu i nie od razu dostrzeżono przybycie nowego gościa.

Hrabina Drwęcka weszła prawie jednocześnie z Antonim. Lokaj nie ukrywał niezadowolenia, a jego pogardliwie wydęte usta oraz spojrzenie, jakim obrzucał piękną damę, wskazywały jasno na uczucia starego sługi-

— Czemu zawdzięczamy przyjemność?...
— zaczęła wyniośle księżna.

Wspomnieniom, ceniom przeszłości, łaskawa pani. Ja tłumaczę to potrzebą serca, inni nazwaliby może nawykiem, obojętne. Dwudziestego czwartego czerwca coś literalnie ciągnie mnie do Tarnowic. Jak on się czuje? — dodała ciszej.

— Jak zwykle — odparła sucho księżna. — Burza złamała to mocne drzewo, powalony dąb nie może się podnieść, leży wyrwany z korzeniami.

— Powalony dąb puszcza nowe pędy — zauważyła hrabina z rozmarzeniem. — Wszystko się odradza, przeszłość nigdy nie umiera, najwyżej popada w letarg... na pewien czas, a potem znowu...

— Zapomina pani, że robak toczy rdzeń drzewa i nie ma już powrotu.

— Czasem słowik może zbudzić olbrzyma, a czasem wystarczy zapach jaśminu...

— Zapach jaśminu utracił odurzającą moc, wiosna już minęła — odpaliła księżna.

Pan Ostreyko wysłuchał tej rozmowy ze zmarszczonymi brwiami, po czym powoli obrócił się ku nowo przybyłej.

— O, widzę, nie tylko ja pamiętałam o dzisiejszym solenizancie — hrabina wyciągnęła rękę do pocałunku. — Jest i wierny przyjaciel...

— Przyjaciel jest zawsze, to należy do jego obowiązków.

— Tak poważnie pojmuje pan przyjaźń?

— Jak najpoważniej, pani hrabino.

— Czy widział pan... Jana?

— Jeszcze nie.

— Wobec tego może razem przypuścimy szturm do

tej fortecy?

— Jestem do usług.

— Osłoni mnie pan przed smokiem strzegącym wejścia.

— Mówi pani o Dominiku?

— Mówię o potworze, który nikogo nie dopuszcza do naszego przyjaciela.

— Wypełnia tylko rozkazy.

— Trudno uwierzyć, by Jan...

— Minęło wiele lat, pani hrabino.

— Och, pewne rzeczy trwają wiecznie — odparła zagadkowo.

Pan Ostreyko oderwał się od framugi i postąpił w głąb małego salonu. Adelka z

szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w jego twarz, która nagle wydała się jej obca, tak była zmieniona.

Valentine wstała. Czuła się niezręcznie i pragnęła jak najprędzej znaleźć się w swoim pokoju.

— Czy pani ucieka? — pan Ostreyko mówił już zwykłym głosem.

— Nie, chcę tylko przypomnieć Adelce o jej obowiązkach. Adelko, spytaj księżnej pani, czy możesz zadzwonić na służbę. Chyba już czas na podwieczorek.

— O tak, Antoni ma podać poziomki.

Adelka zerwała się ze stołka i wybiegła na taras, a zaraz potem w małym salonie zaszeleściła jedwabna halka hrabiny. Piękna Beatrycze spojrzała z pobłażliwym uśmiechem na batystową kreację Valentine.

— To pani jest guwernantką Adelki, prawda? — spytała ze sztucznym roztargnieniem.

— Panna Delarose jest nauczycielką panny Tarnowickiej — pospieszył na ratunek pan Ostreyko.

— Państwo wybaczą — Valentine zła była na siebie za rumieniec — mam obowiązki — i czym prędzej posunęła się w stronę fotela księżnej, której czarna koronka ostro odbijała od przezroczystego wprost nieba.

— Coś taka poruszona, kochanko? — stara dama odłożyła szycie. — Kazałam Adelce zadzwonić. Czas najwyższy, by Antoni podał poziomki. Podwieczorek załagodzi wszelkie konflikty — dodała ze smutnym uśmiechem.

Rzeczywiście, gdy wszyscy otoczyli mały stolik księżnej z czarką poziomek ze śmietaną w ręku, prysło poprzednie napięcie.

Hrabina Drwęcka znowu była tylko zachwycająco piękną kobietą, która przekomarzała się wesoło z panem Ostreyko i Adelką.

Pan Tarnowicki jeszcze przed przybyciem gości odszedł do siebie i nie pokazał się na tarasie. Księżna ze zwykłą sobie wyniosłą uprzejmością czyniła honory domu, mało jednak mówiąc. Z ust jej nie schodził smutny uśmiech. O Valentine, zdawało się, wszyscy za zapomnieli.

— Więc cóż, ruszymy do ataku? — hrabina odstawiła pustą czarkę i spojrzała zachęcająco na pana Ostreyko.

— Jestem gotów.

— Za mało bojowego zapału, młody człowieku — zaśmiała się piękna Beatrycze,

— Któż z entuzjazmem nadstawia głowy? — odparł z flegmą pan Ostreyko.

— Gdy przyświeca cel tak wzniosły...

— Jakież cel wart jest szturchać?

— Co za przyziemna dusza! Gdzież są pańskie ideały?

— Mój ideał to piękna kobieta.

— Nie wierzę. Dotychczas się pan nie ożenił...

— Czy tylko żonaci mają ideały?

— Czyżby stchórzył pan przed cerberem?

— Idę, idę. Pod pani spojrzeniem nawet Dominik niestraszny.

— Jan nikogo nie przyjmuje — wyrwała się Adelka. — Słyszałam, jak mówił.

Pan Ostreyko znowu zmarszczył brwi.

— Chodźmy spróbować — hrabina wsunęła rękę pod ramię młodego człowieka.

Gdy wyszli, na tarasie zapanowała cisza. Słychać było tylko szelest płótna szytej przez księżną koszuli.

Valentine nasłuchiwała z bijącym sercem, wpatrzona w otwarte drzwi małego salonu. Kto zwycięży? Piękna, znudzona łatwymi podbojami kobieta, dla której rozpalenie wygasłych uczuć kaleki byłoby nową, podniecającą przygodą, czy odgradzony od świata pustelnik, zgorzkniały, w zamknięciu, pełen pogardy dla słabości serca?

Księżna szła w milczeniu. Adelka bawiła się nożyczkami i choć korciło ją, by zapytać, dowiedzieć się, co się dzieje i co to wszystko znaczy, surowa twarz babki i niewidzący wzrok nauczycielki zamykały jej usta.

Długo tak siedziały. Adelce w każdym razie wydało się to wiekiem. I gdy z małego salonu wynurzyła się wreszcie hrabina Drwęcka z płomieniem w oczach, odczuła wielką ulgę. Za piękną Beatrycze kroczył pan Ostreyko z tą samą niepokojącą zmarszczką między brwiami.

Valentine odetchnęła głośno. Zwyciężył ten odtracony, niegodny w swym kalectwie miana narzeczonego czy małżonka. Nie dał się zwieść pozorom zmartwychwstałej miłości, nie padł ofiarą chwilowego kaprysu, nie uległ pokusie. Jak dobrze, że potrafił oprzeć się wdziękom tak wytwornej kokietki jak hrabina. A ten dzielny Dominik... W tej chwili groźny stróż był jej nad wyraz

sympatyczny, lubiła go, zapomniała o urazie, o podejrzeniach. Jak mogła nie zauważyć dotąd jego wielkich zalet?

Hrabina żegnała księżnę. Wargi jej się trzęsły i widać było, że całą siłą woli panuje nad sobą, by nie wybuchnąć.

Jest wściekła — stwierdziła w duchu Valentine z satysfakcją. — Gdyby mogła, rzuciłaby tacą w pana Ostreyko albo we mnie.

Antoni oznajmił, że konie pani hrabiny czekają przed podjazdem.

Valentine nie otrzymała nawet kiwnięcia głową, nawet spojrzenia. Piękna Beatrycze jak furia wypadła z tarasu. Wszystkim zrobiło się lżej na sercu.

— Jan jej nie przyjął? — Adelka nie mogła dłużej pohamować ciekawości.

— Dominik nie wpuścił — odparł pan Ostreyko lakonicznie.

— Bardzo się cieszę — Adelka była wyrazieliwą ogólnej opinii. — A pan tak jej nadskakuje...

— Szczęśliwy jestem, że panna Adelka o mnie zazdrosną. Nigdy nie spodziewałem się takiego wyróżnienia.

— Wcale nie jestem zazdrosna — wybuchnęła dziewczynka. — Może pan się czulić do wszystkich panien w okolicy, ale nie znoszę tej... Beatrycze. Tak skrzywdziła Jana.

— Adelko, Adelko — księżna spojrzała na wnuczkę z wyrzutem. — Nie wydawaj sądu o starszych od siebie.

— Kiedy to prawda.

— Ale nieładnie.

— Panna Adelka ma bardzo rozwinięte poczucie sprawiedliwości i to jej się chwali — załagodził pan Ostreyko. — Swoją drogą podziwiałem dziś Dominika. Ile zimnej krwi! Mało kto wytrzymałby taki atak, a on ani mrugnął. Na niego nic nie działa — ani prośby, ani groźby, ani anielskie: „mój dobry Dominiku”, ani demoniczne: „Proszę wpuścić, bo inaczej...” To bohater.

— To przede wszystkim poczciwy człowiek i wierny sługa — zaopiniowała księżna. — Mamy do niego zupełne zaufanie.

Valentine drgnęła. Zaufanie. Czy nie za wielkie słowo? Sama przecież widziała, jak Dominik... Wszystko to podejrzanе i niepokojące. Czy ma jednak prawo podważać ufność, jaką rodzina pana Tarnowickiego pokłada w Dominiku? Znają go od dawna, o wiele dawniej niż ją, Valentine. Któż dałby wiarę jej słowom, tym bardziej że właściwie są to raczej supozycje, niejasne przypuszczenia, żadnej pewności. Lepiej milczeć. Może tylko, kiedy będą same, delikatnie ostrzeże księżnę, nie budząc żadnych podejrzeń... Tak, tak będzie najlepiej. Teraz nie warto mieszać się do rozmowy, zrobiłaby złe wrażenie, mimo że przecież z życzliwości...

Pan Ostreyko został na kolacji, a potem znikł w okolicach małego salonu. Valentine pewna była, że i tym razem Dominik odstąpił od żelaznej zasady niedopuszczania nikogo do kaleki i pozwolił na wizytę przyjaciela. Nie wiadomo tylko, jak Jan przyjmował dawnego towarzysza. Czy było mu przyjemne to spotkanie z przeszłością,

gdyż niewątpliwie osoba pana Ostreyki wiązała się z całym dawnym życiem dziedzica Tarnowic. Wszystko to okrywała tajemnica, gdyż pan Ostreyko na ten temat okazywał niezwykłą wprost powściągliwość.

Tego wieczora wcześniej niż zwykle wszyscy rozeszli się do swych pokojów. Valentine skorzystała z okazji, by odwiedzić Babette i porozmawiać o wrażeniach dnia.

Staruszka czuła się o wiele lepiej i wstawiała. Przed obiadem siedziała nawet trochę w parku.

— Księżna pani mnie wyleczyła — powitała wchodzącą — a i panienka zrobiła dobry uczynek przychodząc...

— Przyniosłam wstążki do czepeczka. Babette chciała mieć w kolorze sukni, pamiętam...

— Dziękuję, dziękuję panience. Owszem, chciałam. Te seledynowe wypłowiące i brzydkie, a czepeczek całkiem jeszcze możliwy. O, jakie ładne — rozwijała jedwabną wstążkę, a oczy jej się śmiały.

Kot Marcin, zaintrygowany ożywieniem swej pani, posunął się po kółdrze i dotknął łapą kawałka jedwabiu.

— Chciałbyś taką kokardę, co? — Babette pogłaskała ulubieńca.

— Byłoby mu nawet do twarzy — Valentine zakazała na czarnej szyi kota zieloną wstążkę.

Zwierzę otarło się o jej ramię i mrużąc zajrzało w oczy.

— Chyba rozumie, co mówię.

— Rozumie wszystko, panienko. Mogę z nim rozmawiać jak z człowiekiem. Czasem tak dużo gada... Był dziś ze mną u jaśnie panicza — dodała z dumą.

— U pana... Jana Tarnowickiego?

— Tak. Co roku składam mu życzenia imieninowe Jak kiedyś, gdy był mały i żyła jaśnie pani...

— I przyjął Babette?

— Zawsze mnie przyjmuje. On jak moje dziecko...

— Hrabiny Drwęckiej Dominik nie wpuścił.

— Dobrze zrobił. To mądry człowiek. Janeczek nie chce jej widzieć, niewarta jednego jego palca, głupia...

— Czy coś o niej mówił?

— Mówił. Ja zapytałam: „Janeczku, chyba już nie myślisz o tej...” A on nie dał mi nawet dokończyć: „Nie, Babette — mówi — nie myślę. Kiedyś Beatrycze była całym moim światem, ale od tego czasu minęło wiele lat. Nie jestem już taki młody jak dawniej, dojrzałem. Nie martw się o mnie.”

— I Babette wierzy?

— Naturalnie. On mi nigdy nie skłamię, wie, że mnie może powiedzieć wszystko. Co ja się już zresztą nasłuchałam... Jednemu Bogu wiadomo...

— Ciekawam, czy przyjął pana Ostreyko?

— Na pewno, to dobry przyjaciel.

— Miał też obandażowaną rękę...

— Jak wszyscy. Widziała panienka naszych parobczaków? Każdy ze szmatą na

dłoni. Zje diabła generał Gulbin, jak odkryje winnego... tego z naprawdę przestreloną ręką.

— Generał Gulbin, gdy tu był, wyglądał na chorego.

— Bo i jest chory. Nigdzie się nie pokazuje. Za to adiutant miota się po okolicy. Wszędzie go pełno. Opłaca szpiegów... chytra bestia jak diabeł.

— A wygląda tak niewinnie.

— To właśnie najgorsze. Czarujący młody człowiek, pannom niby głowy zawraca, a oczy ma z każdej strony... i uszami strzyże, i wszystko słyszy... Takiego specjalnie tu przysłali. Żeby był mniej sprytny, do dziś szlifowałby posadzki berlińskich salonów, a tak karierę zrobi, z jaką grafianką się ożeni i jeszcze namiestnikiem zostanie.

Valentine z westchnieniem podniosła się z krzesła.

— Co, już panienka idzie?

— Wpadłam tylko na chwilę. Babette miała dziś bardzo ruchliwy dzień, czas na odpoczynek, dobranoc.

— Dobranoc panience. Aha, czy panienka już słyszała? Wczoraj była noc świętojańska i nieboszczka jak co roku znowu przysłała do swego pawilonu w parku.

— O kim Babette mówi?

— O mojej pani, o pierwszej pani Tarnowickiej W noc świętojańską zawsze odwiedza pawilon.

— Trudno dać wiarę...

— To prawda, panienko. Co roku tej nocy świeci się w pawilonie. I wczoraj widziano przez szpary w okiennicach. Moja pani

bardzo lubiła ten domek, miała tam swój letni salonik, bawił się tam Janeczek Jak nam było wtedy wesoło, przyjemnie...

Valentine wychodziła od starej pokojowej pod wrażeniem ostatniej nowiny. Czyżby naprawdę? Nie, to niemożliwe, a jednak... Ludzie boją się zbliżyć do tajemniczego budynku po zapadnięciu nocy. Co więc krył zamknięty pawilon w parku? Co się tam działo w noc świętojańską?

Tym razem dom jeszcze nie spał. Na korytarzu paliło się światło, a na dole trzasnęły drzwi, gdy schodziła. Ktoś szedł przez sień, słychać było głośnie stąpanie. Widocznie wypuszczono psy, gdyż po chwili wesołe ujadanie dobiegło z parku.

W pokoju świece płonęły, jak zostawiła wychodząc. Przywitała ją cisza i zapach kwitnących lip z za okna. Jak dobrze, jak spokojnie u siebie.

Gdy zaczęła się rozbierać, przypomniała sobie ametystowej broszy, pozostawionej na klawikordzie w małym salonie. Widocznie zepsuło się zapięcie, bo w pewnej chwili, gdy po południu grały z Adelką na cztery ręce, brosza upadła jej na kolana. Odłożyła wówczas pamiątkowy klejnot i grała dalej. Nie należy jednak zostawiać dość cennego przedmiotu na całą noc, jak gdyby na pokusę służbie. Nie dlatego, żeby się obawiała czy podejrzewała kogoś o nieuczciwość, broń Boże... W Tarnowicach nie zginęła nigdy szpilka, ale

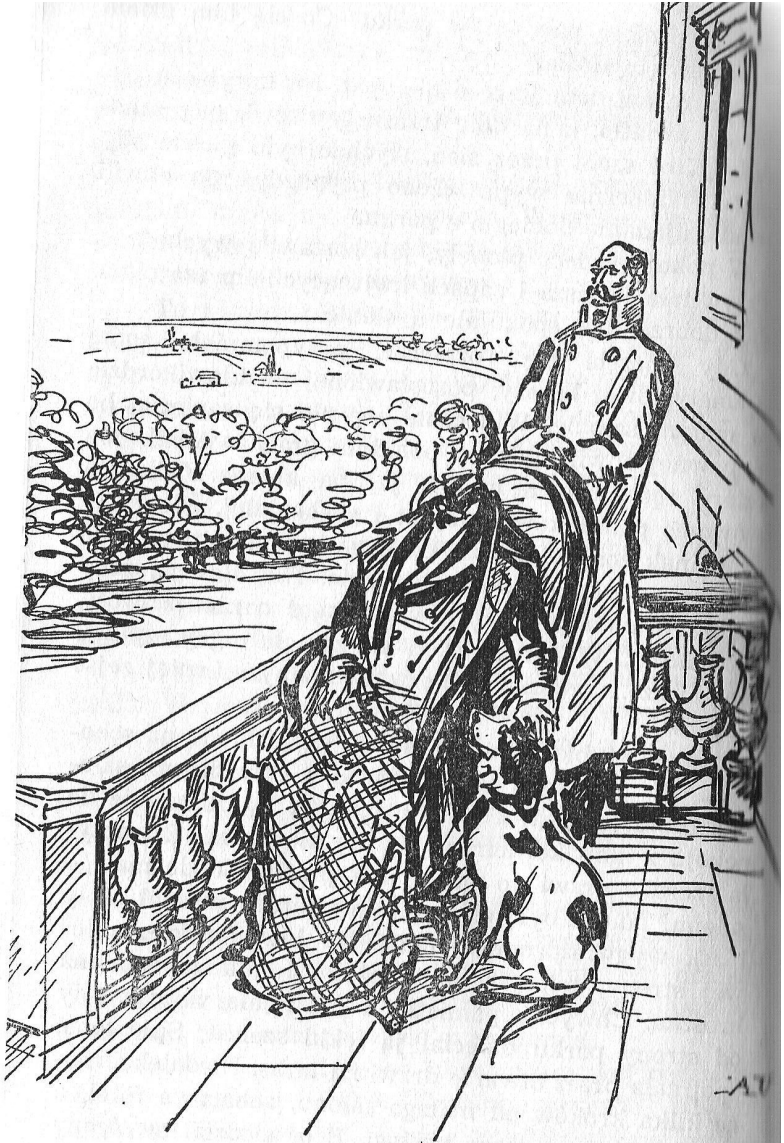
zawsze... broszka nieboszczki mamy... Lepiej zejść i zabrać.

Zapięła szybko suknię i znowu znalazła się na schodach. W sieni było jeszcze jasno, ale w dużym salonie, przez który trzeba było przejść, by dostać się do pokoju z klawikordem, panowały ciemności. Otworzyła szeroko drzwi do sieni i tak przebiegła do małego salonu. Tu też było ciemno, ale z tarasu wpadał nikły blask wygwieżdzonego nieba. Na klawikordzie, z lewej strony, tak jak ją położyła, leżała zapomniana broszka. Chwyciła pamiątkę i już miała wracać, gdy od strony parku doleciał ją lekki szelest. Spłoszona, spojrzała przez otwarte drzwi na taras. Niedaleko, może kilka kroków od małego salonu, zobaczyła fotel, a na nim ciemny zarys postaci. Ktoś siedział zwrócony plecami do drzwi, twarzą ku drzewom.

Valentine wstrzymała oddech. Któż inny o tej porze... To on, ten nieszczęsny kaleka, korzystając z nocnej ciszy, zażywał na tarasie świeżego powietrza. Boże, żeby tylko jej nie spostrzegł. Nie pozwala przecież zbliżyć się nikomu...

Drżąc z lęku wycofała się do wielkiego salonu, przebiegła sień, schody i z bijącym głośno sercem wpadła do swego pokoju.

A więc nareszcie widziała tego nieszczęśliwego, unikającego ludzi i światła. Widziała... Siedział tam teraz na tarasie,



sam, patrzył w gwiazdy, wdychał zapach maciejki i myślał, i wspominał... Czy rzeczywiście Beatrycze była dla niego niczym? Sama nie wiedziała czemu, ale ta świadomość sprawiała jej ulgę. Dość się już przez nią nacierpiał, dość... Niech ma teraz trochę spokoju. Czy to jednak możliwe? Czy już się poddał? Czy zrezygnował z życia?

Noc się skończyła i wczesny, letni brzask zajrzał do okna, a Valentine jeszcze szukała odpowiedzi na dręczące ją pytania.

* *
*

Obudziłam się o czwartej nad ranem i więcej już nie zmrużyłam oka. Od razu stanęły mi w pamięci słowa Cyryla i obrazy odbywających się w moim mieszkaniu orgii (patelnia!). Dręczyłam się tak kilka godzin, nasłuchując głosów budzącego się domu.

Pierwszy wstaje Stefan, o szóstej, gdyż o siódmej pięć ma autobus. Następnie Gienia budzi Romka i na ósmą wyprawia chłopca do szkoły. Julian dziś nie daje znaku życia, chociaż zwykle spieszy do politechniki na dziewiątą.

Potem dzień toczy się ze zwykłą monotonią tych samych, stale powtarzanych czynności. Dopiero przybycie Cyryla w południe mać ten porządek.

— Wpadłem tylko na chwilę, wieczorem mam nocne zdjęcia, a ta cholerna pogoda krzyżuje wszystkie plany.

— Mówiłeś, że plenery zakończone?

— W zasadzie tak...

Wcale nie jestem przekonana tymi nocnymi zdjęciami.

— Aktorzy zaczynają grymasić — rzuca w pewnej chwili Cyryl, jak gdyby pragnął ulżyć sobie podaniem mi tej wiadomości.

— Kto? Może Aniela? — pytam fałszywie współczująco.

— Aniela też. (Wiem, że grymasy są wyłącznym przywilejem pięknej Anieli.)

— Nie martw się — staram się go pocieszyć. — Dasz sobie radę. Więc Aniela grymasi? Co jej się nie podoba?

— Wszystko! — wybucha Cyryl. — Kostiumy, partnerzy, oświetlenie, scenariusz, rola... ja pewnie też.

— Tak bardzo ci zależy?

— No wiesz? Przecież ja reżyseruję, to mój film. Aniela wnosi ferment... i już Kątnicki powiedział... a, zresztą to nieważne! Każdej chwili mogę go usunąć, to zupełnie beztalencie!

— Ale piękny chłopiec...

— Podoba ci się?

— Mnie się nie podoba, ale wiem, jaki jest popularny, gra w tylu filmach.

— Ze mną gra po raz pierwszy, nigdy bym go nie zaangażował i pewnie dlatego uważa...

— Może cieszy się względami Anieli?

— Jej względami cieszy się każdy, kto nosi spodnie!

— A, więc tu cię boli? Zazdrosny. Czyżby Aniela miała aż tak zły gust i wolała Kątnickiego? Przy tobie to kompletne zero.

— Co ty pleciesz? Zwariowałaś? Ja i Kątnicki... też porównanie!

Robie zbolałą minę.

— Co prawda nie jesteś gwiazdorem jak Kątnicki. I doskonale wygląda w roli bohaterskich amantów, szczególnie w kostiumie.

— Ma banalną gębę bezczelnego młokosa.

— Ale jak zbudowany...

— Nigdy bym cię nie posadził — Cyryl odsunął Aresa przytulonego do jego nogi. — To dobre dla takich jak Aniela, ale ty...

— Jestem więc czymś lepszym niż Aniela?

Cyryl podnosi się, udając, że nie widzi nieszczęśliwej miny psa.

— Żegnaj — mówi chłodno. — Jutro wpadnę. — I wychodzi.

Mimo pochlebnych zdań (nieszczerych), jakie wygłosiłam o aparycji Kątnickiego, nigdy nie powierzyłabym mu roli Liberatora. Myślę też, że wprowadzenie na scenę głównego bohatera dopiero w połowie filmu jest zręcznym chwytem. Chwilowo mówi się o nim, roztrząsa jego czyny, przygotowuje teren — ale gdy wreszcie ukaże się on na ekranie, w żadnym razie nie może mieć twarzy Kątnickiego.

Męża hrabiny Drwęckiej ukarzę za to podłością charakteru. Podczas okupacji byłby z niego stuprocentowy volksdeutsch. Zmienię też scenerię, koloryt przyrody. Niech nadchodzi jesień, park osnuty mgłami, spadające liście, melancholia... tak, tak...

Moi aktorzy nie grymaszą, są potulni i wykonują wszystko na skinienie. Podoba im się scenariusz, podobają się role i kostiumy, partnerzy i dekoracje. Zadowoleni są z reżysera i scenografa. Żyją... Tak ich pokażę publiczności — i Cyryłowi.

Wieczór jedenasty

Lato doprawdy minęło zbyt prędko — stwierdziła z żalem Adelka, wyglądając przez okno szkolnego pokoju na zalany deszczem trawnik. Valentine odłożyła robótkę.

— Za to było piękne — powiedziała pogodnie. — I wrzesień taki słoneczny... Dziś pierwszy dzień deszczu, a ty już narzekasz.

— Nie narzekam, ale mi smutno. Zawsze mi smutno, gdy nadchodzi jesień. Znowu będziemy siedzieć w domu. W mieście to co innego. Tam zimą najwięcej rozrywek, co dzień bale, teatry, a tu nic, tylko siedzenie w domu.

— Tak ci źle w domu?

— Nie... ale chciałabym do Paryża. Tam dopiero się żyje. Czy wie pani? Ten karnawał mogłabym spędzić nad Sekwaną. Ode mnie zależało i gdybym tylko chciała...

— Młody Abakanowicz oświadczył się o twoją rękę?

— Skąd pani wie?

— Nietrudno się domyślić. Tak kokietowałaś biednego chłopca, że całkiem stracił głowę.

— Wczoraj wieczorem papo wezwał mnie do gabinetu — oświadczyła Adelka sznurując usta. — Pan Abakanowicz ma nadzieję, że zdołał pozyskać moje serce i prosi, bym została jego żoną. Papo wyglądał tak jakoś dziwnie, sama nie wiem, czy był zagniewany, czy chciało mu się śmiać... ale

rozmawialiśmy bardzo poważnie. Ja... odmówiłam.

— Odmówiłaś?

— Czy wyobraża pani sobie pana Abakanowicza w Paryżu? Bo ja nie.

Czy będziesz przymierzała kandydatów na męża pod tym kątem, czy pasują do stolicy Francji?

— Och nie — Adelka odeszła od okna. — Pan Abakanowicz wcale mi się nie podoba.

— To dlaczego?...

— Dlatego, że bałamucila go piękna Beatrycze — wybuchnęła dziewczynka. — Zaczął mi trochę nadszkakiwać, pamięta pani, na tej wycieczce do ruin starego klasztoru? Niósł za mną parasolkę i w ogóle... ciągle kręcił się przy mnie. I jak potem wróciliśmy, i były tańce u Zalewskich, zjawiała się hrabina Drwęcka. Ona nie' znosi, by jaki kawaler w jej obecności zajmował się inną kobietą. No i zaczęła swoje sztuczki... więc się zawzięłam... i byłam bardzo, bardzo miła dla pana Abakanowicza...

— To zdaje się dobrze wychowany młodzieniec — zauważyła ostrożnie Valentine.

— Doskonale — w głosie Adelki nie było ani krzty entuzjazmu.'

— W Paryżu prezentowałby się chyba nie najgorzej... na przykład w operze.

— Pan Abakanowicz nie znosi muzyki. Nie ma ucha. Powiedział, że kiedyś w Warszawie zagłuszył orkiestrę chrapaniem. Był nawet z tego bardzo dumny.

— Za to nieźle tańczy.

— Nieźle. Tylko trudno z nim rozmawiać.

— Hrabina Drwęcka jest widać innego zdania.

— Hrabinie wystarczy nieme uwielbienie.

— A ty chcesz, by adorator ubrał je w piękne słowa?

— Pani ze mnie żartuje, a ja po prostu nie kocham pana Abakanowicza. W ogóle nigdy jeszcze nie byłam zakochana, nie wiem, co się wtedy czuje. Chyba coś przyjemnego, prawda?

— Nie mam doświadczenia — ucięła Valentine. Zapytaj pana Abakanowicza, on ci to pięknie opisze.

— Obraził się. Papo mówił, że po odmownej odpowiedzi wyszedł bez pożegnania. Ale papo nie wyglądał na zmartwionego, więc chyba się nie gniewa.

Poprawiając włosy przed lustrem (gong zwoływał już domowników na obiad) Valentine rozmyślała, jak słabej nici zawieszony jest jej los. Oto pierwszy sygnał — oświadczyzny pana Abakanowicza. Nadmiernie chudy młody człowiek z długą końską twarzą małe miał szanse na podbicie serca Adelki, ale w okolicy nie brak naprawdę urodziwych chłopców, z których jeden zostanie ostatecznie tym szczęśliwym wybranym.

Adelka co prawda, rozstając się z nią po lekcji, rzuciła się nauczycielce na szyję i oświadczyła, że nie ma jeszcze zamiaru wychodzić za mąż, że jej nigdy nie opuści, gdyż bez niej nie potrafi już żyć. Ale

Valentine słusznie oceniła przywiązanie uczennicy, wiedząc, że nowe obowiązki i wrażenia zepchną na dalszy plan jej osobę lub nawet rzucają na nią welon zapomnienia.

Czy wówczas zostałyby w tym domu? Oczywiście że nie, pan Tarnowicki nie miał drugiej córki do edukowania, a Adelka po wyjściu za mąż wyjechałaby z Tarnowic. Jaka więc byłaby jej nowa rola? Damy towarzystwa, lektorki? Byłaby trzymana wyłącz z litości, a na to duma jej nie mogła się zgodzić.

Ile różnych obrazów pokazać może lustro w tak krótkiej chwili? Zaledwie stanęła przed komodą, aby przy gładzić włosy, a już w wyobraźni ujrzała tę samą pocztową brykę, która przywiozła ją prawie rok temu. O pocztylion wnosi za nią zielony kuferek. Oto znowu jedzie sama wśród szarej równiny. Dokąd? Czy wraca do Francji? Ale do kogo? Gdzie?

Pytania te były nie do zniesienia. Nie należało zatruwać sobie życia niepewnością i niepokojem. Adelka taka jeszcze dziecinną, gdzie jej do zamażpójścia? Może minąć i rok, i dwa, nim to nastąpi, nim zjawi się królewicz z bajki, ten właściwy...

Valentine poprawiła przekrzywiony kołnierzyk i patrząc w swoje odbicie powiedziała sobie raz jeszcze, że do niej nie przyjedzie nikt i nigdy nie ujrzy królewicza z bajki.

Gdy zjedzono supę i Antoni zmieniał talerze, usłyszano turkot na podjeździe.

— Czyżby generał Gulbin? — szepnęła Adelka pochylając się ku sąsiadce.

Pan Tarnowicki przestał jeść i zdawało się, że nasłuchuje. Ale po chwili spokojnie krajał mięso, jak gdyby nic nie zmaciło zwykłej ciszy.

Tak minęło kilka minut, po czym w uchylonych drzwiach stanął lokajczyk, dając znaki Antoniemu.

Stary kamerdyner kiwnął głową, następnie podał księżnej salaterkę z kompotem. Dopiero gdy odstawił półmiski na kredens, ruszył majestatycznie ku drzwiom.

Valentine śledziła z niepokojem te manewry, oczekując jakiejś niepożądaney dla Tarnowie wizyty.

Gość rzeczywiście nie był mile widziany, gdy okazało się, że przybyszem jest hrabia Drwęcki, który w salonie oczekuje, aż zostanie przyjęty przez pana domu.

— Prosić — rzucił krótko ten ostatni.

Po chwili do jadalni wszedł niefortunny małżonek pięknej Beatrycze. Ucałował rękę księżnej i przywitawszy się z gospodarzem, został zaproszony do stołu.

— Ja po obiedzie — wymawiał się słabo. Mimo to siadł obok pana Tarnowickiego i skosztował kompotu.

— Okropny człowiek — wzdrygnęła się Adelka, rzucając na Valentine znaczące spojrzenie.

— Państwo wybaczą, że o takiej porze — ekskuzowałam się hrabia — ale właśnie objeżdżam sąsiedztwo... sprawa jest pilna i...

— Wobec tego przejdźmy do gabinetu — pan domu złożył serwetkę.

— Doprawdy nie chciałbym trudzić, zresztą to nie sekret, chodzi o rzeczy *pro publica bono*.

Pan Surewicz przyłożył rękę do ucha na kształt trąbki.

— To w związku z wczorajszym napadem na koszary...

Pan Tarnowicki podniósł brwi.

— Państwo nic nie wiecie? — hrabia Drwęcki wydawał się zgorzony. — Cała okolica o niczym innym nie mówi.

— Nie słyszałem — przerwał sucho pan domu.

— Nie na koszary, na więzienie — sprostował Cezary z wypiekami i kawałkiem ciasta na policzku.

— Wyjdź — rozkazał ojciec.

Chłopiec zaczerwienił się jeszcze bardziej, a biedny pan Bukowski omal nie spadł z krzesła. Po czym obaj, uczeń i preceptor, opuścili jadalnię.

— Na koszary i na więzienie — podjął hrabia odprowadziwszy wzrokiem wychodzących. — Rozzuchwaleni bandyci gotowi porwać się na wszystko, obrażają majestat, a nowy namiestnik, tak nam dotąd przychylny, przestanie wreszcie wstawiać się za nami u króla. Ponieważ buntownicy działają skrycie, pod osłoną nocy, my zjednoczmy się i jawnie, w blasku dnia podajmy pomocną rękę Jego Ekscelencji. Właśnie z tą propozycją...

— Czy zebrał już pan wielu stronników? — w głosie pana Tarnowickiego było coś, co zastanowiło Valentine.

— Właściwie jeszcze nikogo — wyznał szczerze hrabia. — Książę Poniński wymówił się wiekiem i złym stanem zdrowia, a Rylewski nawałem obowiązków. Bracia Gostyńscy wybierają się do stolicy, a pan Zalewski nie chce. Właśnie tak mi powiedział, że nie chce, nie szukał nawet wymówki.

— I sądzi pan, że ja?...

— Jestem najmocniej przekonany o pańskiej lojalności wobec Najjaśniejszego Pana. Biorąc więc pod uwagę autorytet, jakim cieszy się pan w okolicy...

— Pan wie, że się nigdzie nie udzielam.

— Rozumiem, że na płaszczyźnie towarzyskiej...

— Na żadnej. Mam w domu smutek, ciężko chorego, chyba to panu wiadomo?

— Ależ tak, wszyscy panu współczujemy, niemniej jednak pańska pozycja, nazwisko, majątek...

— Nie nadaję się do tropienia złoczyńców. Od tego mamy żandarmów i policję. Płacę podatki.

— Wszyscy płacimy, ale Jego Ekscelencja...

— Jego Ekscelencja powinien lepiej pilnować więźniów.

— Te ekscesy przybierają ostatnio zastraszające rozmiary.

— Wystarczy, by Jego Ekscelencja podwoił posterunki żandarmów. Dlaczego tego nie czyni?

— Posterunki zostały potrojone. Chodziłoby jednak o jakąś akcję z naszej strony, by okazać solidarność.

— Pan hrabia stanąłby na czele dragonów?

— Co znowu? Od tego są oficerowie, ale może jakiś adres, petycja...

— Petycja? A to po co? Czy bandyci wyrządzili szkodę panu lub któremuś z okolicznych ziemian?

— Niestety wyłącznie władze narażone są na ich ataki.

— Władze jednak mogą doskonale się bronić, mają armię i arsenał. Co innego gdybyśmy my byli poszkodowani.

Hrabia Drwęcki wstał.

— Więc pan również odmawia?

— Przytoczyłem słuszne racje. Nie należy wchodzić w kompetencje władz. Jego Ekscelencja powij panu to samo.

Antoni z pogardliwą miną wyprowadził gościa. Księżna z niepokojem w oczach spojrzała na zięcia,

— Mogą być smutne konsekwencje... — zaczęła.

— Żadnych — zapewnił pan Tarnowicki. — To, co powiedziałem, mogę osobiście powtórzyć Jego Ekscelencji.

— Hrabia Drwęcki nareszcie zdjął maskę.

— Spodziewałem się tego.

Pan Surewicz ruszał wąsami, nie bardzo wiedząc, o czym mówiono. Adelka w kilku słowach objaśniła staruszką.

— Proszę nie komentować tej wizyty — słowa pana domu, zwrócone do wszystkich w jadalnej sali, brzmiały tonem rozkazu.

— Od dawna uważano go za zdrajcę — mówiła podniecona Adelka, gdy szły na górę.

— Nie bardzo w to jednak wierzyłam, myślałam: plotki... aż dzisiaj sam się zdradził. Jak pani myśli, dlaczego to zrobił? Czy mu nie wstyd?

— Nie wiem, bądź jednak posłuszna ojcu. Słyszałaś, co powiedział.

— Dobrze, że Cezarego nie było przy stole. Ten dopiero miałby używanie, nieznośny gaduła!

— Widocznie Liberator znowu dał znać o sobie.

— Przypuszczalnie, choć nic o tym nie słyszałam.

— Cezary za to doskonale poinformowany. On dowiaduje się o wszystkim od chłopców stajennych, ciągle tam biega. Strasznie wścibski.

Cezary miał jak zwykle najdokładniejsze wiadomości. Gdy zjawił się po południu w szkolnym pokoju, nie w głowie mu były lekcje francuskiego i czasowniki nieregularne.

— Pan Bukowski to niedołęga — zaczął lekceważąco.

— Dlaczego tak brzydko mówisz o twoim nauczycielu? — oburzyła się Valentine.

— Bo to tchórz. Boi się hrabiego. Choć papo kazał im wyjść, ja i tak wiem, o czym mówiono.

— Nie wątpię.

Cezary spojrzał podejrzliwie na Valentine.

— Od początku wiedziałem, że hrabia to zdrajca. Głupi. Tak mu każe żona.

— Cezary, jesteś dziś niemożliwy.

— Chłop nie powinien być ślepo posłuszny babie — wygłosił z namaszczeniem.

— Któż tak twierdzi?

— Każdy prawdziwy mężczyzna. Moja żona będzie kiedyś spełniać rozkazy, nic więcej.

— Chciałabym to widzieć.

— Zobaczysz pani... A w ogóle to po co te baby? Najpewniej się nie ożenię. Wstąpię do oddziału Liberatora i będę bić Prusaków. On też nie ma żony.

— Skąd wiesz?

— E, przecież to jasne. Taki bohater!

— Bohaterowie też się żenią.

— Liberator ma ważniejsze rzeczy na głowie niż baby. Urządził najazd na więzienie!

— No i co?

— Powiązali zandarmów jak barany i uprowadzili dwóch więźniów.

— Kogo?

— To emisariusze przysłani z zagranicy. — Cezary położył palec na ustach. — Osiedlili się w miasteczku jako lekarze. Może naprawdę byli medykami, nie wiadomo... Weszli w kontakt z Liberatorem. I zdradzono ich.

— ...?

— Podejrzewam hrabinę Drwęcką. To ona wydała ich Prusakom.

— Jak to, hrabina?

— Tak. Udała chorą i wezwała do siebie lekarzy. Właśnie tych dwóch. W jej domu ich aresztowano. Ale to sekret — dodał patrząc przenikliwie na nauczycielkę.

— I ty o tym wiesz?

— Ja wiem wiele rzeczy — odparł zagadkowo.

— I co ci lekarze?

— Od tygodnia siedzieli w więzieniu, a generuj Gulbin ich przesłuchiwał. Okropnie ich dręczono, pytano ciągle o Liberatora. Ale oni jak skała. Liberator dwa razy usiłował ich uwolnić i nie udało się. Wreszcie mieli ich wysłać do miasta, sam namiestnik chciał się nimi zająć. Nie było chwili do stracenia. No i powiodło się, mimo podwojonych straży. Tylko że wszystkie drogi strzeżone, mucha się nie przecisnie. Oni gdzieś tu są w okolicy, ale nie wiadomo, kto ich ukrywa. Adiutant generała objeżdża wsie i dwory. Dziś rano przeszukiwali kościół i plebanię. Straszna była awantura, bo u księdza znaleźli perukę. Proboszcz się zaklinał, że to z jasełek, nie chcieli wierzyć... Dopiero jak przyszedł organista i nałożył perukę, i powiedział, że on tak króla Heroda odgrywa, pokręcili głowami, zabrali perukę i odjechali... nie wiadomo tylko, czy nie wróca.

— Ksiądz chyba nie ukrywa zbiegów?

Nie ma gdzie. Zresztą od dawna mają go na oku. To patriota.

— U kogoś jednak są.

— O tak, i to dobrze schowani. Jak się wszystko uspokoi, Liberator przetrzuci ich do Francji — zakończył z przekonaniem.

Deszcz, który cały dzień stukał o szyby, uspokoił się nad wieczorem. O zachodzie zza chmur wyjrzało nawet czerwone słońce.

Ponieważ Adelka była u księżnej, Valentine wybrała się na samotny spacer do parku. Oczekiwała w napięciu wizyty generała lub młodego adiutanta, pewna, że w swych

poszukiwaniach nie ominą Tarnowic. Nikt jednak dotąd nie przyjechał, może więc i nadal...

W parku panowała cisza, którą maćił od czasu do czasu szum spadających z liści kropel. Trzeba było włożyć najgrubsze trzewiki, tyle wszędzie stało wody. Valentine zapuściła się odważnie w alejkę. Pachniało cementarzem.

Gdzie mogą ukrywać się dwaj zbiegowie? Myśl bez przerwy krążyła wokół ostatnich wydarzeń. A jeśli w Tarnowicach? Tyle tu miejsca... Dom rozległy, zabudowania gospodarskie, czworaki...

Tak była zamyślona, że prawie wpadła w objęcia Dominika. Stary sługa wyłonił się niepostrzeżenie zza posągu satyra — idąc tak przed siebie, Valentine doszła bezwiednie w okolice opuszczonego pawilonu.

Dominik niósł spory koszyk z pokrywą.

— Dokąd tak panienka? — zagadnął swym zwykłym, burkliwym tonem.

— Wyszłam na spacer — Valentine zawsze czuła się nieswojo w obecności starego.

— W taką pogodę? Tak daleko od pałacu?

— Deszcz nie pada, a w parku ładnie...

— Tu nie trzeba chodzić, niedobrze.

— Dlaczego?

— Nie słyszała panienka, co mówią?

— O tym pawilonie?

— Dominik skinął głową.

— Że tu straszy? Nie boję się.

— To źle. Należy bać się duchów.

— Przecież Dominik też się nie boi?

— Nie boję się za dnia, ale w nocy...

— Do nocy co najmniej godzina.

— Słońce zachodzi. Lepiej z daleka od tych murów.

— Czy Dominik widział ducha?

— Widziałem. Chodźmy, panienko, odprowadzę panienkę do pałacu. Lepiej się tu nie kręcić, bo cudak — wskazał satyra — też tego nie lubi.

Głos starego stał się jeszcze mniej uprzejmy, nagłący. Nie pozostało nic innego jak zawrócić. Valentine nie miała najmniejszej ochoty odbyć powrotną drogę w towarzystwie Dominika, podziękowała więc za ostrzeżenie i skierowała się w boczną alejkę.

— Nie tędy droga — zawołał za nią. — Proszę za mną, inaczej panienka zabłądzi, park duży, a przestraszyć się łatwo.

Droga powrotna nie była przyjemna. Dominik wyraźnie eskortował Valentine, uważając, by nie zbaczała z alei wiodącej prosto do domu. Uprzejmość skończyła się i wzięło górę mrukliwe usposobienie starego sługi, który chwilami przerywał milczenie utyskując gderliwie na „osoby wałęsające się, gdzie nie trzeba, i wtykające nos w cudze kąty”.

Drżąc ze zdenerwowania Valentine wbiegła na ganek. Boże, cóż za straszny człowiek! I ten biedny kaleka skazany na ciągłe przebywanie z tym niegrzecznym zrzedą!

Dominik opuścił ją dopiero wówczas, gdy się przekonał, że weszła na schody. Stał w sieni z zadartą głową i koszykiem przewieszonym przez ramię.

— Potwór — skonstatowała Valentine zamykając drzwi.

* *
*

— Wróciłem wczoraj późno, już spałaś — Julian kładzie na kółdrze klucze w skórzanym futerale. — Rysunki zabrałem.

— Dziękuję. Nie przychodził przy tobie inkasent za gaz i światło?

— Nie.

— Szkoda. To jego pora.

— Przy mnie go nie było.

— No nic. Cyryl będzie musiał dopilnować.

— Gdy byłem, przyszedł tylko jakiś facet do ciebie. Powiedziałem, że jesteś chora. Pytałem, czy coś powtórzyć, ale nie chciał.

— Jak wyglądał?

— Nieciekawie. Poza tym wszystko w porządku. (Dobrze ci mówić — pomyślałam — a patelnia to co?) Julian nie zdradza chęci do dalszej rozmowy i wycofuje się z mego pokoju, przeprowadzany nieprzyjaznym wzrokiem Aresa.

Dzień wlecze się żółwym tempem, za oknami ciemnoszare niebo i chwilami strugi deszczu ze śniegiem. Przy tym znowu nienawistny wiatr. Zrobiło się nieco przyjemniej, gdy po zapaleniu światła Gienia zasunęła story.

Cyryl nie przyjeżdża.

Czekaliśmy na niego z kolacją. Na próżno. Podły. Zaciał się. Niech się gniewa. Nie przypuszczałam jednak, że ma aż tak zły charakter. A pies okazuje mu tyle przywiązania. Czyżby się mylił?

W telewizji nic ciekawego, wobec czego Gieniy i Stefan wcześniej zostawiają mnie samą. Samą z Valentine.

Postanowiłam zakończyć dziś część pierwszą mojej romantycznej epopei. Część wprowadzającą w epokę, klimat, miejsce rozgrywającej się akcji. Nadaję przy tym nowe oblicze mojej bohaterce i przygotowuję widzów do pojawienia się Liberatora. Nareszcie! Jutro zacznę o nim intensywnie myśleć. Do jego portretu potrzebne czarne kredki, węgiel, sepia. Jutro pojawi się przede mną w całej okazałości, choć w masce... Nie, Kałnicki nie przyjąłby nawet takiej roli, on zawsze chce na pierwszym planie pokazać swoją „banalną gębę bezczelnego młokosa”, jak to określił Cyryl.

W tym wypadku Cyryl jest niesprawiedliwy, bo Kałnicki ma regularne rysy i jest przystojny, a znam wiele babek, które za nim szaleją. Idiotki. Wyobrażam sobie, jaki jest zepsuty powodzeniem.

Spolszczę także imię bohaterki, tak jak w rzeczywistości nazywał ją mąż: Waleńcia. Pamiętam, jak wuj Tomasz unosił się nad staroświeckim wdziękiem tego zdrobnienia, utrzymując, że jest tak „czysto polskie, że aż przyjemnie słuchać”. Pragnął nawet narzucić mi tę formę, ale oparłam się wówczas stanowczo jego chęci mieszania się do moich spraw. Byłam oburzona, bliska płaczu, bałam się, że mnie ośmieszy przed koleżankami.

Rzeczywiście, Waleńcia w mini spódniczce, wysokich butach i kowbojskim kapeluszu to istota śmieszna i żałosna zarazem, ale ta sama Waleńcia nabiera szyku, wdzięku i

swobody na moich szkicach, wzorowanych na rycinach z lat osiemset trzydziestych.

Ciekawam, co o tym powie Cyryl. I kiedy przyjedzie. Rada jestem, że nikt niepowołany nie wejdzie więcej do mojego domu. Zaciskam palce na kluczach z mocnym postanowieniem, że nigdy, nikomu... Tylko Cyryl...

Waleńcia. Tak mi nagle bliskie zrobiło się to idiotyczne zdrobnienie. Bliskie i tak jakoś dobrze znane. Mnie nazywano zawsze Wala albo Walentynką, czasem Walunią (mama) i tylko wtedy wuj Tomasz... Ciekawam, skąd o tym wiedział? Czy zachowały się jakieś dawne listy? A może tę polską odmianę Valentine wuj znalazł na ofiarowanej jej kiedyś książce, modlitewniku czy nutach? Może...

Wieczór dwunasty

Droga, kochana Madame Gavin, dziś mija rok od mego przyjazdu do Tarnowic. Spieszę więc podziękować Pani za ten dobry, spokojny rok, spędzony w pięknym domu, wśród życzliwych mi osób. Pamięta Pani, jak rozmawiałyśmy o Polsce i o Tarnowicach? Pani zawdzięczam mój los, zawsze o tym pamiętam. Naturalnie miałam szczęście, że trafiłam do Tarnowic, jak mówi Babette, gdyż mieszkańcy tego dworu są ludźmi światłymi i cenią moją pracę. Gdzie indziej jest zupełnie inaczej.

Dostałam dziś piękne prezenty: od księżnej ciepłą szubkę, podbitą popielicami. Bardzo mi w niej do twarzy. Cieszę się ogromnie, bo już mi największy mróz niestraszny! Nie będę więcej dygotać jak w ubiegłym roku, gdy zimą nie miałam odwagi na przechadzkę. Moja uczennica, Adelka, ofiarowała mi zegarek na złotym łańcuszku. Na pokrywce piękne kwiaty z błękitnej emalii. Cezary przyniósł teczkę do listów z ciemnoczerwonego safianu, z moim monogramem, zamykaną na śmieszny, mały kluczyk. Poza tym muszę się Pani pochwalić, że całkiem nieźle opanowałam ten ogromnie trudny język i mogę już swobodnie porozumieć się ze służbą. Naturalnie poznałam tylko najpotrzebniejsze słowa, potocznie używane zwroty, ale rozumiem na przykład, o czym mówią przy stole, jeśli rozmowa toczy się po polsku. Przeważnie jednak rozmawiają po francusku. Dziś także dostałam nowe imię...

Valentine przerwała pisanie i strząsnąwszy grubą kroplę atramentu z białego gęsiego pióra, zapatrzyła się w płomyk świec palących się na biureczku.

O tak, dzień ten był pełen przyjemnych wrażeń. Taki na przykład Cezary zachował się doprawdy wspaniale: wygłosił mowę w całkiem niezłej francuszczyźnie, z zachowaniem, o dziwo, wszelkich zasad gramatyki! Ponadto oznajmił, że wymyślił dla niej polskie imię, które bardzo spodobało się babuni.

Przy obiedzie księżna, całując ją w głowę, rzekła:

— A więc kochanko, Cezary tak spolszczył twoje linie, że wcale go nie poznasz. Ale brzmi ładnie i bardzo dla nas swojsko. Chcemy cię nazywać Waleńcia. I cóż ty na to?

— Jak, jak przechrzczono pannę Delarose?

— pan Surewicz ruszał siwymi wąsami i przykładał rękę do ucha, patrząc pytająco na sąsiadów.

— Waleńcia! — krzyknęła Adelka.

— Waleńcia! — zawtórował Cezary z dumą twórcy.

— Waleńcia! — powtórzył z namysłem pan Surewicz. — Waleńcia. Bardzo ładnie, Waleńcia! — Wydawało się, że trudno mu się rozstać z nowym imieniem nauczycielki. — Doprawdy śliczne, nigdy bym nic podobnego nie wymyślił. I to Cezary? Patrzcie państwo, co ten wisus potrafi. Ma głowę, ma, nie od parady. Kto by się spodziewał... Waleńcia! Ha! Waleńcia!

Nawet Antoni pokiwał głową z aprobatą i nim minął dzień, „panna Waleńcia” znalazła się na ustach całej służby.

Przez ten rok zmieniło się w niej nie tylko imię. Chociażby wygląd. Nigdy nie była tak ładna jak w Tarnowicach. W Paryżu wmawiano jej, że młodość minęła, a oto widzi, że teraz dopiero jest w rozkwicie!

Valentine, ze świecznikiem w ręku, podchodzi do komódki. Szkoda, że nie może pokazać się pani de Flagny! Żeby jeszcze jaką modną toaletę w rodzaju tych, jakie nosi hrabina Drwęcka, i parę klejnotów... Cóż to? Adelka zaraziła ją próżnością? Dotąd nie przywiązywała wagi do strojów, a dziś... Jednak szkoda... Tak piękne jest życie, a ona tak na boku, na marginesie... A fe, brzydko, to myśli godne próżnego dziecka. Czyż wartość życia mierzy się liczbą przyjemności? Tak właśnie mówi księżna. Czy źle jej w Tarnowicach? Niech uważa, by nie spotkała ją kara, za dobrze jej... A jednak jest coś...

Nagle posłyszała dalekie pohukiwanie puszyczka. Odpowiedział mu trzykrotny krzyk sowy jak gdyby gdzieś z parku. Valentine wyniosła świece do garderoby i w ciemnościach rozsunęła firanki. Czarne konary na trochę jaśniejszym niebie kreśliły nieczytelne wprost hieroglify, że i sam chyba wielki Champollion zagubiłby się w ich zawilej kaligrafii.

Valentine wpatrywała się w stronę zamkniętego pawilonu. Niedawno był Dzień Zaduszny i pamięta, co mówiła służba. Babette chodziła z różańcem w ręku,

odmawiając dziesiątek za dziesiątkiem za duszę zmarłej pani.

— Spokoju nieboszczka nie ma — powiedziała wreszcie. — Obawiałam się tego po nieszczęściu z Jankiem. Umierając, poleciła go przecież opiece jaśnie pana i mojej, i nie upilnowaliśmy...

— Ani pan Tarnowicki, ani Babette... — zaczęła Valentine, chcąc uspokoić staruszkę.

— Wiem, wiem — przerwała — my niewinni, ale zawsze... A jaśnie pani spokoju w grobie nie ma. Jakże może zażywać niebieskiej szczęśliwości, gdy Janeczek... Dlatego przychodzi do pawilonu. Tam było jej królestwo. Wczoraj znowu słyszano...

— Co słyszano?

— Adasiek, kredensowy, chodził do wsi, na cmentarz, na grób ojca. Potem zabawił u matki w chacie i wracał koło północy. Bał się przez park, bo to blisko pawilonu, więc szedł za murem; nakładał drogi, ale bał się tak po nocy... No i słyszy... Ktoś drzwi otwierał, wchodził, potem głos, ale tak cichy, że ani słowa nie rozeznał. Adasiek, choć skóra na nim cierpła, chciał coś zobaczyć. Wdrapał się na mur i położył się na szczycie. Widział światelko, potem mignął cień, i znowu głos, ale jeszcze cichszy... A potem tak się przeraził, bo coś oderwało się od straszdyła, tego z kamienia, co to stoi naprzeciwko, że włos mu się zjeżył, prawie nieprzytomny zeskoczył na ziemię i wziął rogi za pas. Mówi, że ocknął się dopiero w czworakach. Pewnie go zaczarowało...

— Dlaczego pani Tarnowicka miałaby wracać do pawilonu?

— Przecież mówiłam paniencie: spokoju nie ma na tamtym świecie.

— Czy wie o tym... syn?

— Wie! Sama mu kiedyś powiedziałam. Zakrył oczy ręką i długo tak siedział, a potem rzekł tylko: „Zostawmy umarłych, oni wiedzą, co czynią”. Mówiłam i Dominikowi. On tam chodzi sprzątać.

— I co Dominik?

— E, od Dominika trudno się czegoś dowiedzieć. On nie gaduła. Mówi, że w pawilonie wszystko w porządku, że nikt tam nie chodzi oprócz niego, ale że nad duchami to on rozkazania nie ma. Ot i taka z nim rozmowa. Gdybym była młodsza i nie bała się nocnego chłodu, sama bym poszła przekonać się...

— Nie bałaby się Babette?

— Bać, tobym się bała, ale poszłabym i gdybym ujrzała nieboszczkę, to choć jestem niewinna, prosiłabym o przebaczenie, że nie ustrzegłam. Ona wie, jak kocham Janeczka, krzywdy mi nie zrobi...

Po raz trzeci odezwał się puszczyk, tym razem gdzieś zupełnie blisko, jak gdyby ptak podlatywał z drzewa na drzewo w stronę domu. Jednocześnie zabłysło światelko czerwone jak krew, które zakreśliło łuk nad powyginanymi konarami i zapadło w ciemność. Co to było?

Valentine miała dość samotności w mroku. Gdy świecznik znów stanął na biurku, wszystko wróciło do normalnego stanu. Nie było już hukających puszczyków ani krwawego oka tajemniczej latarni, nie było zjawy w pawilonie z opowiadania Babette. Ala było coś nowego: tętent rozpędanego

konia gdzieś daleko, na drodze. Tak jak pierwszego wieczoru...

Po południu Adelka z wypiekami na twarzy przy nosła wielką nowinę:

— Pojedynkowali się! — zawołała od progu.

— Kto? Z kim? — Valentine z wrażenia ukłuła się w palec.

— Hrabia Drwęcki z panem Abakanowiczem.

— Z panem Abakanowiczem? Więc hrabia go wyzwał?

— Tak. Wyzwał go. Musiał.

— Czy poszło o... hrabinę?

— Ach, nie! Pani myśli, że hrabia z zazdrości? Skądże! Hrabina kokietowała młodego Abakanowicza jak tylu innych i gdyby hrabia był tak czuły na punkcie honoru żony, musiałby się pojedynkować z połową powiatu.

— Więc o co?...

— Pan Abakanowicz spoliczkował hrabiego i nazwał go publicznie „zdrajcą i sprzedawczykiem”. Jestem z niego dumna. Gdyby teraz zjawił się z oświadczeniami, kto wie, jaka byłaby moja odpowiedź.

— Adelko! Co mówisz?

— Tak. Pojedynek odbył się dziś o świcie, na pistolety. Hrabia draśnięty w ramię, pan Abakanowicz bez szwanku, tylko niestety musiał uchodzić. Poszukują go żandarmi, hrabia złożył skargę, nie wiadomo, co teraz będzie. Papo mówi, że hrabia spalił za sobą mosty. Nikt go nie przyjmie, nie będzie śmiał pokazać się gdziekolwiek... i właściwie pozostało mu tylko jedno: opuścić te strony.

Cezary potwierdził słowa siostry, dodając garść nowych szczegółów.

— Nigdy nie myślałem, że pan Abakanowicz taki zuch! Zazwyczaj małomówny... Czy sądzi pani, że i bohater musi być małomówny? Ciekaw jestem, czy i Liberator?... Bo ja, to pani wie... gadułą nie jestem, ale jak twierdzi ksiądz proboszcz, mowa jest darem bożym, który nas odróżnia w widomy sposób od zwierząt. Uważam więc, że człowiek powinien używać tego daru. Adelka to głupia gęś, nic nie rozumie, sama ciągle papła, a mnie zarzuca gadulstwo! U matki pana Abakanowicza byli goście... i pan Abakanowicz też znajdował się w salonie... i przyjechał hrabia. Nie chciał rozmawiać przy świadkach, bo dotąd nie powiódł mu się ten werbunek zdrajców i może już się trochę wstydził, dość że poprosił pana Abakanowicza o rozmowę na osobności. Krótka to była rozmowa, bo zaraz pan Abakanowicz wbiegł do salonu i oznajmił zebranym, z czym przybywa hrabia. Hrabia chciał protestować, wtedy pan Abakanowicz nazwał go zdrajcą i sprzedawczykiem, i uderzył w twarz, i dodał, że to za to, że ośmielił się przyjechać do niego z podobną propozycją. Hrabia był zmuszony go wyzwać, pewnie wbrew swej woli, ale inaczej nie wypadało, zresztą dla niego i tak nie ma już powrotu... Wszystko odbyło się szczęśliwie i pan Abakanowicz nie tknięty. Wie pani, bili się na pistolety. Ja wybrałbym szablę, szpadę lub pałasz. Uwaga! Prima, tercja... *touche* (słowom tym towarzyszyła odpowiednia pozycja szermierza), ale hrabia... pewnie nigdy nie trzymał szabli...

taki lalusz! Na miejscu pana Abakanowicza od razu przystałbym do Liberatora. Najlepsza droga... a przy okazji sprawiłbym hrabiemu takie lanie, że pamiętałby do sądneho dnia. Zresztą hrabia to nie jedyny zdrajca. Generał Ramorino przeszedł ze swym korpusem do Austrii, a na Litwie powstańcy mogliby się długo trzymać, gdyby nie dowództwo. Bo i tam generałowie przekroczyli granicę pruską i złożyli broń. Straszna to była chwila, Antoni opowiadał... Syn jego siostry służył pod generałem Chłapowskim. Gdy polscy trębacze ostatni raz zagrali narodową pieśń, rozpacz ogarnęła całe wojsko, a pewien młody oficer, Kazimierz Skulski, nie mógł znieść widoku naszych generał, otoczonych pruskim sztabem, podjechał tuż do jednego z nich i wypalił z pistoletu, wołając: „Bracia, tak giną zdrajcy ojczyzny”. Generał zwałił się z konia zabity, a Skulski, nie zatrzymany, uszedł w ogólnym zamieszaniu.

— I nie schwytano go?

— Nie. Jest pewnie we Francji.

Burzliwie kończył się ten pierwszy rok pobytu Valentine w Tarnowicach, niespokojnie. Biedny pan Abakanowicz! Taki nieśmiały, nieelokwentny, a taki odważny... On jeden z całej okolicy... Jaki los czeka teraz odpalonego konkurenta Adelki? Co mu właściwie pozostało? Miała nadzieję, że majątek nie ulegnie konfiskacie i stara pani Abakanowiczowa nie będzie niepokoiona przez władze. Ale co mogła wiedzieć? Generał Gulbin gotów na wszystko, byle przysłużyć się królowi i dostać jeszcze jeden order, szczególnie po nieudanej akcji przeciw

Liberatorowi. Może teraz mścić się za poprzednie fiasko.

Powoli nawijała długie pasma włosów na papiloty, a lustro odbijało stroskaną twarz, która w miarę jak przesuwały się obrazy w jej pamięci, rozpogadzała się coraz bardziej. No bo jakże? Hrabia Drwęcki na zawsze skompromitowany, nie ma już dla niego miejsca w tutejszym społeczeństwie. Znając patriotyczne nastawienie tak ziemiaństwa, jak i ludu, wiedziała, że dalszy pobyt w majątku był dla niego niemożliwy. Ciekawe tylko, jak zachowa się hrabina, piękna Beatrycze. Naturalnie podzieli los małżonka, wobec czego Jan Tarnowicki... Przyszłość umarłaby, tym razem na zawsze...

Valentine czuje dziwną ulgę, ulgę i lekkość w sercu, jak gdyby jej dotyczyło wygnanie hrabiny, jak gdyby ją uwalniało od prześladowania, ucisku, ciężaru i wspomnień...

Piękna Beatrycze nie zapuka już do drzwi obok małego salonu, drzwi, które przed nią, Valentine, nigdy się nie otworzą. Zamknięty za nimi kaleka nic zapewni nie wie o jej istnieniu, najwyżej słyszał, że jest jakaś nowa nauczycielka siostry. Cóż go to obchodzi? Dla niego to szczegół bez znaczenia, fakt oczywisty, siostra musi mieć nauczycielkę, jak ma biureczko, toaletkę czy inny mebel... Bo i jakaż różnica?

Woda w fajansowym dzbanie w błękitne róże zdążyła już wystygnąć, ale to dobrze, przyjemnie ochłodzić rozognione policzki. Maleńka garderoba wydaje się odcięta od świata, tak tu cicho, nie słyhać życia domu, najmniejszy szmer nie dochodzi przez

obstawione szafami ściany. Marmurowy blat umywalki lśni w blasku świecy i bieleją pracowicie wymereżkowane płócienne ręczniki, rozwieszane do wysuszenia.

Valentine rozsuwa firanki łóżka, a myśli układają się w bilans ubiegłego roku. Oto poznała daleki kraj, nowe, ciekawe otoczenie, ludzi, zdarzenia... Spróbowała swych sił — obca na obcej ziemi. Nauczyła się po polsku, to znaczy przebyła barierę, która z początku wydawała się nie do przebycia. Więcej: została Waleńcią... Mimo jej skromnego stanowiska Tarnowice przyjęły ją z sercem na dłoni, odkryły nawet swą bolesną tajemnicę. I przez ten długi, tak bogaty w przeżycia i wrażenia rok, raz tylko — i to z daleka — widziała Jana Tarnowickiego.

Część II

Cyryl przyjechał po tygodniu. Wszedł jak gdyby nigdy nic, jak gdybyśmy się rozstali poprzedniego dnia, w najzupełniejszej harmonii. Ares głośno objawił radość, wpakował mu się na kolana, lizał po twarzy.

— Pies najbardziej się cieszy z mojego widoku — stwierdził z zadowoleniem, gdy Ares wreszcie pozostawił go w spokoju.

— Nie mogę jeszcze, niestety, usiąść ci na kolanach — odpowiedziałam uprzejmie. — Chora noga nie pozwala.

— Psy są zazwyczaj serdeczniejsze, a człowiek potrzebuje czasem serca. Najlepiej szukać go u zwierząt.

— Coś taki zgorzkniały?

— Ja? Nie. Zawsze byłem i jestem optymistą, stąd powodzenie, jakim się cieszą moje filmy.

— ...

— Chciałem cię zapytać, dlaczego dotąd nie odebrałaś od Juliana kluczy?

— Już dawno mi je oddał.

— Tam znowu ktoś był.

— Niemożliwe! Przecież mi oddał. Któż by mógł? Nikt inny, tylko Julian z dziewczyną. Niech go diabli...

Nie było można dalej rozmawiać, bo Gienia podała kolację.

Z mglistych wypowiedzi Stefana zorientowałam się, że Cyryl co dzień dowiadywał się u niego telefonicznie o moje

zdrowie i zrozumiałam, dlaczego Gienia nie przeżywała tak tragicznie (ze względu na mnie) jego tygodniowej nieobecności.

Pozegnaliśmy się dość ceremonialnie, choć ciepło. Cyryl pocałował mnie w rękę, co rzadko robi, i pojechał, a mnie opadły gorączkowe widziadła rozgrywających się w moim mieszkaniu orgii.

I raptem zatęskniłam za Tarnowicami. Nie byłam tam ani razu przez ten długi tydzień, po prostu nie mogłam oderwać się od rzeczywistości, jednakże dużo rysowałam. Jak niezwykle pracowicie spędziłam ten czas, niech zaświadczy gruba plastikowa teczka pełna szkiców i portretów. Mam już wszystko, cała scenografia opracowana w najdrobniejszych szczegółach, wszystkie kostiumy... Może trafią się jakieś błędy, anachronizmy, nie mam przecież żadnych wzorów pod ręką — ani kawałka „epoki”, wszystko z pamięci.

Czy mój „Liberator” — tak nazwę swój film — nie przypomina „Baśni z tysiąca i jednej nocy”? Wydaje mi się, że to zupełnie to samo. Jestem jak ta Szecherezada, co poskramia nie kończącymi się opowieściami gniew krwawego małżonka, by rozpaliwszy ciekawość srogiego władcy, przedłużyć sobie o jeszcze jeden dzień życie.

I ja też, snując tę „filmową opowieść”, przedłużam życie — nie swoje, ale jakiejś dawnej, minionej, ni znanej Valentine X.

Nie wiem tylko, czy utrafiłam we właściwy ton. To przecież odległa od nas epoka. Czy dość wyraźnie zaznaczyłam przepaść, dzielącą wówczas Valentine od takich Tarnowic i jego mieszkańców. Staralam się

widzieć ten wielkopolski dwór oczami biednej guwernantki, której przecież nie mógł dziwić taki właśnie podział ówczesnego świata.

Wyobrażam sobie, jak to pewnego dnia opowim Cyrylowi. Najpierw pokażę tekę ze szkicami, a potem zacznę mówić o Waleńci, o Liberatorze, ilustrując wszystko rysunkami.

A jak Cyryl to przyjmie? Czy mnie wyśmieje? Powie, że biorę się do nie swoich rzeczy. Film to przecież jego specjalność.

Mam już sześć portretów Liberatora. Dwa całej postaci, jeden na koniu i trzy szkice zakrytej maską twarzy, dwa *en face* i jeden z profilu.

Czuję nagle przemożną chęć, by spojrzeć w wyzierające z otworów maski oczy. Zapalam lampkę i przerzucam jeden kartonik za drugim... Oto fotel kaleki, księżna, a oto on — Liberator. Wpatruję się w wysoką, zgrabną postać, dziwnie elegancką w ówczesnym stroju, Przyglądam się zamaskowanej twarzy i raptem przez czarną plamę, kryjącą rysy tajemniczego bohatera, przebija dobrze znany uśmiech Cyryla...

Wieczór trzynasty

Zima roku 1836 była długa i ostra. Oprócz zawiei śnieżnych i lodowatych wichrów, zadymek i mrozów, srożących się nad Polską, nad Królestwem zapada coraz bardziej ponura noc Mikołajewska, której cień sięgał aż do przygranicznych terenów Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

Mówiono o aresztowaniach i deportacjach, zbrojnych lustracjach bardziej niespokojnych okolic, podstępnych i perswazjach, carskich ukazach, misjach dyplomatycznych oraz innych krokach, zmierzających do nawrócenia opornych czy zjednania sobie co znaczniejszych na danym terenie osobistości. Małe to jednak przyniosło rezultaty, naród bowiem uparcie bronił się przed niewolą i upodleniem.

W Tarnowicach życie szło normalnym trybem, jeśli nie liczyć trzech dalszych oświadczyń o rękę Adeli. Trzech młodych ludzi na próżno ubiegało się o zaszczyt nazwania pana Tarnowickiego ojcem. Adelka widocznie nie czuła jeszcze woli bożej, gdyż niezmiennie dawała odmowną odpowiedź, pograżając odpalony konkurentów „w otchłanie rozpaczy”. Pan Tarnowicki za każdym razem miał nieodgadniony wyraz twarzy i nigdy nie wstawił się za żadnym z odrzuconych pretendentów ani też w inny sposób nie wpłynął na decyzję córki. Widać

chwilowo pozostawił jej całkowitą swobodę w wyborze męża.

— Nie jestem w nim zakochana. — Tym zdaniem Adelka podpisywała wyrok na każdego kandydata po kolei.

Przez ubiegły rok dziewczynka wyrosła i ogromnie spoważniała. Właściwie była już z niej całkiem dorosła panna i rola Valentine, czyli „Waleńci”, ograniczyła się prawie wyłącznie do towarzyszenia dawnej uczennicy, do konwersacji, wspólnej lektury czy robótek. Lekcje zaczynały się dopiero przy klawikordzie, gdzie wybitna muzykalność nauczycielki, biegłość jej palców oraz wrodzony talent pedagogiczny znajdowały w dalszym ciągu szerokie pole do popisu.

Przyjaźń, łącząca nauczycielkę z uczennicą, pogłębiła się przez tę drugą zimę, gdy śnieżne zamiecie odcięły Tarnowice od świata, a długie wieczory, gromadzące zazwyczaj domowników w małym salonie, dawały okazję do muzycznych lub wokalnych popisów czy też do intymnej pogawędki w półmroku szkolnego pokoju.

Wkrótce Adelce nie wystarczył już ten nowy stosunek, zapragnęła jeszcze bardziej zbliżyć się do starszej przyjaciółki, mówiąc jej po imieniu. Księżna, zadowolona ma ze zmiany, jaką obserwowała w trzpiotowatym usposobieniu wnuczki i z postępów w jej edukacji, należycie oceniła dobroczynny

wpływ nauczycielki wyrabując
natychmiastową zgodę.

— Panna, która miała czterech starających się, przestała być dzieckiem i nie potrzebuje guwernantki — zaopiniowała z powagą Adelka. — A ponieważ jesteś bardzo mądra, Waleńciu, i ogromnie cię Kocham, więc i tak będę posłuszna, zobaczysz.

Wszystko więc, z małymi wyjątkami, zostało po staremu, a wiosna jak zwykle zabarwiła na różowo najsmutniejsze nawet strony życia.

Pewnego wieczoru Valentine, zmęczona długim spacerem w parku, wcześniej poszła do siebie.

Adelka wymówiła się od spaceru bólem głowy. W ogóle od paru dni była jakaś nieswoja: to nadmiernie podniecona, cała w rumieńcach, z błyszczącymi oczami, to roztargniona i daleka, nie słysząca, co do niej mówiono. Księżna przypisywała te stany wiośnie i idącym stąd zmianom atmosferycznym, które tak wpływały na wrażliwą i nerwową naturę wnuczki

Valentine z prawdziwą przyjemnością zgasiła świecę i zasunęła firanki łóżka. Zasnęła prawie natychmiast, ukołyszana rechotaniem żab, dolatującym z największej sadzawki tarnowickiego parku.

Było już po północy, gdy obudziło ją lekkie dotknięcie. Ktoś siedział w nogach łóżka, firanki były rozsunięte i mimo ciemności

wzrok jej od razu zidentyfikował białą postać.

— Adelko, co się stało? Czy źle się czujesz?

Adelka, zamiast odpowiedzi, ukryła twarz w kołdrze.

— Adelko, odezwij się! O Boże! — Valentine drżącymi rękami dotykała głowy dziewczynki. — Boli cię co? No, powiedz...

— Nie...

— Więc co się stało? Adelko...

— Coś bardzo ważnego.

— Powiedźże nareszcie!

— Zakochałam się.

— Zakochałaś się? Adelko!

— Nie wierzysz? — Znad kołdry podniosły się błyszczące oczy.

— Ależ wierzę, wierzę, choć to takie dziwne... Dawałaś kosza wszystkim konkurentom, ciągle mówiłaś, że nie jesteś zakochana, aż tu nagle...

— Wszystko, co ważne, dzieje się nagle. To nie żaden konkurent...

— Nie konkurent? Adelko, czy zakochałaś się, nie daj Boże, w mężczyźnie, któremu na tobie nie zależy?

— Nie wiem, czy mu na mnie zależy...

Valentine oblała się zimnym potem. Ładnie wypełniła swoje obowiązki, nie ma co, nie wiadomo tylko czy księżna będzie zadowolona z takiego obrotu rzeczy. A co powie pan Tarnowicki? Valentine

gorączkowo robi w myśli przegląd młodych ludzi bywających w Tarnowicach lub

spotykanych w sąsiednich dworach. Któryż to? Który? Czy siostrzeniec księcia Ponińskiego, przybyły z dalekich stron z odwiedzinami do wuja? A może ten błądy młodzieniec, którego poznały niedawno u państwa Bielskich? Co prawda Adelka wyśmiała jego przesadne maniery i zbyt wysoki kołnierz fraka, ale nic nie wiadomo. Boże, Boże, doprawdy zwariować można, co ta dziewczyna...

— Kto to taki?

— Czy potrafisz dochować tajemnicy?

— Adelko, jak możesz?...

— Powiem tylko pod warunkiem, że obiecasz: nikomu, ale to nikomu...

— Mów.

— Obiecujesz?

— Nie wiem.

— Obiecaj, Waleńciu, droga, złota, brylantowa!

— To coś złego, prawda, jeżeli tak się boisz?

— Nic złego, Waleńciu, obiecaj.

— A twój ojciec, a babunia? Jakże im spojrzę w oczy? Adelko, ty chyba jesteś szalona?

— Jestem. A ty nigdy nie byłaś zakochana?

— Nigdy. (Boże, jakież to straszne słowo... Czyż nie ma już dla niej nadziei?)

— W takim razie mnie nie zrozumiesz.



— Na miłość boską, Adelko, muszę wiedzieć prawdę.

— No widzisz, a nie chcesz obiecać.

— Jakże mogę?

— Musisz. Inaczej nic nie powiem.

— Adelko, zlituj się...

— Obiecujesz czy nie?

— Obiecuję...

Adelka znowu kryje twarz w kołdrze. Mówi rączek do pościeli niż do przyjaciółki.

— To Liberator

— Liberator?

Valentine czuje, że robi jej się słabo. Tego tylko brakowało. Liberator... a może jaki fernal przebrany za bohatera? To tak pilnowała powierzona jej pieczy dziewczynę? Nie zdziwi się, jeśli ją wypędzą z Tarnowic... Za tyle dobrodziejstw, których doznała... Ale jak do tego doszło? Jak?

— Adelko, w tej chwili usiądź i opowiedz wszystko. Zaraz zapalę świecę.

— Nie zapalaj, nie chcę światła. Nie chcę, żebyś na mnie patrzyła...

Valentine wysuwa się z ciepłego łóżka, wkłada cienki peniuar i okrywa plecy wełnianą chustką. Adelka nadal szuka schronienia w przytulnej kołdrze.

— Wszystko ci powiem, ale pamiętaj, że przyrzekłaś... To straszna tajemnica. Wiesz, gdzie jest główna kwatera Liberatora?

— Gdzie?

— W zamkniętym pawilonie.

— Tym w parku?...

— Tak.

— Przecież Dominik tam sprząta...

— Ale we dnie. W nocy żywa dusza nie zbliża się do ścian, w których straszy. O, Waleńciu, to właśnie są te duchy, stąd pochodzi światło w szparach okiennicy, stąd głosy... Przesądna służba otoczyła kryjówkę Liberatora nieprzebytym murem grozy. Bohater czuje się tam bezpieczny, bo wie, że nikt nie ośmieli się nocą... nikt nie zechce narazić się na spotkanie z upiorem.

— Ale Dominik...

— Nic nie wie. Spiskowcy nie zostawiają śladów.

— Mój Boże, w jaki sposób? Kiedy?...

— Zaraz ci powiem. — Głos dziewczynki odzyskuje dawno brzmienie, Valentine nawet wydaje się mimo ciemności, że uczennica spogląda na nią z wyższością. — Sprowokował mnie Cezary.

— Cezary? Do czego cię sprowokował?

— Żeby poszła nocą do pawilonu. Karolcia-bieliźniarka opowiadała któregoś wieczoru, że słyszała rozmowę w kredensie. Podobno ktoś widział, jak biała postać wyszła z za posągu satyra i rozplynęła się w mroku. Nad głową widma leciała sowa, a po bokach tłukły skrzydłami olbrzymie nietoperze. Na to Cezary — bo i ten wierzcipięta kręcił się przy nas — z bezczelnym śmiechem mówi, że on chwyciłby nietoperze za nogi i wcale by się nie bał, a ja pewnie zemdlałabym ze strachu, bo jestem „głupia baba”, tak się wyraził, ordynus. Więc gdy zostaliśmy sami, to mówię, że nie jestem żadna „baba”, a on zaśmiał się jeszcze bezczelniej i pyta: „No to kto, jak nie baba?” Z nim w ogóle nie można rozmawiać, zarozumiały cham. I tak się zdenerwowałam,

że choć lękam się duchów i ciemności, że za nic w świecie nie zeszląbym sama do parku, powiedziałam, że owszem, pójdę o północy i przekonam się. A ten łotr nie uwierzył. „Pójdziesz, ale ze mną — mówi. — Inaczej tak wystraszyłabyś się żaby, że zamiast do pawilonu, uciekłabyś, gdzie pieprz rośnie. I tyle bym cię widział.” Co miałam robić? No i umówiłam się z nim na następną noc.

— Kiedy to było?

— Tydzień temu. Wcale się nie kładłam. Siedziałam w ciemności i tak się okropnie bałam. Babunia na szczęście wcześniej poszła spać i zamknęła drzwi. Cezary przyszedł po jedenastej. Nawet nie wiem, jak się wymknął spod opieki pana Bukowskiego. Zeszliśmy na dół z trzewikami w rękę, jak złodzieje. A potem... Nigdy nie zapomnę tej drogi, tak się bałam, tak strasznie się bałam... Cały czas trzymałam Cezarego za rękę, a on ze mnie szydził. Boże, co ja wówczas wycierpiałam! A potem zobaczyliśmy pawilon i posąg satyra... i ukryliśmy się w gęstwinie, i patrzyli, i nasłuchiwali... I nic... Było cicho i pusto. Długo tak czekaliśmy. I nagle otworzyły się drzwi pawilonu... ktoś stanął na progu. Wewnątrz było jasno, bo w głębi stał drugi człowiek ze świecznikiem w rękę. Palily się tylko dwie świece, ale dobrze widziałam. Ten pierwszy ubrany był na czarno, a twarz kryła mu maska. Drugi też był zamaskowany. Zdrętwiałam z przerażenia, ale wołałam tych maskowanych nieznanomych niż duchy. Cezary tak ścisnął mi ramię, że został siny ślad. Zamarliśmy przyczajeni za drzewami. Ten pierwszy w czarnej masce coś powiedział, ale tak cicho,

że nie dosłyszałam, coś jak gdyby „jutro o tej samej porze”, ale nie byłam pewna, i zniknął w ciemności, a ten drugi zamknął drzwi i znowu było cicho. Czekaliśmy, baliśmy się poruszyć. A potem ten drugi wyszedł z pawilonu i przekręcił klucz w zamku. Mają podrobiony klucz, bo przecież i Dominik... I ten drugi też znikł między drzewami... Odczekaliśmy może z pół godziny, a potem wróciliśmy do domu. Zmarzłam na kość w tej wilgoci i szczękałam zębami, a Cezary drwił: „To ze strachu, co?” Podły!

— Więc ten pierwszy to Liberator?

— Tak. Kazałam Cezaremu trzymać język za zębami, to taki gaduła... Ale mnie wysmiał. „Wiem o tym od roku — powiedział z dumą — i milczę. To ty powinnaś teraz pilnować ozora. Chciałem ci pokazać, jakie znam sekrety, uznałem przy tym, że wystarczająco dobra z ciebie patriotka, możesz się nam nawet przydać...” Żebyś widziała jego minę! Nadęta purchawka! następnej nocy postanowiłam znowu pójść do pawilonu, tym razem sama. Zdobyłam się na ten krok, gdyż wiedziałam już, że ludzie, a nie duchy snują się wokół jego murów. Chciałam koniecznie przyjrzeć się Liberatorowi. Było w nim coś... coś wspaniałego... Widziałam go tylko chwilę, gdy jego sylwetka zaczerniała w drzwiach. I poszłam... Bałam się, że spotkam Cezarego, ale spał tej nocy jak susel. Sto razy umierałam ze strachu, nim dotarłam do posągu satyra. Ten sam park nocą zmienia się nie do poznania. Ale musiałam iść coś mnie ciągnęło. Jeżeli dobrze rozumiałam poprzedniej niej nocy, dziś też miał być w

pawilonie. I był. Znowu stanął w otwartych drzwiach, ale sam. Więc zebrałam się na odwagę i wyszłam z zarośli...

Valentine słyszała w mroku bicie serca, nie wiedziała tylko, czyje serce bije tak głośno.

— I co? Co było dalej?

— Dalej... zobaczyłam przed sobą lufę pistoletu, ale nie mogłam już się cofnąć. Szłam więc prosto do drzwi. Gdy znalazłam się tuż przed progiem, powiedziałam: „Adelka Tarnowicka podziwia bohaterstwo Liberatora”.

— A on?

— On? Schował pistolet i skłonił się, ale nie zdjął kapelusza. A potem się zaśmiał, aż pod maską zabielały zęby. Wówczas zachowałam się jak głupia gęś, bo zamiast powiedzieć coś wzniosłego, jak tego wymagała sytuacja, zajrzałam w ciemną głąb pawilonu i szepnęłam, że nigdy nie byłam wewnątrz i że strasznie jestem ciekawa, jak tam wygląda. Liberator znowu się roześmiał i uczynił zapraszający gest. Ale bałam się, bo było ciemno, więc powiedziałam, że nie wypada młodej panie samej znajdować się z mężczyzną w nie oświetlonym pokoju. Wtedy on odwrócił głowę i powiedział do kogoś: „zapal świece”, i po chwili było jasno. Okazało się, że ten drugi też był w pawilonie, ale przez cały czas nie odezwał się ani razu.

— I co?

— I nic. Ale za to zwiedziłam cały pawilon, no właściwie nie cały, bo jednych drzwi Liberator nie otworzył, powiedział, że nie ma klucza. Wiesz, on jest bardzo piękny.

— Pawilon?

- Pawilon też, ale Liberator..,
- Przecież nosi maskę.
- To widać...
- Poza tym było ciemno.
- Niedobra jesteś, Waleńciu. Mówiłam ci, że ten drugi zapalił świece.
- Więc cóż z tego, jeżeli maska...
- Maską dodaje uroku, tajemniczości... Zaręczam, ci, że on jest piękny.
- Maską równie dobrze może ukrywać odrażającą brzydotę czy nieciekawą przeciętność. Piękny czy brzydki Liberator jest bohaterem, a to chyba najważniejsze.
- Ależ on jest piękny! Rozumiesz? Piękny i wspaniały. Inaczej czyżbym się w nim zakochała?
- A... więc tylko dla urody...
- Wcale nie! Jest taki inny niż wszyscy.
- Inny, bo zamaskowany.
- Doprawdy, Waleńciu, traktujesz mnie jak dziecko. Przecież ci powiedziałam, że jestem w nim zakochana. Czy to nie wystarcza?
- Nie wiem... Może...
- Przyszłam do ciebie, żeby się wyzalić, żeby wyznać ci wielką tajemnicę, szukać rady, pociechy. Nie mogłam zasnąć. A ty... Chciałabym znaleźć się teraz w pawilonie...
- Czy byłaś tam jeszcze?
- Byłam...
- To źle, Adelko.
- Wiem, ale nie mogłam nie pójść...
- Czy zastanowiłaś się, co on o tobie pomyśli, jakie będzie miał mniemanie o pannie Tarnowickiej?

— Wszystko, co mówisz, jest teraz dla mnie za rozsądne. Ja nie rozumiem. Idę, bo ciągnie mnie jakaś siła...

— Czy on... zawsze był bez zarzutu?

— Zawsze...

Co to? Czy w głosie Adelki nie brzmi rozczarowanie? Czyżby żałowała, że Liberator?... Nie, chyba ona, Valentine, myli się, przypisując takie uczucia uczennicy, Choć kto wie? Różne bywają dziewczęta. I ta Adelka, taka dotąd skromna, tak starannie wychowana... Sama.. Nocą... Nie, nie, to się musi skończyć, nie wolno dopuścić, by wiadomość o nocnych eskapadach wnuczki dotarła do księżnej. A pan Tarnowicki? Valentine woli nie myśleć, co byłoby, gdyby...

— Ile razy jeszcze byłaś w pawilonie?

— Tylko dwa. Waleńciu, Liberator naprawdę zachowywał się bez zarzutu, to ja byłam trochę... Teraz sio wstydzę... Zresztą szaperonował nam ten drugi, stało być obecny... choć nigdy nie wymówił słowa.

— To się musi skończyć, Adelko, nie pójdziesz więcej nocą do pawilonu.

— Niemożliwe. Obiecałam Liberatorowi...

— Ach, więc żądał od ciebie obietnicy?

Boże, Boże, to z pewnością jakiś awanturnik, podszywający się pod olśniewającą zbroję bohaterstwa. Albo nie... Liberator, człowiek niskiej kondycji, chce w ten sposób podnieść się do wyższej rangi. Łatwo skompromitować dziedziczkę takiej fortuny jak Adelka, a potem już tylko jeden krok do małżeństwa... Trzeba natychmiast położyć temu kres, to jej obowiązek, święty obowiązek.

— Jesteś młoda, Adelko, i wolno ci postępować nierozważnie, ale ja na tyle znam świat i ludzi, by wiedzieć, co ci grozi.

— Przecież nic mi nie grozi, Waleńciu.

— Nie wiadomo, kim jest Liberator.

— Nie wiadomo, ale to człowiek honoru. Żebyś go widziała...

— W każdym razie ty go więcej nie zobaczysz.

— Ależ Waleńciu...

— Jeżeli nie posłuchasz, pójdę do babuni.

— Ja do ciebie z całym zaufaniem...

— Babunia też mi ufa i jest przekonana, że uczciwie wypełniam swoje obowiązki. Zrozumie, Adelko, stoisz na skraju przepaści; skutki twej nieostrożności mogą być nieobliczalne! A gdyby okazało się, że Liberator to... to... na przykład jakiś gajowy, czy koniuszy...

— To bohater. Czuję się przy nim mała i nic nie znacząca. Tylko taki mężczyzna potrafi mi zaimponować. A zresztą może sobie być gajowym czy koniuszym, to nieważne. Jest wspaniały. A babuni nie powiesz, bo przyrzekłaś.

— Powiem i to dziś.

— Waleńciu, obiecałaś! Babunia się zmartwi, a ja doprawdy nic złego... Przecież to Liberator, a nie żaden... koniuszy. Jak możesz? A naprawdę to niczego ode mnie nie żądał, ja sama powiedziałam, że znowu przyjdę. Wiesz, wydaje mi się czasem, że on nie traktuje mnie poważnie. Tak się dziwnie uśmiecha. Zakochany mężczyzna nie powinien być uśmiechnięty, nie uważasz?

— Mówiłam ci już, że nie mam doświadczenia i nie wiem, jak powinien wyglądać zakochany mężczyzna. Dziwię się tylko, że sama nie widzisz niewłaściwości swego postępowania.

— Czy wszyscy muszą zawsze postępować właściwie?

— Panna z twoim urodzeniem...

— Okropnie nudno być panną z moim urodzeniem.

— Trudno. Tego już nie zmienisz. Masz obowiązki wobec ojca i babki.

— Ja o Liberatorze, a ty o obowiązkach! Gdy mnie kochał... Gdyby padł przede inną na kolana i wyznał swą miłość!

— Dlaczego miałby padać na kolana? A w ogóle gdyby cię naprawdę kochał, kazałby ci wracać do domu i nigdy nocą nie zjawiać się w pawilonie. Oto jak powinien być postąpić, gdyby cię naprawdę kochał. Dosyć, Adelko, nie chcę nic więcej słyszeć na ten temat!

— Po co ja ci to wszystko powiedziałam?

— Jak to po co? Po to, żebym cię ratowała, póki czas. Sama czułaś, że nie jest tak, jak być powinno.

— Wszystko, co dotyczy Liberatora, nie jest takie, jak być powinno, niemniej...

— Niemniej Liberator ma co innego w głowie niż romanse. Zostaw go jego przeznaczeniu.

— A jeśli ja jestem jego przeznaczeniem?

— W takim razie, gdy będzie mógł, stawi się przed panem Tarnowickim i poprosi go o twoją rękę. Nie zapominaj tylko, że wówczas ujrzysz go bez maski, w blasku dnia i nie

wiadomo, czy równie cię zachwyci jak nocny bohater pawilonu.

— Jest wspaniały... — wydawszy ostatnie westchnienie Adelka wstała. — Już pójdę. Przepraszam cię, Waleńciu, za to nocne najście.

Valentine spojrzała z troską na wychowankę.

— Masz do mnie żal. Doskonale cię rozumiem. Ale kiedyś będziesz mi wdzięczna.

— Więc nie powiesz babuni?

— Nie, jeżeli posłuchasz mojej rady.

— Dziękuję, Waleńciu, dobranoc.

Zbyt układne pożegnanie pozostawiło niepokój w duszy Valentine. Co się kryło za pozorną uległością Adelki? Dostatecznie poznała już swą uczennicę, by wiedzieć, że tak łatwo nie zrezygnuje ze swoich planów, tym bardziej że po raz pierwszy w grę wchodziła miłość... Czy rzeczywiście Adelka była zakochana? Oto pytanie, na które czas dopiero da odpowiedź. Należało więc czekać, lecz nie beczynn timer, o nie, musi strzec swojej wychowanki, nawet wbrew jej woli.

Dlaczego Cezary odkrył siostrze tajemnicę parkowego pawilonu? Jaki miał w tym cel? I czy tylko ich dwoje?... Pytania te nie dały jej zasnąć. Wstała zmęczona i zniechęcona do swych codziennych obowiązków, które dotychczas wypełniała z nigdy nie słabnącym entuzjazmem.

O dziesiątej Cezary przyszedł na codzienną lekcję francuskiego.

— Nie nauczyłem się na pamięć tej bajki La Fontaine'a — oznajmił od progu. — Nie

podoba mi się, nie lubię mrówek. Wolę już tę o lisie i kruku.

— Więc naucz się bajki o lisie i kruku — zgodziła Mą obojętnie Valentine.

Cezary nie był zadowolony. Lubił walkę, a tu nieoczekiwana kapitulacja, zanim jeszcze skrzyżowano szable.

— Powinna mnie pani zmusić — zauważył z nagana.

— Po cóż mam cię zmuszać? — zdziwiła się Valentine i po raz pierwszy tego dnia przyjrzała się uważnie chłopcu. Wyglądał blado i mizernie, ale minę miał zaczepną.

— Lubisz stawiać opór, co?

— Lubię — przyznał szczerze. — Dziś rano miałem utarczkę z Dominikiem. Kiedyś wypędzę tego starego grzyba.

— Wypędzisz? A twój brat?

— E... — machnął lekceważąco ręką. — On się nie liczy.

— To twój starszy brat — przypomniała Valentine

— To dziwak — mruknął.

— Nie żaden dziwak, tylko chory...

— Jeśli chory, to powinien spać w nocy — wybuchnął. — Ten bezczelny Dominik zapłaci mi kiedyś! Głosu nie pozwala wydać przed oknami brata! „Niech no panicz będzie cicho, bo jaśnie panicz śpi i nie wolno go budzić. Oka w nocy nie mógł zmrużyć, a panicz tu hałasuje...” — z prawdziwym talentem przedrzeźniał starego sługę.

— Dominik ma rację.

— Nie ma prawa tak do mnie mówić, kiedyś nauczę go rozumu.

— Jeżeli nie słuchasz...

— On ma mnie słuchać.

— Jak możesz, Cezary, to przecież starzec.

— To sługa. A poza tym nie znoszę mazgajów. Mężczyzna nie powinien być chorym ani kaleką. Mój ideał to Liberator.

— Dosyć, Cezary. Sądziłam, że masz lepsze serce.

— Nic złego nie mówię, a pani zaraz...

W południe grały z Adelką na cztery ręce. Po nocnym wylewie zwierzeń, uczennica okazała się milcząca i zamknięta w sobie. Trudno z niej było wydobyć słowo.

— Po obiedzie pójdę się położyć — oświadczyła składając nuty. — Głowa mnie rozboleła.

I rzeczywiście gdy wstawano od stołu, znikła za drzwiami jadalnej sali.

Valentine czuła się dziwnie rozbita. Może tak rozstroił ją Mozart, którego grały przed obiadem, choć zazwyczaj wytworne sonaty działały kojąco. Nurtował ją niepokój, jak gdyby przeczucie nieszczęścia, którego nie sposób uniknąć. O czym myślała Adelka? Jakie plany wykluwały się w ciemnowłosej główce? Do czego zmierzała wytrwałym uporem? Co robić, by nie dopuścić, powstrzymać?

Księżna wyglądała, jakby oczekiwała ciosu, nie wiedząc tylko, z której strony spadnie grom.

— Martwi mnie Adelka — powiedziała przechodząc obok Valentine, która jak zwykle złożyła przepisowy dyg.

Pan Tarnowicki, widać, dosłyszał pełne troski słowa świekry, gdyż obrócił głowę w stronę nauczycielki i Valentine przez chwilę poczuła ciężar jego spojrzenia.

Powoli szła na górę, po raz pierwszy opierając się o rzeźbioną poręcz schodów. Było jej coraz smutniej, coraz beznadziejniej. I nikogo, komu się zwierzyć, u kogo szukać rady czy pocieszenia. Adelka i Liberator... Liberator i Adelka... Czy to możliwe? Liberator?

* *
*

Od rana mamy zadymkę. Za oknem tuman wirującego w porywach wiatru śniegu. Romek nie poszedł do szkoły, bo go boli gardło. Pęta się po domu, nie wiedząc, co ze sobą począć, i przeszkadza gosposi w robocie.

Na obiad, o dziwo, przyjeżdża Julian.

— Co tak wcześniej? — zainteresował się Romek.

— Zamknij się — warknął starszy brat. — Nie twoja rzecz.

Okazało się, że Cyryl użył Juliana jako poczytłiona, gdyż przesłał mi przez niego karteczkę.

— Spotkaliśmy się na mieście — Julian jak zwykle był skąpy w wyjaśnienia. — Dał mi to dla ciebie.

— Nie byłeś na politechnice? — zgorszył się Romek, za co otrzymał kuksańca oraz epitety „podłego lizusa i debila”.

Kochanie — pisał Cyryl — wybacz, że dziś nie wpadnę, ale powstały nowe komplikacje w związku z filmem. Będę dziś na Świętokrzyskiej podlać kwiaty. Twój Cyryl.

— Nie przyjedzie — oznajmiłam zaniepokojonej Gieni. — Ma nawał pracy w filmie.

Miałam więc przed sobą całe popołudnie i wieczór znowu bez Cyryla, ale za to z Liberatorem. Który z nich dwóch bardziej atrakcyjny? Dziś jeszcze postawię Waleńcę twarzą w twarz z zamaskowanym Wyzwolicielem. Co z tego wyniknie?

Wieczór czternasty

Wielki zegar w sieni wybił jedenastą. Valentine i rozprostowała skurczone nogi i wstała z fotelika. Chwilę nasłuchiwała pod drzwiami, po czym zdmuchnęła świecę. Za oknem było ciemno jak w wygaszonym piecu. Mimo pogodnego, cichego dnia wieczór okazał się wietrzny, gdyż słyszała pojękiwanie gałęzi wstrząsanych wichurą. Owinięta szczelnie w czarny płaszcz z kapturem, mający osłonić ją przed niepowołanym okiem, ostrożnie uchyliła firankę. Trudno zobaczyć coś w tych ciemnościach i jeżeli szczupła postać przemknie wśród drzew, nie ma prawie nadziei, że ją dojrzy.

Korytarz wydaje się nieskończenie długi. Gdzież te schody? Nareszcie poręcz rzeźbiona w dębowe liście. W zegarze coś chrobocze... Po chwili z drewnianej skrzyni wylatuje jeden melodyjny dźwięk. Już pół do dwunastej? Spóźniła się. Jak duch zsuwa się ze schodów. Dół sukni opada ze stopnia na stopień z cichym szelestem. Główne drzwi zamknięte, pan Nowiak osobiście dopilnowuje codziennego ryglowania zamków i zakładania żelaznej sztaby, ale jest małe boczne wyjście w tylnej części domu.

W wąskim korytarzyku cicho i ciemno jak w grobie. Pachnie suszonymi grzybami, bo niedaleko spiżarnia. Oto i zbawcze drzwi. Obok, na gwoździu, klucz. Tylko jeden? Ktoś więc wyszedł... Zazwyczaj koło drzwi wiszą dwa klucze. Taki już porządek panuje w

Tarnowicach, że gdy kto wychodzi w nocy, zabiera ze sobą klucz od bocznych drzwi. I wraca, nikogo nie budząc. Adelka ją wyprzedziła. Klucz obraca się lekko w świeżo naoliwionym zamku i po chwili wicher szarpie czarną peleryną, usiłuje zerwać z głowy kaptur.

Nocą park rzeczywiście jest obcy i groźny. Dobrze znane alejki, sto razy przemierzane o różnych porach dnia, teraz niepodobne do żadnej z tarnowickich ścieżek. Valentine gubi się w ich zawilym biegu, jak gdyby wraz z ostatnim przebłyskiem światła utraciła orientację.

Zaraz, zaraz, tu na lewo sadzawka... ostrożnie... trzeba uważać, bo inaczej może wpaść do wody. O, a teraz... zawadziła nogą o kamienną ławkę, uderzając się boleśnie w kostkę.

Drzewa wyrastają nie tam, gdzie się ich oczekuje, a gałęzie bukszpanów jak ptasie szpony czepiają się płaszczą, utrudniając i tak trudną drogę.

Gdzieś w pobliżu musi znajdować się posąg satyra, chyba nie zablądziła. Choć kto wie, w takich ciemnościach... A Adelka nie boi się. Doprawdy zwariowała dziewczyna czy co? Samotny pawilon stoi u zbiegu trzech alejek, odnajdzie go bez trudu. Właściwie już powinna dojrzeć jego białe ściany, a tu nic...

Raptem, tuż przy prawym uchu, posłyszała przeciągłe wołanie puszczyka: hu, huuuuuu... hu, huuuuuu! Przerazona, rzuciła się w bok, w gęste zarośla, a wołanie niosło się nad jej głową na beznadziejnej nucie rozpaczy. Zziajana, z bijącym sercem,

stała wreszcie, pewna, że to nie ptak nocny wydał ten żalobny okrzyk.

Na próżno usiłowała ustalić miejsce, w jakie zapędził ją strach, zdezorientowana kręciła się w kółko, obijając się o gęsto tu rosnące drzewa, raniąc ręce o kolące gałęzie krzaków. Gdzież był pawilon? W której stronie?

Zmęczona bezowocnym trudem przysiadła, dygocąc, na napotkanej omackiem kamiennej ławce i otuliwszy się szczelnie płaszczem postanowiła doczekać świtu.

Zziębnięta i znużona, być może zdrzemnęła się mimo niewygodnej pozycji. Poderwał ją skrzyp otwieranych drzwi, ledwie dosłyszalny i tak słaby, że w blasku słońca, wśród parkowych odgłosów życia, z pewnością uszedłby jej uwadze. Wyteżyła słuch, starając się uchwycić kierunek, skąd pochodził ten niezwykle dźwięk. Po chwili doszedł ją głos, nie, dwa głosy, dwie osoby rozmawiały gdzieś niedaleko.

Nie zachowywała już ostrożności, szła szybko, potrącana przez zwisające konary, byle prędzej znaleźć się między ludźmi, zobaczyć światło.

I nagle...

Było zupełnie tak, jak opowiadała Adelka. W otwartych drzwiach pawilonu wysoka, czarna postać, oświetlona dwoma świecami trzymanego z tyłu kandelabra. Uwieszona u ramienia Liberatora dziewczyna w białym peniuarze, widocznym w całej okazałości w rozchylonych fałdach płaszcza, unosiła ku górze twarz, zastygła jak gdyby w masce uwielbienia. Mężczyzna pochylał się nad tą twarzą nisko, coraz niżej... dziewczyna cała

była oczekiwaniem... I gdy struchlałej ze zgrozy Valentine wydawało się, że już, już wargi nieznanego dotkną ust panny Tarnowickiej, Liberator wyprostował się.

— Dziecko — powiedział cicho i tak miękko, jakby rzeczywiście mówił do dziecka. — Dziecko...

Valentine nie mogła dłużej czekać. Jak pantera skoczyła ku drzwiom pawilonu, uderzając się o niespodziewany mur ciemności.

— Adelko, gdzie jesteś? W tej chwili wracaj ze mną do domu! Słyszysz?

— To Waleńcia... moja guwernantka — zaszemrał szept Adelki.

— Zapal świece — rzucił w głąb westybulu męski głos.

Valentine trzęsła się wprost z oburzenia.

Gdy znowu zapłonęły świece, stała twarzą w twarz z Liberatorem. Pod czarną maską błąkało się coś, I można by nazwać uśmiechem. W szparach czarnego aksamitu błyskały ciemne źrenice, przykryte do połowy powiekami.

—Więc to jest panna Waleńcia... targowicka guwernantka?

— Dla pana jestem tylko panną Delarose — ucięła sucho Valentine. — Tak jak dla mnie był pan dotąd bohaterskim Liberatorem.

— Jak to... byłem? — uśmiech pod maską stał się wyraźniejszy.

— Nie uważam za akt bohaterstwa emablowanie przyszłej dziedziczki Tarnowie!

— To przyszła dziedziczka Tarnowie mnie emabluje.

— Ale pan zgadza się, pozwala!

— A cóż mam robić?

Z kąta, dokąd nie docierało światło, wysunęła się Adelka i pochwyciła rękę przyjaciółki.

— Waleńciu, proszę cię...

— Nie dotrzymałaś słowa, Adelko — zauważyła sucho Valentine. — Wobec tego i ja czuję się zwolniona z danej ci obietnicy. Dziś jeszcze o wszystkim dowie się księżna pani.

— Waleńciu...

Zamaskowany spiskowiec z kandelabrem, niemy świadek tej sceny, zakaszłał dyskretnie.

— Nikt nie może dowiedzieć się, to przecież tajemnica. — Adelka ścisnęła kurczowo ramię Valentine.

— Proszę do pawilonu — przerwał Liberator. — Nie załatwia się podobnych spraw w drzwiach, na oczach ewentualnych szpiegów.

— O Boże, szpiegów! — Adelka zatrzęsała się z przerażenia.

— Kryjówka nasza przestała być bezpieczna.

— Przecież to Waleńcia... ona nikomu... nigdy...

— Nie wiem. Proszę do środka.

Valentine zdecydowała się błyskawicznie.

— Dziękuję, wracam do domu. Chodź, Adelko.

— Dlaczego nie chcesz?...

Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Liberator może być spokojny, ja potrafię dochować sekretu.

— Ani przez chwilę nie przestałem w to wierzyć. Ale doprawdy... może zaszczyci pani moją kwaterę...

— Nigdy moja noga nie postanie w pawilonie.

— Nie wiadomo — rzucił zagadkowo.

— Owszem, wiadomo. Mnie nie trzeba wabić zamaskowaną twarzą, ja nie dziedziczka. Idziemy, Adelko

— Zaczekaj, proszę...

— Na co?

W tej chwili Valentine, popchnięta silną dłonią Liberatora, znalazła się, sama nie wiedząc kiedy, w westybulu. Gdzieś daleko, pewnie za parkiem, zahukała posępnie sowa. Światło zgasło. Sowa zahukała jeszcze dwa razy, a potem nastąpiła dzwoniąca w uszach ciii. W ciasnym westybulu słychać było tylko przywieszony oddech Adelki i szum wichury, która tam w parku rozszalała się na dobre. Dlatego pewnie nie dosłyszały kroków zbliżających się do stopni ganku. A gdy zapukano w pewien umówiony sposób, Adelka drgnęła jak porażona piorunem. Liberator otworzył bez wahania, widać czekał na to przybycie, wypychając jednocześnie dziewczęta do przyległego pokoju.

Po omacku znalazły sofę i usiadły, przytulone do siebie, trzymając się za ręce.

Z westybulu nie dochodził żaden głos.

Upłynął może kwadrans w absolutnym milczeniu, po czym cicho trzasnęły drzwi wejściowe. Do pokoju, który okazał się

salonikiem, wszedł Liberator niosąc zapalony kandelabr.

— Nigdy nie trzeba się zarzekać. —
Ustawił świecznik na konsolce i zwrócił do Valentine zamaskowani twarz. — Ot i pani w pawilonie.

— Zaręczam, że wbrew mej woli.

— To nieważne.

— Pragnęłybyśmy wydostać się stąd jak najprędzej.

— Za chwilę. Towarzysz mój odprowadzi panie do pałacu.

Wichura tak szarpała czubami drzew, jak gdyby chciała powydzierać pnie wraz z korzeniami z mocno trzymającej je ziemi. Zdawało się, że huragan powali pawilon lub zerwie dach ze starej budowli.

— Jak my pójdziemy? Jak pójdziemy? —
biadała Adelka.

— Musimy znaleźć się w domu przed deszczem. Taka wichura zazwyczaj napędza ulewę.

— Och, Waleńciu, Waleńciu, po co ja tu przyszłam? I ty przeze mnie...

— Cicho, uspokój się, wszystko będzie dobrze.

Liberator wyszedł do westybulu, widocznie usłyszał pukanie, i wpuścił milczącego towarzysza.

— Mogą panie już iść — oznajmił po chwili. — Droga wolna.

Adelka zerwała się z sofki i stanęła przed nocnym gospodarzem pawilonu.

— Pan się na mnie nie gniewa? — spytała pokornie.

— Nie, dziecko, nie.

— I na Waleńcię, też?...

— Gdzieżbym śmiał gniewać się na pannę... Delarose.

— Więcej nie przyjdę...

I znowu zamaskowana twarz pochyliła się niepokojąco nisko nad dziewczyną.

Do zobaczenia — usta Liberatora dotknęły czoła Adelki.

Valentine udała, że nie widzi wysoce niewłaściwego pożegnania. Jak Adelka mogła dopuścić do takiego spoufalenia? Jak mogła zapomnieć o swojej pozycji?

Nie było czasu na dalsze, równie przykre rozmyślanie. Musiały jak najszybciej wydostać się z niebezpiecznego pawilonu. Valentine nasunęła na twarz kaptur i zebrała fałdy sukni. Gdy podniosła głowę, napotkała i mnę źrenice błyszczące z otworów maski.

— Dziękuję za zaszczyt...

— Przyszłam tu wyłącznie dla panny Tarnowickiej.

— Nie wątpię. Niemniej jednak zaszczycała pani moja kwatere.

— Powtarzam, że stało się to wbrew mej woli.

Zamaskowany skłonił się w milczeniu.

— Chodźmy, Waleńciu — Adelka przytuliła się do starszej przyjaciółki. — Tak mi smutno...

Valentine objęła szczupłe ramiona dziewczyny i spojrzała wyzywająco w otwory maski.

— Żegnaj pana — powiedziała chłodno.

Liberator bez słowa otworzył przed nimi drzwi i skinał na towarzysza.

Przed świtem siła wiatru dosięgła szczytu. Trudno było utrzymać się na nogach. Ziemię zaścielały gałęzie pędzone wichurą, a gdzieś z drzew zwisał bezsilnie nadłamany konar, ostatkiem sił czepiający się macierzystego pnia.

Przytulone do ramion milczącego towarzysza, dziewczęta z trudem stawiały opór huraganowi. Zamaskowany przewodnik, okryty czarnym płaszczem, w długich, sięgających prawie kolan butach, pewnie stapał w ciemności, obznajmiony widać dobrze z topografią parku.

Przez całą drogę nie zamieniono ani jednego słowa i Valentine nawet ciekawa była głosu tajemniczego opiekuna.

Nieznajomy doprowadził je pod tylne drzwi, po czym uklonił się ceremonialnie.

— Niech pan zaczeka — Adelka nie mogła tak łatwo rozstać się z ostatnią więzią łączącą ją z ukochanym. — Proszę mu powiedzieć...

— Przestań, Adelko, widzisz przecież, że pan ślubował milczenie.

Nieznajomy pokiwał z powagą głową, a w otworach maski zaśmiały się wesole oczy.

— Powtórzy mu pan, że ja... że... — upierała się dziewczynka.

Nowe bezgłośnie kiwnięcie głową.

Valentine wyjęła z kieszeni klucz i manipulowała przy zamku.

Adelka nie dała jeszcze za wygraną.

— Ciągłe będę o nim myśleć — wykrztusiła wreszcie przez łyżę.

Zamaskowany towarzysz chwycił rękę dziewczyny i złożył na niej pocałunek. Po chwili już go nie było.

Zdyszane wchodziły na schody, przystając za lada szelestem, oglądając się na wszystkie strony w obawie, że śledzą je niepowołane oczy. Odetchnęły dopiero w korytarzu pierwszego piętra, gdzie rozchodziły się ich drogi.

Adelka w niemym akcie skruchy rzuciła się przyjaciółce na szyję i tak się rozstały.

Valentine ukryła na dnie szafy zakurzone trzewiki oraz płaszcz mogący zdradzić tajemnicę nocnej eskapady i poczuła się bezpieczna i uspokojona, gdy zdmuchnąwszy świece, znalazła się za białymi firankami łóżka. Cóż to była za rozkosz po przebytych trudach i emocjach wyciągnąć się w ciepłej, wygodnej pościeli. Nagle stanęła jej przed oczami wysoka postać w czerni, w długich po kolana butach, wytworna mimo prostego stroju i niezwykle pańska w każdym ruchu. Właściwie jak mogła być tak niemądra i wziąć go za awanturnika, ubiegającego się o względy magnackiej córki? Przecież w jego sposobie bycia i w traktowaniu i Adelki nie było nic wulgarnego, wprost przeciwnie, szlachetna wyrozumiałość dojrzałego człowieka dla słabości dziecka. Tak ją nawet nazwał — dziecko — a powiedział to dziwnie miękko i serdecznie. Musiał więc być dobry. I dalej myślała, że oto ona wyleguje się w czystej pościeli, w ślicznym pokoiku, podczas gdy oni... ci dwaj spiskowcy... Gdzie śpią i kiedy? Może za dnia kryją się po lasach jak tropione zwierzęta, odpoczywając w chacie drwala lub w szałasie smolarza. I ciągle

narażają życie... I są bohaterami... A ona...
Gdzież był jej rozum i serce?

I pierwszy raz od przyjazdu do Tarnowic zasnęła wpatrzona w zamaskowaną twarz, zamiast jak zwykle zamknąć pod powiekami obraz nieszczęśliwego kaleki, któremu jej wyobraźnia każdego dnia przydawała nowych, duchowych powabów.

Spała tak mocno, że nie słyszała wejścia Anny, pokojowej księżnej. Gdy się zerwała, zegar na komódce wskazywał południe.

— Księżna pani przysłała dowiedzieć się, czy panienka nie chora — wyjaśniła Anna.

Drżącymi z pośpiechu rękami zapinała suknię, czesała włosy.

— Jaśnie panienki dziś też dobudzić się nie można. Księżna pani niespokojna.

— Zaraz idę do księżnej pani.

Szybkimi łykami piła wystygłą czekoladę, rozmyślając, co powie, jak wytłumaczy...

Księżna jak zwykle rankiem siedziała przy krosienkach, zajęta haftem. Wskazała przybyłej krzesło i spojrzała z troską w oczy nauczycielki.

— Nie wyspałaś się, kochanko, z winy Adelki. Wiem, mówiła mi.

A więc Adelka powiedziała...

— Adelka była u mnie, rozmawialiśmy...

— Dobra jesteś, kochanko, bardzo dobra. Trochę mnie niepokoi to dziecko, choć w jej wieku normalne takie uleganie nastrojom. Myślę, że rozmowa z tobą dobrze jej zrobiła.

— Mam nadzieję. W każdym razie rozstałyśmy się bardzo serdecznie. Wydaje mi się, że Adelka poszła do siebie uspokojona.

Najmocniej wierzyła w to, co mówi. Czujność babki raz zbudzona nie spocznie, koniec więc nareszcie nocnym wyprawom do pawilonu. Adelka wreszcie musiała zrozumieć... Liberator rzeczywiście nie wydawał się w niej zakochany. Ten jego uśmiech... choć ma dla niej bezwzględnie wiele czulej serdeczności. A więc myliła się. Nie zależy mu wcale na dziedzicze, bo gdyby chciał... Przecież nigdy nie byli sami, jest świadek tych spotkań. Mógłby doskonale szantażować pana Tarnowickiego, ale na to musiałby nie być Liberatorem, to znaczy bohaterem.

I znowu przed oczami staje elegancka sylwetka z zakrytą twarzą, a w uszach brzmi niski głos, który z odrobiną rozbawienia mówi: „Nigdy bym nie śmiał gniewać się na pannę... Delarose”.

Czy go jeszcze usłyszysz?

Adelka wpadła przed samym obiadem, objęła przyjaciółkę za szyję i ucałowała w oba policzki.

— Waleńciu, jesteś aniołem.

— Nie przesadzaj.

— Babunia obudziła się, gdy wróciłam, i weszła do mnie. Na szczęście zdążyłam wsunąć się do łóżka. Powiedziałam, że nie mogłam spać i poszłam z tobą porozmawiać. To przecież prawda. Więcej już nie pójdę...

— Nie, Adelko...

On mnie nie kocha, ale jest bardzo dobry... taki delikatny... Żaden ze znanych mi mężczyzn nie jest taki... chyba jeden pan Ostreyko trochę go przypomina. Ale to nie to, nie to...

— Pan Ostreyko jest bardzo miły. Podczas ostatniej wizyty doskonale ci akompaniował. A jaki ma ładny głos. Świetnie wam wychodzi ten włoski duet. — I Valentine zanuciła partię tenorową: „Guarda che bianca luna”, na co Adelka odpowiedziała sopranem: „Guarda che notte azzurra”.

Tak się tym rozochociły, że po obiedzie pobiegły do klawikordu. Przechodząc przez wielki salon, natknęły się na Dominika, wychodzącego z pokojów kaleki.

— Jak się czuje mój brat? — spytała Adelka. — Czy nie przeszkadzimy mu grając?

Dominik przybrał smutną minę i westchnął głośno.

— Dziękuję, panienko. Jaśnie panicz jak zwykle... Noc miał ciężką, oj, ciężką, ale potem spał w dzień do obiadu. Mogą sobie panienki pobzdąkać na klawikordzie, byle ładnie i wesoło.

— Stary potwór! — rzuciła za sługą Adelka, gdy znalazły się wśród atlasowych kotar małego salonu. — Jak Jan może znosić podobnego obłudnika? Widziałaś Jego minę? A westchnienie? „Mogą panienki pobzdąkać na klawikordzie...” Chodź, skorzystajmy z łaskawego pozwolenia, tylko nie mam dziś ochoty na nic wesołego.

Muzykowały aż do zmierzchu. A gdy lokaj wniósł zapalony świecznik, Adelka spojrzała przejmująco na przyjaciółkę i oświadczyła tragicznie:

— Chyba będę musiała skończyć z miłością. Widocznie nie dla mnie szczęście.

— Nie natrafiłaś dotąd na tego, który ci sądzony — zaopiniowała filozoficznie Valentine.

— Tak myślisz? Zresztą, gdyby Liberator poprosił papę o moją rękę...

— Wiesz dobrze, że tego nie robi.

— Z początku sądziłam, że jestem dla niego za mało uduchowiona, za mało poetyczna. Ale skoro ciągle się śmieje... Skąd mam w końcu wiedzieć, kto mi sądzony?

— A wróżby? Już zapomniałaś?

— Kiedy boję się sięść przed lustrem. Na pewno ujrzałabym różaniec lub trumnę. Brr... Wiesz, co opowiadała Cesia? Pewna dziewczyna poddała się tej próbie. Zobaczyła mężczyznę, który zbliżał się za jej plecami. Dopuszczała go blisko, bardzo blisko... Mężczyzna wyciągnął rękę... Wiesz, wówczas trzeba odstawić lustro, a widziadło zniknie, ale owa dziewczyna była odważna. Więc zjawa wyciągnęła rękę, by zacisnąć palce na jej szyi, i wówczas dziewczyna ujrzała bransoletkę dziwnego kształtu. Jakie to śmieszne, prawda? Mężczyzna z bransoletką. I co powiesz? Rok nie minął, jak zobaczyła identyczną bransoletkę na ręku pewnego lekarza. Spotkali się w podróży, na postoju. Właśnie przeprzęgano konie. No i została jego żoną, tak było sądzone. Ale ja nie mam odwagi wystawić się na taką próbę.

— Są przecież inne sposoby, mniej straszne.

— W noc wigilijną nigdy mi się nic nie śni, mimo że Babette stawia wodę w moim pokoju i wiesza ręcznik oraz zostawia kolację.

— W wigilię Nowego Roku wróżba doskonale się udała. Pamiętasz, jak rzucaliśmy trzewikami?

— Pamiętam, że omal nie wybiłaś szyby w sypialni Jana i że Dominik wyskoczył jak oparzony i skrzyczał Cezarego.

— Bardzo niezręcznie rzuciłam mój najlepszy atlasowy trzewiczek. Ale to twoja wina, kazałaś mi go rzucić za siebie, przez lewe ramię i tak się jakoś źle ustawiłam. Zresztą to nieważne, nic się przecież nie stało, co najwyżej utraciłam jedyną w roku okazję dowiedzenia się o mym losie. Za to ty... Nosek twego trzewika dokładnie wskazywał stronę, z której przybędzie ten przeznaczony. A to wcale nie był pawilon.

— Wiem. Obawiam się, że czeka mnie staropanieństwo. Czemuż odprawiłam wszystkich konkurentów?

— Bo żadnego z nich nie kochałaś. Bądźże rozsądna, Adelko. Gdy się zakochasz...

— Ale ja się już zakochałam i cóż z tego?

— Widocznie niewłaściwie ulokowałaś swe uczucia. To wszystko.

— To skąd będę wiedziała, że zakochałam się właściwie?

— Och, to się z pewnością wie.

— Widzę, Waleńciu, że wcale nie jesteś taka mądra, za jaką chcesz uchodzić.

— Nie jestem — przyznała pokornie Valentine.

Wieczorem przyszła Babette z nieodłącznym kotem Marcinem.

— Księżna pani martwi się jaśnie panienką — zaczęła wzdychając. — Czas już jej za mąż, oj czas.

— Taka jeszcze młoda...

— Ale czuje wolę bożą. U jednych to przychodzi później, u innych wcześniej.

— Może.

— Dużo ja młodych widziałam, oj dużo. Wszystkie rwały się do zamężcia, nawet jeśli po ślubie czekały je tylko łzy. Bo i takie znałam... Jak panna posażna, to opędzić się trudno od kawalerów, lecą jak pszczoły do miodu. Byłe hołysz, ale z tytułem, nad uczciwym konkurentem ma przewagę i rękę panny dostanie, a tamtego czarną polewką poczęstują, bo choć porządne, ale skromne nazwisko nosi. Taki już ten świat głupi. — Babette trzęsła głową w nowym czepeczku, aż kot Marcin otworzył zielone oko i spojrzał karcąco na swoją panią.

— Głupi i niedobry — poparła z goryczą Valentine. Babette przyjrzała się jej z uwagą.

— Błada dziś panienka, błada. Ale proszę się nie martwić i dla panienki los coś dobrego szykuje. A naszemu ekonomowi to się panienka bardzo podoba...

— Ekonomowi?

— Tak, panu Starzeckiemu. Dobry człowiek, stateczny, wdowiec, wiek odpowiedni. Ja już nieraz myślałam...

— Pan Starzecki bardzo miły, ale ja nie mam zamiaru...

— A co panienka do śmierci cudze dzieci będzie uczyć?

— Nie mam posagu.

— Pan Starzecki i bez posagu... Urzekła go panienka czy co, bardzo panienkę chwali. Ot, byłaby panienka u siebie, sama sobie panią.

— Czy to Babette tak obmyśliła, czy...

— Pan Starzecki mnie prosił. „Niech Babette będzie taka dobra, mówi, i delikatnie napomknie... Zawsze rodaczka, lepiej Babette wyrozumie...” Więc pomyślałam...

— Dziękuję, Babette, bardzo dziękuję. I proszę powiedzieć panu Starzeckiemu, że cenię jego dobre serce, ale ja nie wyjdę za mąż.

— Jak panienka chce...

Babette wyszła, jak gdyby trochę urażona niepowodzeniem swej misji i uporem Valentine, czym przypomniała jej dawną sąsiadkę, Madame Gavin, równie gorliwie zabiegającą o jej tak zwane „szczęście”. I raptem ogarnęła ją przemożna tęsknota za Paryżem, za Sekwaną, na której szare wody wychodziły niegdyś okna mieszkania jej rodziców... I znowu powrócił lęk przed nieznanym jutrem, ukazując z całym okrucieństwem niepewność losu i zależność słabego i biedaka od możliwych, bo posiadających ziemie czy kapitały. Cóż znaczyła wobec tych utytułowanych jaśnie

wspaniałości? Doprawdy mniej niż nic. A kim też był Liberator? I po której stronie w tak podzielonym świecie stał zamaskowany wybawca?

* *
*

No, nareszcie ich ze sobą zetknęłam. Mam nadzieję, że dalej wszystko potoczy się gładko. Całą noc tłukły mi się po głowie niesamowite jakieś historie, a wśród majaków co jakiś czas przewijała się zamaskowana twarz...

Widzę ze zdumieniem, że twory mojej wyobraźni za dużo sobie pozwalają, zbyt bezceremonialnie wdzierają się w moje życie. Zmieni się to, gdy wyzdrowieję, wrócę do normalnych warunków, zajęć. Nie będzie czasu na mrzonki. Tymczasem jednak...

W takim nastroju uzupełniam tarnowickie szkice, oczekując Cyryla.

Dziś sobota, Stefan wraca wcześniej, już po drugiej jest w domu. Jemy razem obiad. Romek w doskonałym humorze, bo ojciec obiecał mu kino. W pobliskich Płudach grają właśnie disneyowskie „200 mil do domu”.

Julian przyjeżdża, gdy kończymy budyń. Je w milczeniu, nie patrząc na nikogo z nas.

— Przyniesiesz węgla — komenderuje ojciec — i pomożesz mi przy studni. Za słabo pompuje, trzeba zobaczyć...

— Umówiłem się z kolegami do Centonu.

— Chodzisz wszędzie, tylko nie ma cię, gdy jesteś potrzebny w domu.

— ...

— Od pewnego czasu prawie cię nie widuję.

Burknięcie.

— Pamiętaj, że na pierwszym miejscu studia, a potem dziewczyny.

— ...

— A w ogóle to twoje maniery pozostawiają wiele do życzenia.

Ponowne burknięcie.

— Przestań gderać — wtrąca Gienia. — Niech już pojedzie do tego Centonu. Jeśli się umówił...

Po obiedzie zapadam w drzemkę. Wejście Gieni wyrywa mnie z błogiego rozmarzenia.

— Wreszcie trochę spokoju — mówi siadając. — Stefan z Romkiem w kinie, a Julian pojechał do Warszawy. Nie znoszę gderania, a ze Stefana na starość zrobi się klasyczny zrzęda. Julian jest już prawie dorosły.

— Jaki tam dorosły — wzruszam ramionami. — Smarkacz, materialnie całkowicie zależny od ojca. A w domu rzeczywiście nic nie chce pomóc. I ma bardzo niemiłe usposobienie.

— Tak — wzdycha Gienia. — To po matce. Słyszałam, że Stefan miał z nią krzyż pański. Ale nie mówmy już o tym. Mogę zobaczyć? — Gienia dotyka plastikowej teczki.

— Proszę cię bardzo.

Pod palcami Gieni migają tak dobrze mi znane miejsca i postacie.

— Zawsze mówiłam, że z ciebie świetna portrecistka — pokazuje mi szkic hrabiny Drwęckiej. — Aniela Remizanka w całej

okazałości. Jej uśmiech... A jaka stylowa w tej sukni! To do filmu Cyryla?

W odpowiedzi wyręcza mnie dobiegający z dworu głos klaksonu.

— Cyryl! — woła Gienia i wybiega na spotkanie gościa.

— Wiesz co? — Cyryl obejrzał się na drzwi, za którymi zniknęła Gienia. — Mam dowody, że w twoim mieszkaniu znowu bywają nieproszeni goście.

— Złodzieje? — przestraszyłam się nie na żarty.

— Tak źle pewnie nie jest. Nazwijmy ich raczej „bezdomnymi kochankami”.

— Ale Julian...

— Julian może nic o tym nie wiedzieć. Dziewczynie jednak spodobało się u ciebie.

— Przecież Julian oddał klucze.

— Kluczy jest wiele, nie wszystkie jednak otwierają właściwe drzwi.

— Mówisz zagadkami. Nie rozumiem. To są moje klucze.

Cyryl długo je ogląda, porównując z tymi, które miał u siebie.

— To nie są klucze od twojego mieszkania — wyrokuje wreszcie. — Podobne, ale nie te.

— Czy mój dom dostał się we władzę upiórów? — krzyczę. — Czy tylko ty zwariowałaś?

— Cicho, bo ktoś usłyszy. Zanim zrobimy z tego rodzinną awanturę, muszę się dowiedzieć, czy Julian maczał w tym palce. Był tam raz z dziewczyną, no i oddał ci klucze, ale dziewczyna może usłała sobie gniazdko w twojej kawalerce i przyjmuje tam innego amanta. W takim razie Julian nic nie wie. Trzeba to koniecznie wyjaśnić. Poproś

go, by ci coś przywiózł z twego domu, jakiś drobiazg, książkę, i daj mu klucze, które ci zwrócił. Ciekaw jestem, czy mam rację i czy moja teoria o kluczach jest słuszna.

Potem była kolacja. Cyryl pożegnał się o dziesiątej.

Zostałam pełna niepokoju o moje mieszkanie.

Wieczór piętnasty

Niestety, nie wybrałam się do Tarnowic, nie mogłam. Zbyt mnie absorbują myśli o Cyrylu i o tym, co się dzieje na Świętokrzyskiej...

Właściwie może to i dobrze? Cyryl zajęty, bawi się w detektywa i nie ma czasu na Anielę...

* *
 *

Dziś rano Gienia ze Stefanem przetransportowali innie na fotel. Tak zalecił doktor Gorlicki. Ares szalał z radości, myślał, że wreszcie wybierzemy się razem na spacer!

Cyryl zastaje mnie z tarnowicką teczką na kolanach. Związuję szybko tasiemki i czekam, co powie.

Niestety, nie dane nam było porozmawiać tego dnia na interesujący nas temat. Ciągłe ktoś wchodził: to Gienia, to Stefan, nawet Romek wpadł z jakimś idiotycznym pytaniem do Cyryla.

Przy obiedzie toczy się ogólna rozmowa o filmie, Romek słucha z wypiekami na twarzy, jak Cyryl opowiada o scenie batalistycznej, którą właśnie kręceno.

Korzystam z chwili przerwy, by zagadnąć Juliana.

— Słuchaj — mówię — jedziesz dziś do Warszawy?

— Jadę. — Spojrzenie z ukosa w stronę ojca.

— Chcę cię prosić, byś mi przywiózł jedną rzecz z mego mieszkania. Zaraz dam ci klucze. Ale... może nie będziesz miał czasu?

— Jak to nie będzie miał? — oburza się Stefan. — Przecież mieszkasz w śródmieściu i dla niego to żadna fatyga. I tak lata, nie wiadomo gdzie...

Julian wyraźnie jest na mnie wściekły.

— Co mam przywieźć? — pyta mrukiwie i chowa do kieszeni klucze.

— Na mojej toaletce jest taki mały słoiczek kremu Na pokrywce napis „doktor Payot”, kolor liliowy. Łatwo znajdziesz. Bardzo mi potrzebny, dziś jeszcze. Prosiłabym Cyryla, ale on mógłby dopiero jutro.

— Przywiozę — przerywa Julian. — Tylko... jeśli wrócę późno?

— Masz doskonałą okazję, by wrócić wcześniej — stwierdza nielitościwie ojciec.

Odegranie tej małej komedyjki dziwnie mnie odprężyło. Czuję się spokojniejsza i na nowo pełna optymizmu. I już z góry cieszę się na wizytę w Tarnowicach. Co tam teraz będzie? Co będzie?...

Wieczór szesnasty

Wkrótce potem gruchnęła wieść po okolicy, że wrócili Drwęccy. Szczegółów dowiedziała się Valentine od Cezarego.

— Wróciła tylko hrabina — wyjaśnił chłopiec. — On nie może pokazać się ludziom na oczy. Spoliczkowano go, jest zdrajcą, Antoni mówi, że na pruskim i carskim żołdzie, order pewnie dostał na pociechę, a ona frejliną zostanie.

Valentine poczuła niepokój i wyrzuty sumienia. Mniej ostatnio myślała o biednym kalece. Co z nim teraz będzie? Czy znowu zacznie go napastować piękna Beatrycze?

— Hrabina jest równie skompromitowana — powiedziała, starając się mówić obojętnie. — Nie rozumiem, jak mogła wrócić po tym, co zaszło.

— Jest bezczelna — stwierdził zimno Cezary. — Antoni mówi, że jeśli ośmieli się pokazać w Tarnowicach, służba ją przepędzi i sprawi takie lanie... a Kostek, ten od pana Nowiaka, to się chwalił, że choć baba i hrabina, ale sierze ją po pysku.

— Kostek gada głupstwa. Jestem pewna, że hrabina Drwęcka nigdzie nie będzie bywać.

— Pani jej nie zna.

— A ty znasz ją tak dobrze?

— O, ja... dużo o niej słyszałem — odparł ostrożnie. — Gdy przyjeżdżała do Tarnowic, zawsze głaskała mnie po głowie, zupełnie, jak gdybym był pudlem. Nie znoszę tego!

Antoni wie o niej dużo, to bardzo mądry człowiek — zakończył z przekonaniem.

Okazało się, że Cezary rzeczywiście dobrze znał hrabinę. Nie minął bowiem tydzień od jej powrotu, gdy powóz z herbami Drwęckich i hrabiowską koroną na drzwiczkach podjechał pod tarnowicki ganek.

Gościa przyjął Antoni z lodowatą wyniosłością.

— Księżna pani nie przyjmuje — oznajmił nie tając zadowolenia. — A jaśnie pana nie ma w domu.

Hrabina, jak gdyby nie słyszała odprawy, stawiała już nogę obutą w atlasowy trzewik na stopniu powozu, Stamtąd był tylko jeden krok na ganek i do sieni.

— Ja do panicza. Muszę — powiedziała tak stanowczo, że Antoni, od lat nawykły do posłuszeństwa państwu, „zapomniał języka w gębie”, jak sam później określił w kuchni swój stan.

Valentine z Adelką siedziały na tarasie, zajęte szyciem. Po południe było ciepło i słoneczne, a w parku pachniały bzy.

Hrabina, nie zatrzymywana, szła szybko przez duży salon, którego otwarte na taras okna ukazywały obciążone pokrowcami meble i osłonięte gazą świeczniki. Przed drzwiami do apartamentów byłego narzeczonego czekał Dominik, dziwnie uroczysty, a głos drżał mu lekko, gdy mówił:

— Jaśnie panicz prosi panią hrabinę.

Valentine tak mocno ukuła się igłą w palec, że kropla krwi spadła na niepokalaną biel batystu, a Adelka podniosła głowę i

utkwiała w oknach salonu przerażone spojrzenie. Siedziały nieporuszone jak dwa posagi, zamienione w słuch, choć zza osłoniętych jak zwykle okien nie dochodził najmniejszy dźwięk.

Trwało to może z godzinę.

— O czym oni tam mówią? O czym? — szeptała chwilami Adelka, zaciskając palce na zwojach cienkiej materii.

Tak, o czym? — zastanawiała się Valentine, widząc w wyobraźni mroczną głąb pokoju i dwie osoby, nie wiedziała tylko: przeciwników czy pojednanych kochanków? Nigdy się nie dowie, nigdy, co działo się i szczelnie zamkniętymi drzwiami pokoiów chorego. Dominik też chyba nie wie. Taka rozmowa z pewnością odbyła się bez świadków.

Hrabina wyszła z chusteczką przy twarzy, odprowadzana przez milczącego sługę do powozu. Trzasnęły zamykane drzwiczki i żwir podjazdu zaskrzypiał pod kołami. Potem wszystko jak gdyby wróciło do normalnego stanu. Na tarasie jednak nie zapanował spokój.

— Czego od niego chciała? — wybuchnęła Adelka.

— Wydawała się wzruszona...

— Ona? To skała. Nic jej nie poruszy.

— Ciekawam, czy brat twój wie o zachowaniu hrabiego, o pojedynku.

— Pewnie mu Dominik donosi.

— Nie wiadomo tylko, czy go interesują okoliczne plotki. Może nie chce o niczym słyszeć...

— Może. Tak się odseparował od ludzi. Pewnie go to wszystko nic a nic nie obchodzi. O, Waleńciu, jakie to straszne!

— Tak, straszne — przyznała Valentine.

Twarz okryta maską odeszła gdzieś daleko, ustępując znowu miejsca skurczonej w fotelu postaci kaleki. Ten powrót „jaśnie panicza” w wieczorne rozmyślenia nauczycielki był doprawdy triumfalny i Valentine zastanawiała się poważnie, jak mogła interesować się wyłącznie kimś tak mało realnym jak Liberator.

W ciągu następnych dni dowiedziała się od Babette nowych szczegółów dotyczących hrabiny.

— Ludzie ze wsi wyprzęgli jej konie z karety — opowiadała stara Francuzka. — Krzyczeli, że nie chcą służyć zdrajcom. Ale to zręczna komediantka. Jak zaczęła płakać, a zaklinać, że ona niewinna, że to mąż... Oto opuściła go, bo żyć nie może bez ojczystej ziemi, chce tu, ze swoimi... Zmija sprytna, otumanić innych to dla niej fraszka! A głupców nie brak. No i uwierzyli. Nie wszyscy, wielu ze służby wilkiem na nią patrzy, ale chleb jeść trzeba, a dokąd pójdą, nieboraki?

Babette miała też swoje zdanie co do wizyty w Tarnowicach.

— Znowu próbuje na nim siły swych wdzięków — w głosie jej brzmiała gorycz. — I kto wie, czy nie zwycięży? Mężczyźni słabi jak dzieci wobec takiej kokietki.

— Więc Babette się obawia?...

— Obawiam się, panienko, wszystkiego się obawiam, jeśli idzie o mego Janeczka najdroższego.

— Przecież zapewnił Babette, że już nigdy... że to skończone...

Babette trzęsła głową, wydymając usta.

— Wiele ja widziałam, panienko. Jak taka weźmie kogo w swoje szpony, łatwo nie popuści. A jaśnie panicz już nie ten, co dawniej. Schorowany on, biedaczek, złamany, zniszczony. Mogła mu naobiecować złote góry, a mężczyźni, panienko, to jak psy...

Valentine aż wzdrygnęła się na to porównanie.

— Co też Babette...

— Życia panienka nie zna i ludzi. Tego się z książek nie nauczy, trzeba samemu spróbować. A gorzka to lekcja, oj gorzka, czasem ma smak piołunu...

Największą jednak rewelacją było odkrycie Adelki.

Dziewczynka wpadła któregoś ranka do pokoju Valentine, nie w porze nauki, z roztrzepanymi warkoczami, które uderzały ją po plecach jak bicz.

— Wiem coś — wołała od progu. — Coś niesłychanego!

— Jak ty wyglądasz? Włosy rozrzucone... Gdzie byłaś?

— W pralni. Biegłam całą drogę, żeby ci prędzej powiedzieć.

— No, mów — Valentine zajęła się doprowadzeniem do porządku fryzury uczennicy.

— Dorota z pralni, wiesz, taka stara, co to jeszcze była przy mojej mamie... Znasz ją, prawda?

— Znam. I co z tego?

— Dorota nosiła list Jana do hrabiny.

— List?

— Tak. Dostała od Dominika. Dorota ma córkę zamężną we wsi, blisko domu Drwęckich. I Dominik wtedy przyszedł i dał jej list i przykazał oddać samej hrabinie.

— I co Dorota?

— Oddała do rąk własnych. Mówi, że jak hrabina przeczytała, to zrobiła się czerwona jak piwonia, a potem biała jak lilia. To słowa Doroty. I dała jej sztukę złota, taka była rada. Po co Jan ją wezwał, jak myślisz?

— Nie wiadomo, czy ją wezwał.

— Ale Dominik wpuścił ją od razu, jak gdyby na nią czekał. Pierwszy raz, odkąd zwróciła pierścionek.

— Czy... twój brat otrzymuje jakie listy? Prowadzi korespondencję?

— Żadnych listów i żadnej korespondencji. Zerwał ze wszystkimi.

— Myślałam, że... to, co zanosila hrabinie Dorota, to odpowiedź na jej list.

— Wykluczone. Od kilku lat Jan nie przyjmuje poczty, a tym bardziej od Beatrycze...

Był to, widać, tydzień, w którym jedna sensacja goniła drugą, a wstrząsające nowiny spadały na głowy mieszkańców Tarnowie jak deszcz. Następnego ranka Cezary przyniósł takie wieści, że zbladły przy nich nawet sprawy Jana Tarnowickiego i Beatrycze.

Chłopiec stanął przy stoliku, położył książki i tak zaczął:

— Boję się o Liberatora.

— Co mu grozi? — przestraszyła się Valentine.

— Jemu, zawsze coś grozi, ale teraz bardziej niż kiedykolwiek.

— Dlaczego?

— Wróciła hrabina Drwęcka.

— Więc cóż z tego?

— Wie pani, po co ona wróciła?

— ...?

— Żeby wydać Liberatora Prusakom.

— Hrabinę zajmują teraz inne rzeczy.

— Mydlenie oczu. Antoni dobrze ją przejrzał.

— Ale skąd Antoni?...

— Wszyscy po wsiach gadają. A jak gadają, to musi w tym coś być. Nie ma dymu bez ognia, tak mówi Antoni. Ale ja do tego nie dopuszczę. Prędzej uduszę tę babę. Albo tyle żab wpuszczę jej do łóżka, że sama umrze ze strachu. Mam i inne sposoby...

Valentine spojrzała trwoźliwie na wypchane kieszenie chłopca.

— Chyba... żab nie nosisz przy sobie? — spytała niepewnie.

— Nie. Ale znam takie miejsce...

— Dobrze, dobrze. A więc Liberator...

— Poprzedniej nocy Liberator dokonał wspaniałego czynu.

— Czy znowu napadł na pocztę?

Cezary popatrzył zgorszony.

— Widzę, że pani się nic a nic nie orientuje. Na pocztę, to on napadł tylko raz, wtedy gdy szły do Berlina ważne papiery, które przechwycił. Ale nie tknął pieniędzy. Nie to jednak jego główna działalność. On

pomaga tym wszystkim, co brali udział w powstaniu w Królestwie. My blisko granicy. Prusacy wyłapują polskich żołnierzy i oddają ich kozakom. Liberator zna takie przejścia, że i sam diabeł nie ustrzeże. I gdy już ci biedacy są po naszej stronie, stopniowo przerzuca ich do Francji. Nie wiem, jak to robi, ale zawsze mu się udaje. I w Berlinie, i w Petersburgu naznaczono nagrodę za jego ujęcie, ale nikt go nie dostanie, nikt — zakończył stanowczo.

Valentine westchnęła. Zamaskowana twarz na nowo usunęła w cień wymaginowany obraz kaleki.

— No, powiedz wreszcie, czego ostatnio dokonał Liberator? — spytała nie mogąc dłużej pohamować ciekawości.

— Odbił Prusakom gromadkę jeńców, których na granicy przekazywano carskim żandarmom. Podobno Niemcy potracili głowy, tak ich zaskoczył. Ach! że mnie tam nie było! Wyobraża sobie pani taką bitwę? Co za uciecha!

Owszem, Valentine doskonale potrafiła wyobrazić sobie wysoką, czarną postać w akcji: władczy głos wydający rozkazy, błysk oczu w otworach maski, gest nakazujący posłuszeństwo.

— Jest coś jeszcze, tylko nie wiem... Potrafi pani dochować sekretu? — Cezary zawiesił głos i utkwiał w Valentine pytające spojrzenie.

— To zależy, czy masz do mnie zaufanie. Dotąd wydawało mi się, że tak, opowiadałeś mi różne rzeczy...

— Opowiadałem, opowiadałem — przerwał. — Musiałem panią oświecić, przecież pani nietutejsza. Ale to, co teraz powiem, przyrzeka pani, że nikomu, a broń Boże Adelce?...

— Przyrzekam. — Valentine musiała wiedzieć, poznać wszystkie czyny przypisywane bohaterowi.

— Uratował hrabinę! — Cezary powiedział to bardzo cicho i obejrzał się na drzwi.

— ...?

Było to zaraz po jej powrocie. Wraciała nocą z wizyty u sąsiadów, wie pani, ci Kozerscy, nuworysze, okropnie im imponuje przyjaźń z Drwęckimi. Antoni mówi, że to nie żadni państwo, tylko zwykli handlarze, którzy dorobili się majątku. Hrabina jechała małym powozikiem z jednym tylko służącym. Pod lasem nu padła na nią gromada chłopów z cepami, wywlekli ją na drogę i zaczęli grozić. Żądali, by opuściła te strony i nazywali ją Judaszem i szpiegiem. Wtedy nadjechał Liberator ze swymi ludźmi. Jak go chłopci zobaczyli, pozdejmowali czapki i chcieli za nogi ścisnąć, po rękach całować. A on im rozkazał puścić hrabinę i nigdy więcej jej nie napastować, a także nikomu nie rozpowiadać o tym, co się zdarzyło. Hrabina naturalnie milczy, chłopci też.

— Więc skąd wiesz?

— O, ja wiem dużo. Muszę wszystko wiedzieć o Liberatorze. Najgorsze, że hrabina go widziała. Teraz nie spocznie, póki nie wyśledzi... Nie wiem tylko, jak go

ratować? Może należałoby go ostrzec? Tylko jak? Mnie trudno, pan Bukowski pilnuje.

Cezary był szczerze zatroskany i pełen niepokoju, a Valentine zobaczyła w myśli tych dwoje, Liberatora i Beatrycze, razem...

Pogoda tymczasem była coraz piękniejsza. Lato kazało zapomnieć o niedalekiej granicy, żołnierzach uciekinierach i nocnych akcjach Liberatora i jego ludzi. Pewnego dnia Valentine i Adelka zapuściły się w tę część parku, która na zawsze pozostała im w pamięci.

Biały pawilon stał cichy, wyglądając zupełnie niewinnie w blasku słońca, co połyskiwało na mosiężnej gałce klamki i odbijało się od polerowanych drzwi.

— Aż mi się wierzyć nie chce, że to tu... — zaczęła Adelka szeptem. — Pamiętasz?

Satyr jak zwykle trzymał flet przy włochatym pysku, a jego kosmate nogi tonęły wprost w liliowej masie floksów.

Obeszły pawilon i znowu znalazły się przy satyrze.

— Dużo bym dała, żeby jeszcze raz, tak w nocy... — westchnęła Adelka.

— Wiesz, że to niemożliwe — ucięła Valentine. — Nie należy mącić spokoju tego miejsca ani burzyć legendy o nawiedzających je duchach. Można by jeszcze sprowadzić nieszczęście.

Adelka myszkowała w zielonej gęstwinie okalającej posąg,

— Tu się wtedy kryłam pierwszy raz, z Cezarym — oparła lewą rękę o kamienny

cokół, a jej różowa twarzączka pięknie odbijała od szarego cielska potwora. — Co to? — zawołała nagle i pochyliwszy się zaczęła czegoś szukać na chropowatej powierzchni głazu. Valentine rozsunała gałęzie i podeszła do uczennicy.

— Widzisz? — Adelka wyciągała ostro zakończony kamyk, zakrywający niewielki otwór w postumencie posagu.

— Jakiś papier... — zauważyła Valentine.

— Tak, papier, wystawał z tej szpary — Adelka delikatnie wydobyła z wydrążenia w cokole białą kartkę. — Patrz, tu coś napisane.

Valentine wygładziła zmięty, widać długo przebywający w skrytce bilecik i odczytała jedno tylko słowo, skreślone fioletowym atramentem: *Wiem*.

— Wiem — powtórzyła Adelka zdumiona. — Co to znaczy?

— To pewnie któryś z ludzi Liberatora — Valentine obejrzała się trwożliwie — zostawił tę kartkę. Może to ważna wiadomość? Połóż ją tam, gdzie była.

— Ona tu już długo leży — Adelka niechętnie rozstawała się z intrygującą kartką. — Nikt jej nie zabrał...

— Nie wiadomo. Może powinna tu leżeć dla innych spiskowców, żeby każdy z nich mógł przeczytać...

— Dobrze, dobrze — mruzczała Adelka umieszczając kartkę w skrytce i na powrót zamykając otwór kamykiem.

Wracały milcząc, odeszła je jakoś zwykła ochota do rozmowy. Pograżone w myślach,

wywoływały w pamięci obraz tej samej postaci.

Czy to on położył tę kartkę z wiadomością dla swoich podwładnych? Co im chciał zakomunikować?

O czym wiedział? Trudno było zasnąć, gdy takie myśli kłębiły się po głowie, a z parku szły najcudowniejsza zapachy, do tego ten księżyc...

Co teraz robi biedny kaleka? Czy śpi? Może Dominik usadowił go na tarasie, by pooddychał czystym powietrzem, którego jest pozbawiony przez dzień cały? A ten drugi? Liberator... Jego noce wypełnia ryzykowna gra. Gdzie on teraz? Czy tam, na granicy, przeprowadzą w bezpieczne miejsce ściganych patriotów, czy też w ciszy białego pawilonu wydaje rozkazy i obmyśla nową, wspaniałą akcję, by pokrzyżować niecne knowania wrogów?

Porwał za sobą wszystkich: wykwintnych paniczów i lud wiejski. Skąd Antoni czerpał wiadomości przekazywane Cezaremu? Pewnie niejeden tarnowicki parobczak czy dworski sługa nocą zrzucił siermięgę czy liberyjną kurtkę i okryty czarnym płaszczem, ukazywał zamaskowaną twarz. To była armia Liberatora i bohater mógł zawsze na nią liczyć. Tam nie znalazłbyś zdrajców. Ale los zetknął go z piękną Beatrycze... — Valentine poczuła nagle chłód i nerwowe drżenie — Jednego już zmarnowała, zniszczyła jego ciało i duszę, czy i ten drugi padnie ofiarą? Co będzie, jeśli hrabina zechce poznać tajemnicę

Wyzwolicieła? Czyż nie okaże mu wówczas specjalnego zainteresowania, nie użyje całej uwodzicielskiej sztuki, by jak Dalila oddać pokonanego Samsona w ręce prześladowców? Jakież męczyzna oprze się?...

Cezary ma rację, należy go ratować, ostrzec, póki I czas, przed niebezpieczną kokietką. Przecież o hrabinie krążą najgorsze plotki, ludzie posądzają ją o współpracę z Prusakami, o zdradę. On może o tym nie wie. Pewnie nie słyszał. Nie zajmuje się przecież takimi sprawami. Może w ogóle nie wiedział o istnieniu hrabiny? Ratował ją tak po rycersku przed chłopami. Koniecznie trzeba go uprzedzić, to ludzki obowiązek. Ale kto to zrobi? Ani Adelka, ani Cezary... Oprócz nich ona jedna zna tajemnicę parkowego pawilonu. Tak, musi tam pójść którejs nocy, jak najprędzej. Oby tylko nie było już za późno.

* *
*

Tak dobrze spałam, że nie słyszałam, kiedy wrócił Julian. A może wcale nie nocował w domu? O dwunastej jeszcze go nie było.

— Czy Julian już wyjechał? — pytam Gieni przy śniadaniu.

— Nie, obawiam się, że jest chory. Pewnie się przeziębził, bardzo źle wygląda.

— Nie wiesz, przywiózł mi ten krem?

— Chyba przywiózł, zaraz zapytam.

— Nie trzeba, jeśli jest w domu, sam do mnie przyjdzie.

Ale Julian nie przychodził. Zaczęło mnie to wszystko okropnie denerwować. Chciałam już raz wiedzieć, jak to właściwie jest z tymi kluczami.

Gdy Romek wrócił ze szkoły i przyszedł po Aresa, żeby wyprowadzić psa na spacer, poleciłam mu zawołać Juliana.

Stawił się natychmiast. Wyglądał rzeczywiście bardzo źle.

— Widocznie zamek się zepsuł, bo nie mogłem otworzyć — położył na kołdrze klucze i pierwszy raz spojrzął mi w oczy.

Było to spojrzenie małego chłopca, który prosi o ratunek, o pomoc, o litość...

— Julianie — zaczęłam gwałtownie, ale on już uciekł od moich źrenic i ukazał zwykłą, nachmurzona twarz.

— Może ci kupić jaki krem — powiedział jak zawsze mrukliwie. — Jak chcesz...

— Dziękuję — przerwałam — zależy mi na moim kremie, tym, co stoi na toaletce, innego nie potrzebuje. Późno wczoraj wróciłeś?

— Późno — mruknął niechętnie.

I to było wszystko, czego udało mi się dowiedzieć, niemniej jednak wystarczająco, by upewnić się, że Julian nie brał udziału w „okupacji” mego mieszkania i nie był dopuszczony do sekretu.

Z ulgą zakomunikowałam to Cyryłowi, który obiecał dziś jeszcze wypłoszyć ptaszka i odebrać mu klucze.

Julian cały dzień spędził w domu. Na obiad nie przyszedł, wymówił się bólem głowy. W kuchni — jak mi opowiadała Gienia —

gosposia nałożyła mu ni talerz kotlet z marchewką, zupy nie chciał. Położył się wcześniej. Gienia zanosła mu kolację i zmierzyła temperaturę.

— Trzydzieści dziewięć i jeden — oznajmiła wchodząc z termometrem w rękę.

— Okropnie się przeziębiał. Zaraz rano poproszę doktora Gorlickiego.

— Ten smarkacz doigra się zapalenia płuc — Stefan starał się nie okazywać niepokoju, ale widziałam, jak był zdenerwowany.

Przy kolacji apetytem imponował jedynie Romek, dla którego choroba brata była urozmaicheniem monotonnej codzienności.

Co do mnie nawet rada byłam takiemu obrotowi sprawy. Naturalnie gorączka to nie żarty, ostatecznie jednak nie umiera się dziś z przeziębienia. Żal mi było chłopca, wiedziałam przecież, co przeżywa. Spotkała go nauczka, którą popamięta na całe życie. O resztę byłam spokojna, Cyryl wszystko najlepiej załatwi. Na razie więc mogłam wyruszyć do Tarnowic i rozwinać nareszcie miłosny wątek mego filmu.

Wieczór siedemnasty

Wahała się przez kilka dni, zwalczając nieśmiałość i sama przed sobą usprawiedliwiając niewłaściwość takiego kroku. Do ostatecznej decyzji skłoniły ją słowa Babette, które stara pokojowa wypowiedziała pewnego wieczoru, siedząc na niskim foteliku, z kotem Marcinem na kolanach:

— Hrabina coś knuje, znowu koło niej kręci się adiutant generała Gulbina. To się może źle skończyć!

— Co Babette ma na myśli? — spytała Valentine, którą zaalarmował ton i mina staruszki.

— Nic dobrego, panienko. Wszyscy wiedzą, że ona z Prusakami trzyma. Po takiej wszystkiego można się spodziewać... Niech nas Bóg strzeże — zakończyła pobożnie.

Valentine siedziała jak na szpilkach. Tak, nie może dłużej zwlekać, nie wolno, gdyby coś się stało, nigdy by sobie nie wybaczyła. Musi pójść dziś, tej nocy, zaraz...

Jedenastej była już gotowa. Ten sam ciemny płaszcz z kapturem, okrywający szczelnie całą postać, co wówczas... Pełnia co prawda minęła, ale było dostatecznie jasno, trafi bez trudu do pawilonu. O pół do dwunastej ostrożnie uchyliła drzwi. Dom spał. Z balkonowego okna na końcu korytarza kładła się jaśniejsza smuga na deski podłogi. Powoli posuwała się ku schodom, potem w

dół, do korytarzyka na tyłach domu. Na gwoździu dwa klucze, a więc nikt nie wychodził, może nie obawiać się spotkania z kimś z domowych.

Na dworze cicho. Trudno powiedzieć, żeby taki spacer w ciemności był przyjemny, tym bardziej gdy całą drogę ma się świadomość, że ktoś idzie parkiem w tym samym co ona kierunku. Może to złudzenie, a może rzeczywiście jest śledzona? Muszą być przecież jakieś straże wokół kwatery Liberatora.

Między drzewami bieleją ściany pawilonu. Valentine śmiało podchodzi pod milczące drzwi. Wydaje się, że za polerowaną płytą drewna nigdy nie było żywej duszy. Nikt nie odpowiada na pukanie. Valentine rozgląda się zrozpaczona, że krok, na jaki się zdobyła, może okazać się bezużyteczny. Ale nie. Zza posągu satyra wychodzi ciemna postać. Valentine szczelniej otula się płaszczem i czeka, zwrócona twarzą do zbliżającego się mężczyzny.

To nie on, nie Liberator, z otworów maski patrzają inne oczy.

— Czy tam nie ma nikogo? — szepta Valentine rozlega się w ciszy przerażająco głośno.

Zamaskowany kręci przecząco głową.

— Chciałabym wejść — straszno mówić, by słowu nie wpadły w niepowołane uszy.

Mężczyzna wyciąga rękę z kluczem. W uchylonych drzwiach czarna szpara mroku.

Valentine waha się. Przewycięża jednak strach i wchodzi do znanego już westybulu.



Po chwili w saloniku płoną dwie świece, ukazując widziane raz meble.

— Czy... on przyjdzie?

Milczące skinienie głową.

— Mogę poczekać?

Znowu znak potwierdzenia.

Valentine czuje, jak z otworów maski śledzą ją uważne oczy. Po dłuższej chwili milczącej obserwacji spiskowiec kładzie palec na ustach i opuszcza salonik. Valentine zostaje sama. Słyszy tylko skwierczenie świec i tykanie zegara. Robi jej się różnie. A więc coś jednak żyje w umarłym pawilonie? A potem kroki, otwarcie i zamknięcie drzwi, stłumione szepty. I wchodzi on.

— Jak to? Więc to pani? Czy... w ślady pupilki? — ten sam niezapomniany głos. — Czuję się zaszczycony.

— Proszę nie żartować. Przyszłam pana ostrzec, sprawa jest poważna.

Liberator opiera łokieć o konsolkę. Stoi oto przed nią w całej okazałości i uśmiecha się.

— Bardzo pani łaskawa.

— Musi pan uważać. Tu w okolicy mieszka pewna dama, hrabina Drwęcka. Pan może nie wie... Mówią o niej przeróżne rzeczy... raczej niepochlebne. Jest bardzo piękna... i niebezpieczna...

— Pani też jest piękna.

— O, ja... — Valentine patrzy prosto w błyszczące otwory maski. — Hrabiny należy się strzec, ona z Niemcami... Pan ją raz uratował — dodaje ciszej.

— Ratuję każdego, kto potrzebuje pomocy.

— Ale hrabina chce wiedzieć, kim pan jest, zedrzeć maskę, wydać pana Prusakom. Zdolna do wszystkiego...

— Znając pani zasady, doprawdy nie wiem, jak dziękować.

— Och, nie trzeba. To ludzki obowiązek przestrzec przed niebezpieczeństwem. Pan może nietutejszy, nie zna okolicznego obywatelstwa, nie słyszał...

— Słyszałem, ale hrabina dla mnie niegroźna.

— Proszę nie być tak pewnym siebie. To uwodzicielka. Ja coś o tym wiem.

— Co pani wie? Zna ją pani?

— Trudno powiedzieć, czy ją znam. Widziałam kilka razy, ot i wszystko. Hrabina mnie pewnie nie zauważyła. Nie należę przecież do towarzystwa, ale nie odstępuję panny Tarnowickiej, więc... I dużo słyszałam. Hrabina rzeczywiście ma wspaniałą urodę.

— Któż pani opowiadał o hrabinie? Służba?

Valentine poczuła się urażona jego pewnością siebie oraz ignorowaniem jakże przecież istotnego niebezpieczeństwa.

— Służba też. Na przykład stara pokojowa, moja rodaczka, a także i panna Tarnowicka.

Liberator oderwał się od konsolki i postąpił krok naprzód.

— Tak panią interesuje piękna hrabina? — spytał pokazując w uśmiechu zęby.

— Sama hrabina niewiele mnie obchodzi — odparła niecierpliwie. — Odegrała jednak tragiczną rolę w życiu moich chlebodawców,

interesuję się więc jej osobą wyłącznie z tego tytułu. I dlatego pana uprzedzam proszę mieć się na baczności.

— Uważa mnie pani za człowieka tak słabego, ta byle kokietka zawróci mu głowę?

— Hrabina nie jest byle kokietką, to wytrawna artystka, z pewnością niejednego ma już na sumieniu... dowód zresztą znajduje się w Tarnowicach — dodała po chwili wahania.

— W Tarnowicach?

— Nie chciałabym być niełojalna wobec rodziny mojej uczennicy. Może to pewnego rodzaju... tajemnica. Proszę więc o dyskrecję. Pan Tarnowicki ma syna...

— Wiem, to mały wisus.

— Jest i drugi syn, pierworodny. Liberator znowu cofa się ku konsolce.

— Zna go pani?

— Nie. Nikt go nie widuje. To kaleka. Żyje w zamknięciu w towarzystwie starego sługi. Dowiedziałam się o nim od Adelki, a potem stara Babette — to ta pokojowa — bardzo do niego przywiązana, była jeszcze garderobianą jego matki...

— A panna Waleńcia... o, przepraszam, panna Delarose trochę wścibska, co? Skrzętnie zbiera tego rodzaju sensacyjki? Nic to zresztą dziwnego, wśród wiejskiej nudy... Cóż więc ten... panicz?

— Żałuję, że przyszłam. — Valentine czuje napływające łzy. — Równie mylnie osądził mnie pan, jak ja kiedyś bohaterskiego Liberatora.

— Więc mnie pani sądziła?

— Naturalnie, ze względu na osobę panny Tarnowickiej. Wzięłam pana za awanturnika, którego celem skompromitować posażną pannę, by tym łatwiej...

— W takim razie jesteście skwitowani. Cofam moje brzydkie słowa. Czy żąda pani jeszcze innego zadośćuczynienia?

— Niczego nie żądam. Niespokojna byłam o pana bezpieczeństwo, o los związanych z panem ludzi, dlatego przyszłam. A co do syna pana Tarnowickiego...

— Właśnie, co to za człowiek?

— To nieszczęśliwy, któremu hrabina zniszczyła życie. Był jej narzeczonym, a gdy został dotknięty kalectwem, odesłała mu pierścionek. Nie pusta ciekawość każe mi interesować się jego losem. Pan może tego nie rozumie, ma pan rodzinę, bliskich, myślą o panu, drżą o pańskie życie... i pan ich kocha. Ale ja... jestem zupełnie sama, śmierć moja nikogo nie okryje żałobą. Mama umierając oddała mnie pod opiekę swej szkolnej przyjaciółki. Ciężko mi było w domu tej damy, tak ciężko, że wybrałam obcy chleb na cudzej ziemi. Wszyscy dla mnie dobrzy w Tarnowicach, jestem tu już drugi rok, nic więc dziwnego, że obchodzą mnie losy tej rodziny. O kim mam myśleć? Ten kaleka nieszczęśliwszy ode mnie, mimo że otoczony zbytkiem i najbliższymi. Nie potrzebuje martwić się o przyszłość, zawsze będzie miał dom i opiekę... nie to co ja... Panna Tarnowicka lada dzień może wyjść za mąż.

Więc ten zamknięty, dobrowolnie skazany na samotność stał mi się bliski. Nie wie z pewnością o moim istnieniu, a nawet gdyby wiedział, co dla niego znacze? Ale to nieważne. — Valentine wstała. — Wszystko już panu powiedziałam. Odchodzę.

— Panno Waleńciu, pozwoli pani, że tak ją będę nazywał, nie możemy rozstać się w ten sposób. Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli zachowa pani urazę.

— Nie chowam urazy. Rozumiem jednak, że dzisiejszy krok postawił mnie w fałszywym świetle.

— Zdobyła się pani na bohaterstwo. Nocą... sama... Szczerze panią podziwiam. Czy zauważyła pani, że jak za naszym pierwszym spotkaniem, tak i teraz muszę panią prosić o przebaczenie?

— Nie gniewam się. Niech pan tylko nie lekceważy hrabiny. Do widzenia...

— Proszę mi darować jeszcze chwilę. Odprowadzę panią.

— Nikt nie może zauważyć mojej nieobecności, a tym bardziej spotkać mnie o tej porze w parku.

— Duchy nawiedzające pawilon skutecznie bronią przed śmiałkami tej części ogrodu. Nikt się tu nie zapuszcza po zachodzie słońca. Jest pani bezpieczna.

— Czy wie pan, to pawilon jego matki?

— Tego kaleki?

— Tak. On jeden ma klucz. Stary Dominik, to ten sługa, sprząta tu od czasu do czasu. Musi pan uważać i nie zostawić śladów.

— Jestem ostrożny. Mam nadzieję, że Dominik też się boi duchów i nie zjawi się tu nocą.

— Nie opuszcza swego pana. Chwilami ten sługa wydaje mi się podejrzany. Nie zdziwiłabym się, gdyby i on z Niemcami...

— Sądzi pani, że jest w zмовie z hrabiną?

— Chyba nie. Nie dopuszczał jej do kaleki. Tylko raz, niedawno, otworzył przed nią drzwi jego apartamentu. Babette drży, by znowu nie chciała skrzywdzić nieszczęśliwego.

— Jeszcze ją kocha?

— Nie wiem. Boję się... Przez nią odsunął się od świata. A jak rozpaczal! Tak mówi Babette...

— I pani o nim myśli?

— Myślę. Wyobrażam sobie jego życie. Czym być mogło i czym jest — przez nią. Ale na mnie już czas.

Jakże inna była ta powrotna droga! Ciemności przestały straszyć wyciągniętymi nad głową konarami, cisza nie kryła skradających się kroków nieznanego wroga. Idący obok człowiek zażegnał zdawało się wszelkie niebezpieczeństwo. Wystarczyła sama jego obecność, a wszystko dokoła stało się znane i niegroźne jak za dnia.

Stanęli przy ostatnich drzewach. Przed nimi rozciągał się trawnik z kępami krzewów, a dalej uśpiony dom.

Liberator skłonił się nisko. Głos jego, mimo że cichy, brzmiał niezwykle wyraźnie.

— Kiedy znów panią zobaczę?

Valentine odsunęła opadający na oczy kaptur.

— Mam nadzieję — powiedziała niepewnie — że nie będzie, panu potrzebne ponowne ostrzeżenie.

— Kto wie? Jeśli, jak pani mówi, hrabina taka zawzięta na męską stałość?

— Ale pan uprzedzony, a tym samym gotów do odparcia najgwałtowniejszej nawet napaści. Dobranoc.

— Czy dziś jeszcze... pomyśli pani o nieszczęśliwym kalece?

— Pomyślę.

— A ja? Jeśli pani pomyśli i o mnie, na pewno nie stanie mi się nic złego. Przyrzeka pani?

— Przyrzekam.

Trzeba już iść, po co stoi tak długo wpatrzona w zamaskowaną twarz? Na co czeka? Nie jest przecież niemądrą Adelką, wmawiającą sobie miłość od pierwszego wejrzenia. Ale jak trudno ruszyć się z tego miejsca! Idąc trawnikiem, czuje na sobie jego wzroki wie, że stoi tam, pod drzewami, fascynująca ciemna postać z czarną plamą zamiast twarzy. Nie ogląda się za siebie, okrąża dom i... wpada na pana Nowiaka.

Na szczęście jest ciemno, a kaptur broni przed wzrokiem natręta i intendent nie poznaje Valentine.

— Kto tam? — Pyta groźnie, zaskoczony nocnym spotkaniem, ale tajemnicza kobieta już niknie w drzwiach domu.

Pan Nowiak nie goni zbiega i Valentine może nie zatrzymana dotrzeć do swego pokoju.

Boże, co za noc! Trudno uspokoić tłukące się serce. Prędej za białe firanki łóżka! Tam dopiero można poczuć się bezpiecznie. Nigdy się nie przyzna, nikomu, wyprze się wszystkiego. Nikt przecież nie udowodni, że to ona... Pan Nowiak może zechce dochodzić, badać. To nic, płaszcz z kapturem teraz nie nosi, nikt go na niej nie zobaczy, a tylko ten płaszcz mógłby zdradzić. Schować go jak najgłębiej w szafie, żeby nikt...

A co z Liberatorem? Czy uniknął spotkania? Posłyszał pewnie głos pana Nowiaka i skrył się w mroku.

Mowy nie ma, żeby zasnąć po takich przeżyciach. Rozdygotane nerwy nie pozwalają uleżeć spokojnie. Valentine przewraca się z boku na bok, wpatrzona szeroko otwartymi oczami w ciemność.

Prosił, by o nim myślała, jak gdyby mogła myśleć o czym innym. Wie, że teraz będzie myślała o nim stale, że zamaskowana twarz raz na zawsze wyparła z jej pamięci wszystkie inne obrazy. Jeszcze może kaleka... Tego nie wolno opuścić w wieczornych marzeniach, zbyt jest samotny i nieszczęśliwy, żeby i ona...

I tak doczekała świtu.

* *
*

Wtorek. Cały dzień czekałam na Cyryła. Nie przyjechał. Nie telefonował do Stefana. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić z irytacji. Nie szła mi praca nad „tarnowicką teką” (tak nazywam moje obecne szkice), nie mogłam skupić się nad żadną książką, a Romek był szczególnie nieznośny i tak dokuczył Aresowi, że pies wreszcie chwycił go za palec.

Chciałabym znaleźć się o sto mil od tego wszystkiego, a gdzież lepsze schronienie niż w Tarnowicach? Uciekam więc od rzeczywistości w świat, jaki stworzyła moja wyobraźnia. Cóż z tego, że w Warszawie na ulicy Świętokrzyskiej Cyryl użera się z jakąś bezczelną dziewczyną i „eksmituje” ją z mego domu? W Tarnówkach o tej samej porze rozkwita miłość, skromna i nieśmiała, nie karmiona żadną nadzieją z jednej strony, zaskoczona własną żywotnością i pełna niedowierzania we własne siły z drugiej.

Wieczór osiemnasty

Cezary jest tak wstrętny, że trudno uwierzyć, że to mój brat — Adelka potrząsnęła warkoczami, a jej twarzyczka wyraziła najwyższe oburzenie. — O tu, spójrz, zmarnował mi cały album.

Valentine wzięła ze stolika pięknie oprawny w aksamit sztambuch, zamykany na misterną klamrę. Wpisało się tam już całe sąsiedztwo, panny naszkicowały wspaniałe wschody i zachody słońca, świątynie dumania, płaczące wierzby. Ona też ku wiecznej pamięci pięknie wykaligrafowała wiersz pana Wiktora Hugo, a teraz Cezary całą stronę zasmarował tuszem i ta wielka, czarna mazanina do złudzenia przypominała karnawałową maskę, z której otworów, zamiast oczu, wyglądały dwie bardzo realistycznie potraktowane ropuchy. U dołu zamaszyste litery tworzyły czterowiersz, dedykowany siostrze:

*Ile gwiazd na niebie,
ile dziur w przetaku,
tyle tobie szczęścia życzę,
mój drogi robaku.*

— Robak! Nazwał mnie robakiem. Skorpion!

— Wierszyk wcale zręczny — zauważyła Valentine. — Cezary ma duże zdolności w tym kierunku, już to spostrzegłam. I nie gniewaj się za robaka, bo ci życzy szczęścia.

— Hy, ładne mi życzenia — prychnęła Adelka. — A ten zjadliwy rysunek wiesz, co

oznacza? Przypomina ową straszliwą noc i mój lęk...

Czarna maska przypominała zbyt wiele rzeczy zarówno nauczycielce, jak uczniom i doprawdy trudno było mówić o czym innym, mając ją przed oczami.

Od nocnej wyprawy do pawilonu Valentine dziesiątki razy na dzień zadawała sobie pytanie: „Czy go jeszcze zobaczę?” i za każdym razem wiedziała, że odpowiedź musi być przecząca, bo i jak? Co innego pójść raz, w określonym celu, uprzedzić o zasadzce, ale iść ot, tak sobie, jak Adelka, nie, ma to się nigdy nie zdobędzie. Choćby umierała... Duma jej nigdy na taki krok nie pozwoli.

I tak szczęśliwie skończyło się za pierwszym razem. Pan Nowiak mógłby ją przecież poznać. Jak by się tłumaczyła? Doszły ją wprawdzie echa indagacji intendenta, Babette opowiadała ze zgorznięciem, że służące dziewczęta miewają nocne schadзки w parku, ale winnych nie wykryto.

Po obiedzie przyjechał pan Ostreyko, niestety w interesie. Za gościem bowiem zamknęły się drzwi gabinetu pana domu ku rozpaczy Adelki, od pewnego czasu narzekającej na „wiejskie nudy”. Rzeczywiście tegoroczna wiosna mniej obfitowała w towarzyskie zjazdy i spotkania, przyjęcia i bale. Nawet na imieniny ojca Adelki nie miała okazji wystąpić w nowej toalecie, gdyż pan Tarnowicki połowę maja spędził w Poznaniu, wezwany do stolicy Księstwa w ważnych sprawach majątkowych.

Wrócił w dobrym nastroju i Valentine pierwszy raz widziała, jak się uśmiechał rozmawiając ze starym rezydentem. Podobno w Poznaniu spotkał sławnego berlińskiego lekarza, który zgodził się przyjechać do Tarnowic obejrzeć kalekę. Cały dom żył oczekiwaniem wizyty doktora-cudotwórcy, zapowiadanej na ten właśnie czas.

Valentine i Adelka były w parku, niedaleko domu, gdy zakurzona pocztowa bryka wypadła z wjazdowej alei i zatoczywszy koło stanęła przed gankiem.

Z domu wybiegło kilkoro służby i już pan Nowiak witał przybyłego. Dziewczęta, ukryte za drzewami, widziały, jak z bryki wygramolił się przysadzisty, rudy Niemiec ubrany na czarno, z taką walizeczką w ręku.

W sieni, zza nie domkniętych drzwi salonu, posłyszały rozmowę. Mówiono po francusku. Sławny medyk wypytywał o szczegóły tragicznego wypadku, pan Tarnowicki opisywał, jak doszło do katastrofy.

Zatrzymały się niepewne: zostać czy iść na górę, ale zwyciężyła ciekawość.

W tej chwili z bocznego salonu wyszedł pan Ostreyko. Brwi miał ściągnięte i zmarszczkę na czole, wyglądał dziwnie obco, zupełnie jak wówczas, rok temu, w dzień imienin Jana. Ujrawszy dziewczęta błyskawicznie rozpoznał twarz.

— Cóż tu panie, spiskują? — spytał kłaniając się.

— Pod słuchujemy — szepnęła Adelka wskazując wzrokiem drzwi salonu. — Widział pan tego Niemca?

- Widziałem. To sławny doktor.
- Czy pan wierzy, że on... uleczy Jana?
- Mówią, że to cudotwórca.
- Ale Jan... Boże, gdy pomyślę... Czy oni zaraz tam pójda?
- Chyba tak.

W zachowaniu pana Ostreyki było coś takiego, że Valentine spojrzała pytająco w niespokojne oczy gościa. Wydawało się, że młody człowiek, niby zajęty pannami, wyteża słuch, by nie uronić ani słowa z tego, o czym mówiono w salonie.

Gdy głosy zamilkły i gdzieś z głębi domu doszedł trzask zamykanych drzwi, pan Ostreyko nie potrafił dłużej zachować spokoju. Skoczył do salonu, a dziewczęta za nim.

Drzwi do dalszych pokoi były zamknięte.

Pan Ostreyko stanął i widać było, że całym wysiłkiem stara się poskromić niedyskretną ciekawość. Dziewczętom udzieliło się jego zdenerwowanie.

— Co się tam teraz dzieje? O Boże, co się dzieje? — Adelka splotała i rozplatała palce, nie spuszczać oczu z drzwi prowadzących do pokojów chorego.

Po pełnej napięcia ciszy od strony apartamentów kaleki doleciał gwar, jak gdyby kilka osób naraz mówiło podniesionym głosem. Pan Ostreyko nie wytrzymał i nacisnął klamkę, ale w tej samej chwili cofnął się przed panem Tarnowickim, który wszedł, a raczej wbiegł blady, ze ściągniętą

gniewem czy bólem twarzy. Za nim kroczył statecznie Niemiec z czarną walizeczką.

Dziewczęta wcisnęły się we framugę okna, ale nikt nie zwracał na nie uwagi, przypuszczalnie nie zauważono nawet ich obecności w salonie.

— Dziwny, bardzo dziwny przypadek — Niemiec przecierał oprawne w złoto szkła okularów. — Pewnego rodzaju aberracja na tle choroby, uznanej za nieuleczalną. Medycyna jednak w naszych czasach takie poczyniła postępy, że... Czy syn pański dawno cierpi na... psychiczne zaburzenia?

Pan Tarnowicki drgnął. Wydawało się, że uderzy słynnego lekarza.

— Mój syn jest normalny — powiedział głucho. — Tylko rozpacz, utrata nadziei na wyzdrowienie, bezruch, przebywanie w czterech ścianach sprawiły, że zdziwaczał. Ale poza tym...

Tak, tak — Niemiec kiwał rudą głową — to się rozumie, takie nieszczęście. Ale graf von Wittgenstein też był bezwładny, a jednak...

— Ostatnio widziałem go konno na spacerze. Mogę zaczekać do jutra. Może pacjent wreszcie da się zbadać.

Pan Tarnowicki bez słowa podszedł do taśmy dzwonka i Antoniemu, który zjawił się na wezwanie, rzucił krótko:

— Zaprowadzić pana doktora do jego pokoju i przypilnować, by mu niczego nie brakowało.

Niemiec skłoniwszy się podążył za służącym, a pan Tamowicki znikł za bocznymi drzwiami gabinetu.

Pan Ostreyko wyglądał jak odrodzony. Wydawało się, że scena, której tylko co był świadkiem, sprawi mu wielkie zadowolenie, a może nawet ulgę. Takie I było zdumiewające, że Valentine nie wytrzymała:

— Syn pana Tarnowickiego nie dał się zbadać, jeśli dobrze zrozumiałam — powiedziała karcąco — a pan zdaje się z tego cieszyć.

— Właśnie. Zamiast przekonać Jana, namówić go... — poparła przyjaciółkę Adelka.

Pan Ostreyko natychmiast przywołał na twarz wyraz zatroskania, ale najmniej nawet bacznego obserwatora spostrzegłby, jak marny z niego aktor.

— Niechże się panie tak nie gorszą moim zachowaniem — rzekł przepraszająco. — Znam dobrze Jana i wiem, jak męczące są tego rodzaju wizyty, tym bardziej że rezultat każdorazowej kuracji okazywał się niezadowolający. Tyle już biedak przeżył tego rodzaju rozczarowań, że wcale mu się nie dziwię. Należy pozostawić go w spokoju. Pogodził się już ze swym losem i...

— Jak można pogodzić się z takim nieszczęściem? — wybuchnęła Adelka. — Trzeba walczyć, szukać sposobów ratunku, czy ja wiem zresztą co... Niechże pan coś zrobi, idzie do Jana! Biedny papo! A ten doktor... wydaje się okropny...

— Cicho, Adelko — zgromiła ją Valentine. — To sławny lekarz, a że tak wygląda...

— Mówił o Janie jak o szaleńcu! — przerwała dziewczynka. — Jest naprawdę okropny! O, znowu ją widać...

Podczas tej pełnej napięcia chwili pan Ostreyko tak mocno zacisnął pięści, że niezwykle wyraźnie wystąpiła blizna na jednej dłoni. Adelka nie odrywała oczu od ręki gościa.

— Pamiętasz, Waleńciu? — zwróciła się do przyjaciółki.

— Przecież rok temu przestrelono mi rękę — odparł spokojnie nie zmieszany pan Ostreyko. — Zapomniała pani?

— Zawsze zastanawiałam się, czy to prawda, i w ogóle... jak pan to zrobił? Tyle czasu ręka była obandażowana, jak zresztą u wszystkich, a potem...

— Potem wyjechałem, na kilka tygodni. Za mało zwraca pani na mnie uwagi — dokończył z wyrzutem.

— Widziałam podobną bliznę na niejednej ręce przez len rok — pokiwała głową Valentine. — To bohaterstwo.

Pan Ostreyko obdarzył ją spojrzeniem pełnym sympatii.

— No, na mnie już czas — powiedział z ukłonem. — Mam nadzieję, że Jan zmieni zdanie co do lekarza. Przyjadę jutro, dziś brak mi odwagi zmierzyć się z Dominikiem.

Valentine i Adelka powoli wchodziły na górę.

— Czy myślisz, że Janowi naprawdę... pomieszało się w głowie? — spytała szeptem dziewczynka, gdy znalazły się na podeście pierwszego piętra.

— Chyba nie... Słyszałaś, co mówił twój ojciec: rozpacz, utrata nadziei. Stał się odludkiem, zdziwaczał, nie znosi nowych twarzy dookoła siebie.

— Jak go przekonać? Jeżeli ten lekarz istotnie taki doskonały... Mówił o jakimś grafie, którego wyleczył. Jan musi spróbować kuracji!

— Ale jeżeli nie chce?

Rozstały się przygnębione niepewnością, Valentine poszła prosto do siebie, zaabsorbowana losem kaleki. Rozumiała go doskonale. Przypuszczalnie nie chciał żyć, nie chciał też przed obcymi pokazywać swojej nędzy. Nawet przed najślawniejszym lekarzem, w którego umiejętności przestał wierzyć.

Ale co ukrywa pan Ostreyko? Jaka grę prowadzi i czy naprawdę jest przyjacielem Jana. Jego dzisiejszy postępek zachwiał jej zaufanie. Czy jednak możliwe?...

Tak, szkoda. Może ten niemiecki doktor rzeczywiście zna lekarstwo na chorobę Jana? Z jaką pewnością mówił o uzdrowionym grafie. Biedny pan Tarnowicki! Widać wielkie nadzieje łączył z osobą sławnego medyka, taki wrócił pogodny z podróży, a tu wszystko rozbija się o opór chorego. O co mu właściwie chodzi? Dlaczego nie chce?

Nigdy jeszcze przy stole nie panował tak ponury nastrój jak tego wieczoru. Pan Tarnowicki jadł kolację u siebie. Wydawało się, że koronka na włosach księżnej przybrała bardziej żałobny wygląd, panna Cholewińska co chwila wycierała oczy batystową chusteczką, a pan Surewicz ruszał bez przerwy wąsami. Adelka nie odrywała wzroku od talerza, skubiąc od czasu do czasu kawałek ciasta. Przycichł nawet Cezary, co pozwoliło biednemu panu Bukowskiemu posilić się w spokoju.

Sławny medyk wcześniej położył się po trudach podróży, przygotowany do czekającej go męczącej konsultacji.

Wieczorem Valentine powędrowała na drugie piętro, by zasięgnąć języka u wszechwiedzącej Babette, ale pokój zastała pusty. Stara Francuzka z nieodłącznym kotem Marcinem była może u „Janeczka”? Kto jak kto, ale Babette na pewno miała na niego jakiś wpływ i jeżeli komu, to właśnie jej udałoby się go przekornie o konieczności kuracji.

Rozczarowana, pokręciła się chwilę po korytarzu, po czym wyrzała na znany już balkon. Tej części parku nie było widać z jej okna, balkon bowiem znajdował się w bocznej ścianie, a dzięki większej wysokości wzrok ogarniał i większą część parku.

Było ciemno i cicho. Wychyliła się poza parapet i wtedy zza drzew mignęło coś jaśniejszego.

— Cesia? — posłyszała wyraźny szept.

Cofnęła się spłoszona, a jaśniejsza plama wsiąkła w mrok.

Postała jeszcze chwilę, po czym zeszała do siebie.

Pokój przywitał ją ciemnością. Zostawiła szeroko otwarte drzwi na korytarz, zanim zapaliła świecę. Z lichtarzem w ręku podeszła do komódki. Przed lustrem, na lśniącym blacie, czerwieniała wielka, świeżo rozkwitła róża. Nie wierząc oczom, Valentine pochyliła się nad kwiatem. Poczowała silny zapach, a w drżącym blasku świecy między płatkami zamigotała kropla wieczornej rosy.

Boże, co to znaczy? Czy śni? Róża? Tu... Spojrzała w lustro. Czyja twarz odbiła się przed chwilą w tym zwierciadle? Czy to możliwe? Nie... Przecież nie on... Skądże o tej porze? I tu. Jak mógł wiedzieć? Więc przekazał komuś polecenie? Ale komu? Czy to ktoś z domowników? No chyba...

Nie śmiała dotknąć spadłego zdawałoby się z nieba kwiatu.

A może to Cezary, dla figlu? Albo Adelka? I to możliwe. Nikt nie powinien obrazić się za różę. Jeśli to figiel, doprawdy niewinny. Jak się dowiedzieć?

Róża pachniała mocno, a z jej ciemnoczerwonych płatków szło do Valentine coś dziwnego, tajemniczy zew, nieśmiałe wołanie, jakaś obietnica... A może to wszystko było tylko wytworem jej wyobraźni?

Wstawiła kwiat do wody i długo siedziała wpatrzona we własne marzenia.

Nazajutrz uwaga całego domu skupiła się na parterowych pokojach kaleki. Nawet księżna od rana opuściła swoje krosienka i siedziała w salonie, przebierając w palcach paciorki różańca.

— Odmawia koronkę do Przemienienia Pańskiego — Adelka szeptem poinformowała przyjaciółkę. — Babunia tak zawsze, jak coś się dzieje.

W drugim końcu salonu spacerował Niemiec, zażywając od czasu do czasu tabaki. Jak dnia poprzedniego, tak i dziś nie dopuszczono go do chorego, pan Tarnowicki sam pertraktował z synem.

Każde trzaśnięcie drzwiami, odgłos kroków podrywały zebranych w salonie. Wbijano wzrok w stronę, skąd powinna nadejść decyzja.

Wejście pana Tarnowickiego przywitano głębokim milczeniem. Sam jego widok wystarczył za wszelkie słowa. Wiedziano już, że na nic perswazje. Nic nie zdołało przełamać uporu kaleki. Za panem domu ukazała się pochlipująca Babette. Kot Marcin uznał, widząc, swą obecność za mało pożądaną w takiej sytuacji i dyskretnie pozostał na górze. A może polował w tym czasie na wróble na wysokich drzewach parku?

Babette przesunęła się przez salon nie zatrzymywana. Dygnęła przed księżną i znikła za drzwiami. Pan Tarnowicki rozmawiał półgłosem ze sławnym lekarzem. Wtedy wszedł Dominik, jak zwykle w tabaczkowym ubraniu, gładko przyczesany, bardziej zgarbiony niż zazwyczaj. Podszedł prosto do Valentine.

— Jaśnie panicz prosi o pieśń — powiedział prawie rozkazująco. — Może panienka zechce zaśpiewać tę romancę Martiniego, czy jak mu tam, co to panienka zna.

Wszystkie oczy spoczęły na nauczycielce. Valentine nie wierzyła uszom. Pan Tarnowicki zbliżył się do starego sługi.

— Czego życzy sobie mój syn? — spytał nie rozumiejąc prośby-rozkazu Dominika.

— Jaśnie panicz prosi o pieśń — Dominik pochylił się z uszanowaniem. — Jaśnie panicz zmęczony, muzyka ukoi wzburzenie,

a panienka ładnie śpiewa — dodał patrząc na Valentine.

— Chodźmy — szepnęła Adelka ciągnąc przyjaciółkę za łokieć. — Chodźmy do małego salonu.

Valentine poszła jak automat. Portiera stłumiła słowa wielkiego medyka, którymi żegnał pana Tarnowickiego.

— Bardzo żałuję, doprawdy żałuję. Miałem nadzieję, że raz jeszcze moja sztuka wróci komuś zdrowie. Ale ten młody człowiek... — reszta zginęła w zwojach aksamitu.

Co to znaczy? — tłukło się po głowie oszołomionej Valentine — Co to znaczy? Czyżby naprawdę zwariował?

Adelka otwierała klawikord. Złote litery, składające nazwisko pana Pleyela, lśniły w słońcu. Drzwi na taras były szeroko otwarte.

— *Plaisir d'amour ne dure qu'un moment* — doprawdy trudno wydobyć głos na taką komendę i wątpliwe, czy choremu spodoba się to wykonanie.

Adelka nie spuszcza oczu z twarzy przyjaciółki.

— *Chagrin d'amour dure toute la vie.* — Valentine uspokaja się powoli, palce z wprawą przebiegają klawiaturę, głos nabiera mocy. Pieśń wylewa się na taras, biegnie w park.

Jego ból miłości już minął. Valentine wie to najlepiej. Czyż inaczej chciałby słuchać tej pieśni? Zaczyna już rozumieć odprawę lekarza. Po co mu zdrowie? Wraz z powrotem do sił wróciłoby dawne życie, a z nim Beatrycze. On tego nie chce, broni się przed

nią. Woli nawet kalectwo, ma przynajmniej spokój, spokój...

Dawno już przebrzmiała pieśń. Znowu cicho w małym salonie. I znowu przychodzi Dominik. Staje przed Valentine i mówi tym swoim burkliwym tonem:

— Jaśnie panicz bardzo panience dziękuje. Piękna to pieśń i pięknie panienska śpiewa.

— Czy... tak powiedział?

— Tak, to jego własne słowa: „Podziękuj — mówi — za piękną pieśń i piękne wykonanie. Było mi przyjemnie słuchać”.

— Dlaczego mój brat nie chciał widzieć lekarza? — Adelka mocno zaciska ręce.

— Ma rację, co tam Niemca prosić.

— Ale to sławny doktor, na pewno potrafiłby go uleczyć.

— Ee, były już tu różne sławne doktory i co z tego?

— Więc Dominik też? Zamiast namówić...

— Co będę namawiał, panienko. Jaśnie panicz swój rozum ma, a i lata, nie dzieciak. Robi, jak chce.

— Ale to dla jego dobra. On nie zdaje sobie sprawy, odszedł od życia...

— Czego miał odchodzić? Przecież żyje jak my wszyscy.

— Dominik to nazywa życiem? To... to... potworne!

— Ee, są tacy, co gorzej mają, panienko, i też żyją.

— Ale mój brat...

— Nie mam czasu, panienko, muszę wracać. Dziękuję i ja — ukłon w stronę

Valentine. — Jaśnie paniczowi było przyjemnie, bardzo przyjemnie.

Valentine i Adelka zostają same. Z dużego salonu nie dochodzi żaden dźwięk. Sławny lekarz pewnie szykuje się do odjazdu, księżna poszła do swych krosien, a pan Tarnowicki przeżywa ból zawodu i rozczarowania. Z tarasu zagląda Cezary.

— Poszli już? — pyta, oczami wskazując portierę.

— Chyba poszli — Adelka wstaje powoli z taborecika, na którym przysiadła zasłuchana.

— No i co?

— Nic. Nie przyjął lekarza.

— A... Niemiec?

— Nie wiem, pewnie odjedzie...

Cezary wyjmuje z kieszeni ogromny kawał ciasta.

— Fe — Adelka gorszy się widząc, jak brat z trudem pakuje go do ust. — Okropny jesteś! Mógłbyś doprawdy poczekać!

— Co masz zjeść jutro, zjedz dzisiaj — Cezary omal nie udławił się ciastem. — A co masz zrobić dzisiaj, zrób jutro — oto moja zasada.

— Obrzydliwe, a mój album zupełnie przez ciebie zmarnowany.

— Twój album ma przynajmniej jeden mądry wiersz — Cezary wykrzywia się przerażająco i znika wśród kolumn tarasu.

Valentine nie słyszy sprzeczki rodzeństwa.

Nie kocha jej, nie kocha — myśli.

I jest szczęśliwa.

* *
*

Spałam dziś dłużej, a po przebudzeniu nie chciało mi się tak od razu „wskakiwać w życie”. Leżałam więc z zamkniętymi oczami, rozkoszując się zapachem świeżo rozkwitłej tarnowickiej róży, i zastanawiałam się, jakby to było, gdyby Cyryl... No cóż, dziś inne czasy, inne zwyczaje, choć ludzie pewnie mało się zmienili.

Rozmyślenia przerywa wejście Gieni z tacą. — Julian pojechał do Warszawy — zaczyna płaczliwie. — Taki przeziębiony! W ogóle nie chciał słuchać, co do niego mówiłam. Stefan będzie wściekły.

Pojechał rozmówić się z dziewczyną. Jasne. Ciekawam tylko, jak poszło Cyrylowi.

Niestety moja cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę. Mija dzień, a Cyryl się nie zjawia i gdy już straciłam nadzieję, o dziewiątej wieczorem przyjeżdża Dodek z karteczką, nagryzmołoną dosłownie na kolanie:

Najdroższa, wszystko w porządku. Nie mogłem wpaść, bo przyjechali z Łodzi i trzeba było omówić różne sprawy. Nie udało mi się wyrwać nawet na chwilę, a teraz mam znowu nocne zdjęcia. Posyłam Dodka, by ci doręczył to słówko. Twój C.

Dodka zatrzymaliśmy na kolacji. Opowiedział trochę plotek z za kulisowego światka, nic zresztą ważnego. Jakoś mnie to przestało bawić. Pewnie ta długa choroba tak

na mnie wpłynęła, no i Tarnowice. Spieszno mi do Waleńci... i do Liberatora. Chcę pokazać miłość po staroświecku. My wszystkie przecież wzdychamy ukradkiem do takich właśnie uczuć... Chcemy, żeby nas uwielbiano, okazując to w niedzisiejszy sposób. Niech nasi mężczyźni zobaczą, „jakich ich pragniemy"... Niech się trochę wysilą, powrócą do właściwych proporcji. Chcemy znowu być zdobywane — jak wówczas — tam, w Tarnowicach.

Wieczór dziewiętnasty

Co ja przeżyłam! Co przeżyłam! — Babette chlipnęła parę razy, po czym głośno wytarła nos. — Widziała panienka, co się działo? Cały dom do góry nogami z powodu tego lekarza, a on nie i nie...

Valentine potakiwała raczej z grzeczności niż z przekonania. Nie potrzebowała już wyjaśnień.

— Janeczku, mówię, skarbie ty mój, przez pamięć twojej matki... a on mnie objął, tak jak siedział, i do siebie przycisnął: „Dobra ty — mówi — droga, kochana, ja bym dla ciebie zrobił więcej niż to, ale tego nie mogę”. To ja znowu płaczę i szlocham, a on wreszcie: „Nie prosz — powiada — bo to na nic, tylko mnie serce boli, że ty taka smutna”. Smutna? — wołam — co tam smutna? Ja zrozpaczona, zboleła, umarłabym tu w tej chwili, gdyby było trzeba dla twego dobra, a ty... On mnie znowu za ręce wziął i jak do matki przemawiał. I poszłam. Co miałam począć? Zostawiłam go, jak chciał, samego, z jego kalectwem, niedolą... Och, pani moja najmilsza, Bóg łaskaw, że nie dożyłaś... Nie zniosłabyś takiego bólu...

— Może nie jest tak źle — wtrąciła Valentine. — Może on dlatego nie chce, że już się uspokoił, przeboleł tamtą... niegodną... I dlatego nie chce zaczynać wszystkiego od początku. Babette przecież sama mówiła... ona znowu pragnęła sidła na niego zastawiać. Tak może najlepiej

— Co też panienka? Gdyby wrócił do sił, nie dałby się tak łatwo... Drugi raz nie złamałaby mu życia. Już ja stałabym na straży. Mimo wszystkich diabelskich sztuczek! Mało to ja widziałam? Dobrze poznałam tę żmiję, oj dobrze. Dość się napatrzyłam. Jak to się do niego wdzięczyła, a oczami mrugała, a przeginała się. Eh, dużo by tu mówić... A te liściki! Co dzień strzelec przywoził. Pamiętam ja, pamiętam ten fioletowy atrament i długie, spiczaste litery. Elegancka zawsze była... A papier to pachniał heliotropem. Nigdy nie przypominała cichej, skromnej panienki jak na narzeczoną Janeczka przystało. Ona jak ta lwica krew świeżą chleptać musiała. Ach, Boże, Boże... A ten lekarz to się obraził, mówił Antoni, mrucał do siebie i mrucał. Ale jaśnie pan udobruchał dobrą sumką za fatygę. Medyk czasu na próżno nie stracił, mało który z uzdrowionych pacjentów z takim gestem okazał wdzięczność. Kłaniał się też jaśnie panu. a kłaniał wyjeżdżając i służby swe polecał na przyszłość, gdyby jaśnie panicz zmienił kiedy zdanie.

— Ma Babette nadzieję?

— Prawdę powiedziawszy, nadziei to nie mam, Janeczek zawsze swą wolę miał, ale księżna pani wierzy w łaskę boską... Najbardziej żal mi jaśnie pana, gryzie się, biedak, strasznie.

Pan Tarnowieki rzeczywiście wyglądał, jak gdyby wstał po ciężkiej chorobie.

— No cóż, takie nasze życie. — Babette poprawiła przekrzywiony czepek i przejrzała się w lustrze. — Smutek i smutek, a zdawałoby się, że świat cały miał u stóp... i

tak od razu, od jednego dnia... Życzę panience dobrej nocy, niewesoła ze mnie dziś rozmówczyni, ale panienka rozumie...

— Dobranoc, Babette, proszę się tak nie martwić, jeszcze sobie Babette na zdrowiu zaszkodzi.

Wieczór był duszny, widać, szykowałą się burza. Od czasu do czasu bezgłośna błyskawica przeleciała przez ciemne, prawie czarne niebo. Nie było krzty wiatru, drzewa jak gdyby skamieniały. Valentine szerzej otworzyła okno i przysunawszy fotelik usiadła, wpatrzona w niewidoczny park.

Biedna Babette, taka wierna, kochająca i oddana, pani de Flagny ciągle narzekała na służbę, nikt jej nie mógł dogodzić, w każdym dopatrywała się wyłącznie chęci zysku, samolubstwa i przewrotności. Co to Babette opowiadała o Janie Tarnowickim i o Beatrycze? Tak, tak, jeśli naprawdę był tak atrakcyjnym młodzieńcem, to piękna panna musiała go zdobyć, podobał jej się wtedy... Babette przecież widziała, jak zabiegała o jego względy. Przypuszczalnie przyszło jej to bez trudu przy tak wspaniałej urodzie. Co dzień przysyłała strzelca z listem, z listem skropionym heliotropem. Zaraz, zaraz... Co jeszcze mówiła Babette? Fioletowy atrament? Ależ tak, fioletowy... i długie, spiczaste litery... Gdzie ona widziała takie pismo? Widziała przecież, ale gdzie?

Będzie burza, będzie straszna burza! Valentine zamyka okno i zaciąga firanki, żeby nie widzieć błyskawic i nie słyszeć grzmotów. Zawsze bała się burzy, szczególnie na wsi, bo w Paryżu, wśród miejskiego gwaru i hałaśliwych odgłosów

ulicy mniejsze wrażenie wywierało rozgniewane niebo.

Fioletowy atrament... fioletowy atrament... fioletowy... zmięta, przybrudzona karteczka. I jedno tylko słowo — nic więcej... Ale co? Czyżby? Tak, tajemnicze *Wiem*, wciśnięte w kamienną szparę posagu. Więc to ona? Zawsze ona? Do kogo pisała i co wie? Boże, Boże, a Liberator? A może to znaczy, że... zna twarz, co ukrywa się pod czarną maską? Jeśli tak, to zguba...

Grube krople deszczu zastukały o dach, a zaraz potem zagrzmiało. O wiele bliżej. Burza podchodziła do Tarnowic.

Gdzie on teraz? Czy w pawilonie? Gdyby nie ta burza... Naturalnie poszłaby — bez namysłu! On musi wiedzieć, co mu grozi! Hrabina to przeciwnik nie do zlekceważenia. Ale jak odkryła? Jak?

Rzeczywiście spryt ma piekielny ta kobieta, równie piękna jak zła. Doszła do tego, na czym połamali zęby Prusacy i cała armia szpiegów. Udało jej się. Czy pomógł przypadek? A może czyjaś zdrada? Mogła opętać towarzysza, żołnierza spod znaku bohatera — i ten wydał... Nic łatwiejszego dla takiej syreny. Przywykła do podbijania serc. Robi to z prawdziwą maestrią.

Straszliwy huk wstrząsnął domem. Burza szalała teraz nad Tarnowicami. Valentine, drżąc, schroniła się i w garderobie. Tam przynajmniej nie ma okien i nie widać błyskawic, które mimo zasłon oświetlają pokój migocącym, złowrogim blaskiem.

Nowy huk, jeszcze silniejszy, a za nim drugi, trzeci. Raz po raz... Takiej burzy jeszcze nie było. Która to godzina? Za kwadrans dwunasta? Duszno nie do wytrzymania. I ten niepokój... lęk, że może za późno...

O pół do pierwszej burza przycichła. Nareszcie można otworzyć okno. Valentine uchyła nieśmiało firanki. Na niebie widać z rzadka gwiazdy. Grzmot jest już tylko słabym echem szalejącej gdzieś daleko nawałnicy.

Co robić? O pierwszej powzięła ostateczną decyzję: pójdzie, musi pójść, zaszyły przecież nowe, nieprzewidziane okoliczności.

Dom śpi zmęczony burzą, która zapewne wszystkich wyrwała ze snu. Valentine przemyka się bezszelestnie dobrze już znanymi dróżkami. Odurzająco pachnie park obmyty deszczem, odświeżony. Trudno w słabym blasku gwiazd ominąć wszystkie kałuże.

Niestety — pawilon pusty. Pukanie nie wywołuje żadnego cienia jak wówczas, niedawno... Valentine dłuższą chwilę stoi bezradna, nie wiedząc, co postanowić: wracać czy jeszcze czekać? Letnia noc krótka, nie ma wiele czasu, przed brzaskiem musi już być u siebie,

Ciszę przerywa nagle daleki tętent kilku rozpędzonych koni. Są coraz bliżej. Valentine nasłuchuje bijącym szybko sercem.

Konie zwalniają biegu, są tuż za murem, na drodze. Potem stają. Nie słychać żadnych głosów. Ktoś wspina się po murze, już jest po drugiej stronie. Wysoka, czarna postać majaczy chwilę na kamiennej ławce, zeskakuje na ziemię.

— Czy to pan? — głos Valentine drży, robi jej się nagle bardzo zimno.

Postać zbliża się kilkoma krokami.

— Panna Waleńcia? — radosne zdziwienie, które trudno ukryć.

— Tak, to ja... znowu, ale ważne sprawy...

Liberator bierze ją delikatnie za łokieć, prowadzi do drzwi pawilonu. Są sami w zupełnej ciemności. Po chwili płoną dwie świece, a nocny gospodarz tych pokoi zrzuca z siebie przemoczony płaszcz.

— Był pan... na granicy?

Z otworów maski błyszczą władcze oczy.

— Byłem.

— A ja tu czekałam... i obawiałam się, że pan nie przyjdzie...

— Ja też na panią czekałem... każdej nocy...

— Pan?

— Czy róża nic pani nie powiedziała?

— Róża? Więc to od pana?

— Czy ma pani innych... wielbicieli?

— Mam, żeby pan wiedział. Mogłabym poślubić tarnowickiego ekonoma.

— Nie chciałbym rywalizować z... ekonomem. Mam nadzieję, że odmówiła mu pani swej ręki?

— Odmówiłam. Nawet Babette miała mi to za złe. Uważa, że własnowolnie pozbawiłam



się doskonałego losu. Róża była cudowna... zasuszyła płatki...

— Więc jednak trochę wiedziała pani, że to ode mnie?

— Trochę wiedziałam... ale mógł to być równie dobrze figiel Cezarego albo Adelki. Bałam się o tym myśleć, żeby się potem nie rozczarować. Jak pan to zrobił?

— Tego nie mogę pani zdradzić. Najważniejsze, że róża spełniła swoje zadanie... i pani przyszła, choć straciłem już nadzieję.

— Przyszłam znowu z ostrzeżeniem. Babette opowiadała mi tego wieczoru o Janie Tarnowickim. Mówiła, że w okresie ich miłości... narzeczeństwa... hrabina co dzień pisywała listy, że pisała je fioletowym atramentem — piękne, wysmukłe litery — i skrapiała heliotropem. Wtedy przypomniałam sobie... Moja wina, że tego panu wcześniej nie powiedziałam, ale wówczas nie wiedziałam, kto to pisał. Raz na spacerze z Adelką zaszliśmy w te okolice. I Adelka obchodziła posąg satyra. Wtedy znalazła schowek, wydrążony w cokole, a w nim karteczkę. Przeczytałyśmy... Karteczka była przybrudzona, wyglądała, jak gdyby dłuższy czas przeleżała w szparze. Pisana fioletowym atramentem takimi właśnie spiczastymi literami. Byłam pewna, że to któryś z pańskich ludzi, że to umówiony znak, może odpowiedź...

— Co tam było? — Czyżby to ten sam głos? Taki zmieniony? Surowy teraz i rozkazujący. Pierwszy raz uderza ją też energiczny rysunek szczęk znamionujących silną wolę.

— Jedno słowo, tylko jedno: *Wiem*.

Liberator milczy chwilę. Głowę ma pochyloną, oczy przykryte powiekami. Otwory maski wydają się puste.

— Zaraz wrócę — mówi. — Proszę tu zostać. — Maską żyje, oczy patrzą na nią ze zwykłym wyrazem.

Zostaje sama. Salonik przytulny jakiś i bezpieczny, gdy wie, że za chwilę znowu będzie tu razem z nim.

Wygląda dół spódnicy, mokry od zroszonych deszczem traw, poprawia przed lustrem włosy. Trzewiki w oplakanym stanie. Trudno, jutro, a raczej dziś jeszcze, jakoś temu zaradzi.

Kroki w westybulu, dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Tym razem Liberator nie jest sam. Głosy kilku osób, skrzyp jakichś drzwi, potem cisza. Na progu staje człowiek w masce z kartką w ręku.

— Znalazł pan?

— Znalazłem. Czy to ta kartka?

— Tak.

Kryjówka okazała się źle zabezpieczona przed ulewą, gdyż litery, składające słowo *Wiem*, rozlały się w górę i w dół fioletowymi smugami.

— Więc sądzi pani, że to pismo hrabiny?

— Co dzień przysyłała taki liścik przez umyślnemu, Babette nieraz widziała. A to też fioletowy atrament...

— Ciekawe tylko, do kogo pisane?

— Może... w pańskim otoczeniu jest zdrajca? Proszę się strzec, hrabina pewnie usidliła już którego z pańskich ludzi. To jej

metoda. Pan nie wie, jak strasznie skrzywdziła Jana Tarnowickiego.

— Mówiła pani, że był... jej narzeczonym?

— Tak, kochał ją do szaleństwa. Ostatnio znowu krążyła dokoła niego. Babette bardzo się niepokoi. A teraz był w Tarnowicach pewien słynny medyk. Pan Tarnowicki sprowadził go do syna. Boże, nie ma pan pojęcia, cośmy przeżyli! Jan Tarnowicki nie przyjął lekarza. Ojciec od zmysłów odchodził z rozpaczy ale ja rozumiem, och, jak dobrze go rozumiem!

Liberator słuchał nie podnosząc głowy. Miał w palcach fatalną kartkę.

— Rozumie go pani? Co pani o nim wie?

— Wszystko, co przecierpiał... Boi się jej, słyszy pan? Boi się pięknej Beatrycze, nie chce dostać się znowu w niewolę jej wdzięków. Woli kalectwo, samotni iść, już do tego przywykł, odszedł od dawnego życia... znalazł ukojenie...

— Skąd te przypuszczenia?

— To nie przypuszczenia, to pewność. Czyż inaczej sprawiłby ojcu taki ból? Pan Tarnowicki po powrocie z Poznania był jak odrodzony. Nigdy nie widziałam go tak pogodnym. A potem...

— W takim razie to zły syn.

— Proszę go nie potępiać, pan nie zna go tak jak ja.

— Więc zna go pani tak dobrze?

— Ach nie, raz go tylko widziałam i to z daleka. Ale... tak często o nim myślę... wyobrażam sobie...

— Ekonom niegroźny, ale Jan Tarnowicki zdecydowanie staje się moim rywalem.

— Pan żartuje. Jan Tarnowicki potrzebuje zrozumienia

— Jak więc poznała pani właściwy powód odmowy kuracji?

— Kiedyś, przed rokiem, śpiewałam w małym salonie, przytykającym do apartamentów kaleki. Było to w dzień jego imienin. Nie wiem, czy zna pan romancę Martiniego „Plaisir d'amour”. Młody pan Tarnowicki przez lokaja zabronił mi śpiewania kiedykolwiek tej pieśni. Ach, jak mi wówczas było przykro! Długi czas bałam się otworzyć usta przy klawikordzie. Aż nagle teraz, nie wpuściwszy lekarza, przez tego samego sługę poprosił o tę pieśń. Wtedy zrozumiałam i... ucieszyłam się.

— Ucieszyła się pani? Dlaczego?

— Bo... już jej nie kocha, bo oderwał się od dawnych wspomnień, bo przeszłość umarła.

— Przeszłość tak łatwo nie umiera, zbyt pani młoda, by znać życie.

— Nie wyglądam może na moje lata, ale dawno już ze mnie stara panna...

— Liberator nagle roześmiał się, a ten śmiech dziwnie zabrzmiał w dość ponurej atmosferze pawilonu.

— Dziecko — powiedział równie miękko, jak niegdyś do Adelki — zawsze będzie pani dzieckiem, choćby miała pani i sto lat. Cóż znaczy tych dwadzieścia parę wiosen...

— Dwadzieścia dziewięć — sprostowała, rumieniąc się.

— Wygląda pani zaledwie na dwadzieścia i tyle będzie pani zawsze miała.

— Tyle?

— Czy duch się starzeje? — zapytał z uśmiechem, Valentine podniosła się z kanapki.

— Muszę już iść. Chciałabym tylko wiedzieć, czy pan postanowi... z tym listem...

Liberator raz jeszcze rozwinął złowrogie pismo.

— Sam nie wiem, ale najlepiej chyba, jeśli powierzę jego tajemnicę płomieniom — to mówiąc zbliżył świstek do świecy.

Po chwili z krótkiego słowa, które miało może ciężar więziennego łańcucha, pozostała maleńka kupi popiołu.

— I nie obawia się pan?

— Hrabiny?

— Hrabiny i... ewentualnie zdrady.

— Nie. W mojej sytuacji trudno ujść przed zdradą. Spotka mnie wcześniej czy później. Przedsięwzięłem jednak pewne kroki. Czy przyjdzie pani, gdy poproszę? Zamiast liścika, przyślę różę... Dobrze?

— Dobrze... choć nie wiem, czy powinnam...

— Poprzednim razem mówiła pani to samo. Na szczęście znowu trzeba było mnie ostrzec.

— Myśli pan, że wyszukałam sobie tylko taki pretekst?

— Skądże! Moje zarozumiałstwo nigdy nie sięgało tak daleko. Przyznaję, że jestem dość zuchwały, by żywić jakie takie nadzieje... Wiem na przykład, że ceni mnie pani wyżej od... ekonomy, niemniej jednak Jan Tarnowicki napełnia mnie obawą i gdybym mógł...

— Co pan mówi? Och nie, to kaleka...

— Więc dlatego wszystko mu wolno?
— Przecież mnie nie zna.
— Ale każe pani śpiewać i pani spełnia to życzenie.

— Czyż mogłam odmówić? Szczególnie gdy Dominik powiedział: „Jaśnie paniczowi było bardzo przyjemnie...” Pan ciągle ze mnie żartuje!

— Panno Waleńciu... mam do pani prośbę. Proszę jutro, a właściwie dziś wieczór zaśpiewać dla mnie. Będę słuchał ukryty w parku. Nie dla „jaśnie panicza”, tylko dla mnie — powtórzył z naciskiem.

— Nie może się pan narażać. To szaleństwo! — zawołała przestraszona. — O tej porze koło domu kręci się sporo osób, służba, a w nocy za późno, bym mogła śpiewać.

— Czy nigdy nie pomyślała pani, że... moja obecność w parku może na przykład wydać się zupełnie naturalna?

— Nigdy pana nie widziałam — szepnęła z lękiem. — Nikt ze znanych mi osób nie ma pańskiego głosu... Nie, to niemożliwe...

— Zaśpiewa pani?

— Zaśpiewam — odparła spuszczać oczy pod jego wzrokiem. — A teraz muszę iść...

— Musi pani, już prawie dnieje.

— Ach, Boże, jakże się spóźniłam.

Znowu, jak wtedy, wyszli razem. Niebo bieląło na wschodzie. Lekki wiatr strząsał z liści krople pozostałe z nocnej ulewy. Valentine podniosła oczy na swego

towarzysza. Odpowiedział uśmiechem na spojrzenie i ujął ją delikatnie pod ramię.

Zatrzymali się pod wielkimi kasztanami. Jak wtedy. Dom jako jaśniejsza plama wylaniał się niewyraźnymi konturami z ciemnego tła parku.

— Proszę wracać — szepnęła. — Będę o pana niespokojna.

— Trudno mi rozstać się z panią...

Liberator bierze obie ręce dziewczyny i podnosi do ust. Oprócz pocałunku Valentine czuje dotyk aksamitu maski.

— Proszę pamiętać... róża...

— Pamiętam. Dobranoc...

Biegnie trawnikiem, a w uszach ciągle brzmi głos, którego nie sposób zapomnieć. Drżącymi rękami otwiera drzwi, wiesza klucz na gwoździu, przemyka się korytarzem do sieni, stamtąd na schody. Drogę zna na pamięć i mimo ciemności bez przeszkód dociera na pierwsze piętro. Rozdygotane serce uspokaja się dopiero za białymi firankami łóżka. Co się z nią dzieje? Co to znaczy? Ale wie, że najdroższą dla niej ze wszystkiego na świecie jest twarz, której nigdy nie widziała. Czy ją kiedy zobaczy?

Dzień mija sennie. Adelka nie w humorze po rozmowie z babką. (Ciągle o te warkoczki, których dziewczynka nie chce nosić spuszczonej, pragnąc bardziej wymyślnej i modnej fryzury.) Cezary po utarczce z panem Bukowskim przyszedł na lekcję nachmurzony i trudno było z niego wydusić słowo.

— Coś taki milczący?

— Czy zawsze mam mleć językiem? — odburknął prawie niegrzecznie. — Są chwile, kiedy człowiek musi pomyśleć o poważnych sprawach.

— O czymże więc myślisz?

— Ee, to i tak nie dla bab.

— Wiem, że tej nocy Liberator... — zaryzykowała Valentine.

— Skąd pani wie? — ożywił się chłopiec.

— Słyszałam.

— To było wspaniałe! — wybuchnął Cezary, a zły humor opadł z niego jak niepotrzebny płaszcz.

— Nie znam tylko szczegółów...

— We dwóch, rozumie pani, we dwóch trzymali w szachu posterunek graniczny, podczas gdy trzeci przeprowadzał w bezpieczne miejsce uciekiniera. Bez jednego strzału! To podobno jakaś gruba ryba z powstania, generał czy coś w tym rodzaju. Ciekawe, gdzie go ukryli? Prusacy przetrząsają całą okolicę. Pewnie i u nas będą — dodał obojętnie.

Rzeczywiście przyjechali podczas kolacji. Generał Gulbin zaznaczył z naciskiem, że to zwykła sąsiedzka wizyta, choć w nieodpowiedniej porze, i przez cały czas starał się nadać swej bytności czysto towarzyski charakter. Był jak zwykle otoczony liczną świtą, z nieodłącznym adiutantem.

— Proszę panów do salonu — pan Tarnowicki zrobił zapraszający gest. — A może woli pan w gabinecie, generale?

— Najchętniej zostałbym w sali jadalnej — generał silił się na swobodny ton. — Tak tu przyjemnie, rodzinnie... My jesteśmy już po kolacji.

Pan Tarnowicki skinał na Antoniego i wydał odpowiednie dyspozycje.

— Ja tak... między innymi z małym interesem — generał rozsiadł się wygodnie i założył nogę na nogę. — Był podobno u pana nasz sławny doktor? — dodał współczująco.

Pan Tarnowicki przytaknął bez słowa.

— I syn pana nie skorzystał? To doprawdy karygodna lekkomyślność. No, ale tak długa choroba może osłabić zdolność rozumowania i najtęższej głowy. Przykro mi, bardzo przykro ze względu na pana...

Pan Tarnowicki skłonił się w stronę tak wyrozumiałego na ludzką niedolę gościa.

— Przy okazji chciałbym też spytać — generał zawiesił głos i obiegił wzrokiem siedzące przy stole osoby. — Ot, jak tu państwa wszystkich widzę, czy nie ukrywa się gdzieś w zabudowaniach pewien przestępca?

— Przestępca? — przestraszyła się zawsze skora do płaczu panna Cholewińska i podniosła do oczu chusteczkę.

— O tak, łaskawa pani, groźny przestępca. Dano mi właśnie znać, że przekroczył nielegalnie granicę.

— Nic mi o tym nie wiadomo — przerwał chłodno pan Tarnowicki. — Nie udzielam w moim domu gościny przestępcom.

— Któż by śmiał o to pana posadzić? — oburzył się obłudnie baron Gulbin. — Wiem, że nie ma go w pańskim domu, ale w

zabudowaniach, oficynach, pomieszczeniach dla służby...

— Moja służba nie odważy się na taki krok bez mojego zezwolenia — odparł wyniośle pan domu. — Nie ma tu żadnych zakamarków ani skrytek, intendent ma na wszystko oko, a to człowiek posiadający całe moje zaufanie.

— Może w jakiej... parkowej altanie? — podsunął milczący dotąd adiutant. — Zbieg potrafi ukryć się wszędzie. A widziałem w tarnowickim parku piękny pawilon.

Valentine poczuła, jak rumieniec zalewa jej policzki. Adelka nie spuszczała z adiutanta szeroko otwartych oczu. Tylko Cezary zachował zimną krew. Wydawało się nawet, że na ustach chłopca przez cały czas tej rozmowy-indagacji błąka się ironiczny uśmieszek.

— Ten pawilon należał do mojej pierwszej żony — pan Tarnowicki mówił cicho i nie patrzył na generała. — Po jej śmierci stoi zamknięty, klucz u mego syna... tego kaleki. Nikt tam nie wchodzi.

— Jeśli tak, to łatwo dobrać się komuś niepowołanemu do dawno nie używanego zamka — generał wyraźnie ożywił się. — Nie sądzi pan, że taki opuszczony pawilon w głębi parku, oddalony od domu, stanowi doskonałą kryjówkę?

W odpowiedzi pan Tarnowicki zwrócił się do Antoniego.

— Wezwać Dominika — rzucił krótko.

Lokaj podszedł majestatycznie do taśmy dzwonka i lokajczykowi, który stawił się na wezwanie, przekazał rozkaz pana.

Po chwili wszedł Dominik, kłaniając się na wszystkie strony. Przygarbił się bardziej niż zwykle i pociągał nogami, czego zazwyczaj nie czynił.

— To sługa mego syna — objaśnił zwięźle pan domu. — Od lat przy chorym, nigdy go nie opuszcza. Co jakiś czas sprząta w pawilonie. Syn mój życzy sobie tego. Proszę go zapytać.

Uwaga gości i domowników skoncentrowała się na starym kamerdynerze. Dominik, zdawało się, nie dostrzegał zainteresowania, jakie wzbudziła jego osoba.

— Na imię wam Dominik? — głos generała był rozbrajająco dobroduszny.

— Tak, proszę łaski pana generała.

— I Dominik służy u młodego pana Tarnowickiego?

— U jaśnie panicza — przytaknął stary.

— Niewesoła to służba, co? Przy chorym...

— A niewesoła, jaśnie panicz kaleka.

— I Dominik tak dawno?

— Od początku.

Generał pokiwał głową ze współczuciem.

— Podobno sprząta Dominik w pawilonie, w parku?

— A sprzątam, proszę łaski pana generała.

— I cóż ten pawilon, nie używany?

— A nie używany od śmierci nieboszczki jaśnie pani.

— Może ktoś się tam dobierał, co? Jaki złodziejasek?

— A jak mógł się dostać, kiedy drzwi mocne, zamek doskonały, a okiennice zamykane od środka żelazne sztaby?

— Kiedy Dominik był tam ostatni raz?

— Dzisiaj, bo to dzień sprzątanania.

— I wszystko było w porządku?

— A co miało nie być, proszę łaski pana generała? Nikt tam nie chodzi, służba boi się, bo to nieboszczka niby... straszy.

— Więc dziś nie zauważył Dominik nic podejrzanego?

— Nic, proszę łaski pana generała. Wszystko po staremu. Wszedłem, otworzyłem okna, przewietrzyłem pokoje, wytarłem kurze, ot, jak zwykle.

— Możecie odejść — generał nie był zadowolony z przesłuchania.

Gdy wstawano od stołu, do Valentine podszedł wytworny adiutant.

— Nareszcie mam przyjemność, Mademoiselle — kłaniał się uśmiechnięty. — Czy mogłaby pani uraczyć nas muzyką? Nigdzie tu w okolicy nie ma taki wirtuozki...

— Pan zbyt uprzejmy — Valentine zdobyła się u spokój. — Talent mój bardzo mierny.

Całe towarzystwo przechodziło właśnie do salonu. Adiutant nie odstępował nauczycielki.

— Klawikord w Tarnowicach wyborny, wiem coś o tym — nie dawał za wygraną. — Słyszałem raz, jak grała panna Tarnowicka. Jeśli z uczennicy taka mistrzyni, to co mówić o nauczycielce?

Prosił tak natarczywie, aż musiała wtrącić się księżna.

— Zagraj nam co, kochanko — spojrzała na Valentine smutnymi oczami. — Wszystkim zrobisz dużą przyjemność.

Tej prośbie Valentine nie mogła odmówić. Usłużny adiutant już otwierał klawikord, przerzucał nuty.

— Będę przewracał strony — ofiarował się natrętnie — jeśli pani pozwoli — dodał prędko. — Pan generał bo przepada za Mozartem...

Valentine posłusznie zaatakowała sonatę z wariacjami. Grając, patrzyła w ciemny prostokąt drzwi małego salonu, otwartych na taras. Na dworze było cicho, od czasu do czasu między akordy wdzierała się muzyka świerszczy, tak naturalna dla wieczornej godziny jak tykanie zegara.

Gdy skończyła, adiutant rozplynał się w pochwałach. Obecność jego była jej po prostu wstrętna, mimo to przywołała na usta wymuszony uśmiech.

— To był dopiero przedsmak rajy — nieznośny towarzysz generała Gulbina dręczył ją bez miłosierdzia. — Dopiero głos pani uniesie nas w niebiańskie przestworza. O, tu widzę moją ulubioną romancę. Czy mogę prosić? Hrabina Drwęcka śpiewa ją nieporównanie, słyszałem jednak, że pani głos bardziej nadaje się do tej pieśni.

Drugi to raz tego samego dnia proszono ją, by śpiewała „Plaisir d'amour”. Niestety ten, dla którego będzie przeznaczona ta pieśń, nie usłyszy jej dzisiaj, w Tarnowicach bowiem pełno Prusaków, a tuż przy klawikordzie stoi, błyskając złotem epoletów, jeden z najzaciętszych jego wrogów. Valentine z

dziką jakąś przyjemnością bierze wstępne akordy. Po chwili melodia rozplywa się szybko w ciszy wieczoru. W salonie milkną rozmowy, a gdy ścichł ostatni dźwięk, słuchacze nagradzają śpiewaczkę oklaskami. Adiutant nie posiada się wprost z zachwytu. Valentine siedzi jeszcze przy klawikordzie... Nagle, rzucona z tarasu, spada na jej ręce świeżo zerwana, czerwona róża, a kropli rosy znaczą wilgotny ślad na białych klawiszach.

* *
*

Przypomniała mi się dziś scenka, której świadkami byliśmy z Cyrylem w kawiarni „Nowy Świat”. W szatni dwóch chłopców i dziewczyna. Dziewczynie upadła rękawiczka. Współczesny Emrod, wskazując nogą leżącą na podłodze zgubę, mówi ze specyficzną intonacją: „Patrz, Marta, upadła ci rękawiczka”. Marta posłusznie schyla się i podnosi zgubę.

Czy to oznaka starzenia się, że taka moda okropnie mnie teraz szokuje, mimo że jak dotąd uważałam m za supernowoczesną? Myślę, że taka na przykład Marta z przyjemnością obejrzy mój film. Będzie w nim to wszystko, czego nigdy nie da jej zaznać ten pewny swego dwudziestolatek.

Szybko szkicuję scenę przy klawikordzie: Waleńcia w gipiurowym kołnierzyku spiętym ametystową broszą, uczesana w „bandeaux”, przy niej świetny adiutant z bezczelną

twarzą. Za chwilę na klawisze spadnie purpurowa róża...

Cyryl zastaje mnie przy tych marzeniach. Sama nie wiem, czemu rumienie się jak mała dziewczynki schwytana na gorącym uczynku, i szybko zatrzaskuję „tarnowicką teczkę”. Cyryl przygląda mi się chwilę podejrzliwie, po czym mówi, całując mnie we włosy:

— Prześlicznie wyglądasz, zupełnie jak...

— Jak kto? — pytam prowokująco.

— Jak zakochana kobieta.

— Bo jestem zakochana.

Cyryl unosi brwi.

— Nie widziałam nigdy jego twarzy, mogę się tylko domyślać, jak wygląda. Ale jest wspaniały — dodaje prędko.

Cyryl z westchnieniem zagłębia się w fotelu i wyciąga przed siebie długie nogi. Ares tylko czeka na tę okazję i momentalnie gramoli mu się na kolana, golów do piieszczot.

— Cóż to, marzysz? — Cyryl wskazuje wzrokiem teczkę, którą trzymam przed sobą oburącz, jak gdyby bojąc się, że mi ją kto odbierze.

— Coś więcej — staram się być intrygująca i tajemnicza, choć wiem, że nie bardzo mi się to udaje. — Mo, ale mów wreszcie, jak się skończyło?

— Ano skończyło się. Wiesz, nawet żal mi ich było. Ruda trochę się stawiała, ale chłopaczek ani pisnął, położył uszy po sobie i wyszedł potulnie. Jeszcze ją przynagłał. Oddałem jej klucze, te, które założyła na twoje kółko, i zażądałem kluczy od twego

mieszkania. Wtedy podniosła głos. Zagroziłem milicją, no i wyniosła się. Nie skapitulowała jednak tak łatwo i na pożegnanie poczęstowała mnie doborową wiązanką. Muszę chyba porozmawiać z Julianem, niech wie, do czego prowadzi lekkomyślność. Pójdę teraz do tego durnia.

Julian naturalnie najeżył się po pierwszych słowach Cyryla i potraktował go jak oszczercę, rzucającego podłe kalumnie na „najwspanialszą dziewczynę”; ani słyszeć chciał o przestroгах. Cyryl wrócił zmordowany i zły.

— Niech go diabli! — zrywał się targając Aresa za uszy. — Po kiego czorta wlałem w cudze kłopoty?

— Zapominasz, że Gienia jest moją przyjaciółką — odparłam urażona. — Poza tym bogdanka Juliana zdemolowała mi mieszkanie. A ty żałujesz fatygi! Żeby tak chodziło o Aniele...

— Co! I ty masz do mnie pretensje? Tego już doprawdy za wiele! Zamiast pracować spokojnie nad filmem, tracę czas, dałem się wciągnąć w nieledwie chuligańską rozróbkę, przemawiam do rozsądku idiotcie, który za grosz rozsądku nie posiada, pozwalam, by mnie obrzucano obelgami, a ty mi z Anielą! Dość tego, raz i ja muszę się wyspać. Dobranoc.

Cyryl wychodzi bez pożegnania, zamykając głośno drzwi. Z dołu słyszę żalony sopranik Gieni, który próbuje zatrzymać go na kolację. Chce mi się płakać. Drżącymi rękami sięgam po tarnowicką tekę. Gorączkowo przerzucam kartony z portretami moich bohaterów. Oto

on, ten wspaniały, zamaskowany. Wodzę palcem po czarnym aksamicie, zakrywającym twarz, i szepczę:

— Ty nie postąpiłbyś jak Cyryl, prawda? Ty jesteś inny. Mocny, cierpliwy, opanowany. Byle gadanina nie wyprowadza cię z równowagi. Twoja gra toczy się o wiele wyższą stawkę.

I nagle robi mi się okropnie żal tej nieszczęsnej rudej Wery. Czy pozna kiedyś prawdziwą miłość? A może zadowalać się będzie tylko przelotną przygodą? W takim razie nigdy nie oceni poważnego uczucia i przejdzie mimo wielkiej życiowej szansy. Na przykład taki Julian. Za kilka lat będzie inżynierem. Miałaby zapewnioną przyszłość, bliskiego, oddanego jej człowieka, dom, dzieci... A tak co?

Rozczulanie się nad cudzym losem doprowadza mnie do moich własnych smutków. Jestem sama — mama ma swoje życie, a dla Gieni, zrozumiałe, że stoję na drugim planie. Tylko jeden Cyryl...

Jak nigdy dotąd, czuję przemożną potrzebę miłości. Nie tej okrzyczanej, pokazywanej w kinie, z pocałunkiem i mniej lub więcej „rozebrany” kadrem bohaterów, ale tej zwykłej, dobrej, ludzkiej miłości, tak potrzebnej do życia jak powietrze.

Chwytam kredki, biorę czysty karton. Prędeż, prędeż! Ten wieczór bez reszty będzie poświęcony najpiękniejszemu uczuciu, jakie można sobie wymarzyć — miłości Liberatora i Waleńci.

Wieczór dwudziesty

Każdy dzień tego niezapomnianego lata wrył się jej na zawsze w pamięć. Spotykali się prawie co noc czasem tylko na chwilę, na jeden pocałunek pod kasztanami, by choć usłyszeć cicho wyszeptane zaklęcie miłosne, czasem na parę godzin wypełnionych szczęściem do ostatniej minuty, a czasem nie mogli się zobaczyć, gdy jakaś zuchwała akcja wymagała obecności Liberatora przy granicy. Z niecierpliwością oczekiwała wówczas przybycia na lekcję Cezarego, gdyż chłopiec niejako z pierwszej ręki dostarczał jej informacji o nocnych czynach bohatera.

Z początku Valentine zaskoczona była nową dla siebie sytuacją. Dotychczasowe jej doświadczenia w tej dziedzinie były raczej ubogie. Ot, kiedyś podobał jej się młody pan de Polmar, jeszcze w czasach, gdy jako pupilka pani de Flagny zamieszkiwała bulwar Saint-Germain. Pan de Polmar może nie byłby od tego, by sobie trochę poromansować ze śliczną dziewczyną, naturalnie bez jakichkolwiek poważniejszych następstw takiego „liaison”. Nie traktował też Valentine z szacunkiem, jakiego dla siebie miała prawo wymagać. Nic więc dziwnego, że z jej strony sympatia ta nie przerodziła się w żadne głębsze uczucie, odwrotnie, przyniosła jedynie gorycz zawodu i rozczarowanie co do charakteru wybrańca. Zrozumiała wówczas, że żaden z bywających u protektorki mężczyzn nie uważa jej za równą sobie, gdyż przed jej nazwiskiem nie stoi obowiązująca w tym świecie partykuła, a nie istniejące dobra ziemskie nie przynoszą

rocznie choćby marnych kilkunastu tysięcy dochodu.

Zamknęła się więc w sobie. O miłości mogła tylko marzyć jako o wspaniałej, lecz nieosiągalnej dla niej przygodzie, będącej jedynie udziałem osób utytułowanych lub obdarzonych dobrym posagiem. A ponieważ interesujący mężczyźni, którzy ubiegali się o panny utytułowane lub majątne, budzili w niej pogardę, nabrała równej pogardy do uczuć, jakie zdolni byli z siebie wykrzesać i... przestała czuć się nieszczęśliwa. Odtąd było jej tylko smutno, gdy myślała o swej przyszłości.

Aż tu nagle... Nie sądziła, by mogła kiedykolwiek zakochać się do tego stopnia, rzucić się tak z głową w to uczucie! Człowiek jednak musi kogoś kochać. Nawet Babette, mimo matczynego wprost przywiązania do „Janeczka”, miała jeszcze kota Marcina. Więc i ona... Tyle lat była samotna, przerażona niepewnością jutrzejszego dnia. W jej położeniu nie było niczego z budzącej spokój i ufność stabilizacji. Teraz dopiero poczuła się naprawdę bezpieczna. Wierzyła. Błyszczące w czarnym aksamicie oczy obiecywały wszystko.

Ani razu przez te dwa miesiące nie zapytała, kim był. Szanowała tajemnicę. Wiedziała tylko, że ją kocha i to jej wystarczało. Gdy podczas bytności generała Gulbina na ręce jej spadła czerwona róża, poczuła tak wielką radość, że musiała ukryć płonąca twarz w chłodnych płatkach. Potem dopiero zrozumiała, co mu grozi, na co naraził się swym zuchwałym czynem.

— To Cezary — wyszeptała w stronę wytwornego adiutanta. — Od czasu do czasu trzymają się go takie figle.

Adiutant wyjrzał w uspokajającą czerń tarasu, gdzie naturalnie nie było nikogo. A Valentine, tuląc do ust wilgotne płatki, odpowiadała w myśli na wezwanie.

Czekał w alei wiodącej do pawilonu. Przy jego nogach kręcił się Ramzes, piszcząc z zadowolenia, gdy ręka człowieka spoczęła na psiej głowie. Przestraszyła się w pierwszej chwili, ujrzawszy ciemną postać wśród drzew, lecz uspokoił ją widok maski.

— Kocham cię — powiedział zamiast powitania. Wtuliła się w jego ramiona. Otoczeni ciszą i mrokiem, doszli do gościnnych ścian pawilonu.

Valentine nigdy nie mogła przypomnieć, co sobie powiedzieli tej nocy. Czuli się dziwnie lekka, oderwana prawie od ziemi i nieludzko szczęśliwa.

Gdy się żegnali w parę godzin potem, odezwał się żartobliwie, całując jej ręce:

— A więc ekonom pogrzebany. Pozostaje tylko Jan Tarnowicki.

— Już go zwyciężyłeś — szepnęła w uśmiechu.

Odtąd żyła oczekiwaniem wieczoru. Raz księżna popatrzyła na nią z troską w oczach.

— Czy dobrze się czujesz, kochanko? — spytała odkładając szycie.

— Dobrze, proszę księżnej pani — odparła rumieniąc się.

— Wyglądasz na szczęśliwą, a z tym każdemu do twarzy — westchnęła księżna.

— Rada bym, gdyby u nas spotkało cię co dobrego.

— Dziękuję księżnej pani, dobrze mi jest w Tarnowicach.

Adelka podejrzliwie przyglądała się przyjaciółce.

— Ogromnie się zmieniłaś — zauważyła któregoś ranka.

— Czy zbrzydłam? — spytała kokieteryjnie Valentine.

— Wprost przeciwnie, jeszcze wypiękniałaś. Chyba nie jesteś zakochana w adiutancie generała Gulbina? Bardzo cię emablował, to prawda, ale...

Nawet Cezary rzucał na nią przenikliwe spojrzenia, relacjonując wyniki działalności Liberatora czy toż opowiadając o Wojnie Stuletniej.

Park tarnowicki w nocy stawał się zaczarowaną krainą. Spacerując po ciemnych alejkach przeważnie milczeli, zbyt szczęśliwi z tego, że są razem, by potrzebowali mówić. Za to w pawilonie mogli rozmawiać swobodnie. Grube mury nie przepuszczały żadnego dźwięku. Przeważnie byli sami. Jeśli czasem znajdował się tam jakiś spiskowiec, Liberator posuwał swą delikatność do tego stopnia, by nigdy nie widziano z nim Valentine. Dzięki temu poznała inny pokój, którego drzwi były dotąd zawsze zamknięte.

Jednej nocy, gdy usłyszeli hukanie puszczyka, Liberator wstał z kanapki i otworzył tajemnicze drzwi.

— Wejdz, proszę, nikt cię tu nie zobaczy.

Valentine z biciem serca przestąpiła nieznany dotąd próg i znalazła się w sypialni, ślicznej sypialni kobiety, sądząc po mebelkach i bibelotach.

Na komódce paliła się alabastrowa lampka, a w jej przyćmionym świetle lśnił jedwab obić i żółte, atlasowe zasłony u okien. Ścianę na wprost łóżka zajmował wielki portret kobiecej postaci w balowej toalecie. Nie lada to musiał być mistrz, jeśli tak potrafił oddać blask oczu, uśmiech i wdzięk modelki. Panujący w pokoju półmrok przydawał jej pozorów życia. Robiła wrażenie, że za chwilę przestąpi ciężką, złoconą ramę i usiądzie przed weneckim lustrem toaletki.

Valentine stała urzeczona czarem tego gniazdka i jego właścicielki. Tak zastał ją Liberator.

— To jego matka, prawda? — spytała zdławionym szeptem. — Jaka piękna... Babette mówi, że on do niej podobny, ma ten sam uśmiech i oczy. Dziwię się, że ten portret wisi tutaj zamiast w jego sypialni.

— To był jej pawilon, sama mi mówiłaś, a ten portret może zawsze tu wisiał? Może ona tak chciała? Nie wiadomo. Widzisz, w jakim idealnym porządku Dominik utrzymuje tu wszystko.

— Aż strach głośno rozmawiać. Jeśli jej przeszkadzamy...

— Na pewno nie. Opowiadałaś, jak się kochali, ona i pan Tarnowicki. To pokój nasycony miłością. Nie jesteśmy w nim intruzami. Usiądź w tym foteliku, a tu,

widzisz, na stoliczku, to jej nie dokończona robótka...

Valentine z lękiem dotknęła cienkiego płótna, w którym dotąd tkwiła igła, nawleczona barwnym jedwabiem.

Liberator wyciągnął się na dywanie u jej nóg, no wprost portretu.

— Raz jeszcze chciałbym ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham, tym razem przy świadku — podniósł ku niej zamaskowaną twarz. — O, przy tej pani — wskazał portret i przytulił głowę do jej kolan.

Valentine zanurzyła palce w ciemne włosy i dotknęła wstążki przytrzymującej maskę. Wystarczyłby jeden ruch, jeden mały ruch, a opadłaby zasłona kryjąca ukochanego.

— Wiesz — powiedziała z nagle obudzoną przekorą — mogłabym zdjąć ci maskę i nareszcie zobaczyć, jak naprawdę wyglądasz. Nawet byś nie spostrzegł..

Nie odpowiedział, tylko wtulił twarz w jej suknię.

Wpatrzona w portret wodziła palcami po wstążce, kawałku jedwabnej szmatki, twardszej jednak od stali. Jej ręce nigdy nie będą miały dość siły, by wbrew jego woli zerwać przeszkodę, dzielącą ją od twarzy wybawiciela. Wiedział o tym. Po chwili, oparty na łokciu, patrzył w nią uśmiechnięty, a przyćmiony blask lampki lśnił w bieli zębów, kontrastującej z czarnym aksamitem maski.

— Może tak bardzo byś się rozczarowała, że nie chciałabyś więcej mnie oglądać? —

powiedział zagadkowo. — A może też i przez próżność ukrywam przed tobą moją twarz?

— Raczej przez próżność. Jesteś teraz jak ten królewicz zamieniony w potwora...

— Znałem dużo bajek na ten temat. W jednych zły czarownik zamienił królewicza w żabę, w innych w niedźwiedzia. Ale najbardziej lubiłem taką, gdzie królewicz pokutował pod postacią raka, wielkiego, czarnego, odrażającego kraba. Zły czar przysłby, gdyby dziewczyna czystego serca oddała mu swą rękę, ale od jakiej dziewczyny mógł spodziewać się podobnego poświęcenia? Żadna zresztą nie wiedziała, że był królewiczem...

— Jednak znalazła się ta odważna?

— Odważna i dobra. I w momencie, gdy wkładała swą rączkę w rakowe szczypce, z królewicza opadła wstrętna pokrywa i spod skorupy ukazał się piękny i wspaniały młodzieniec. Pamiętam słowa, jakie towarzyszyły tej metamorfozie. Dziewczyna dla dodania sobie otuchy, podając mu rękę, mówiła: „Wszak rak też stworzenie boże” i wtedy następowała przemiana. — Zamilkł i zamyślił się na chwilę. — Tę bajkę opowiadała mi matka — dodał ciszej.

— Będę cię więc chyba nazywać królewiczem Rakiem — pochyliła się z czułością ku zamaskowanej twarzy. — Jesteś dla mnie bezimienny, nie mogę przecież ciągle mówić „Liberatorze”.

— Nie mówisz tak, wybrałaś, zdaje się, najlepsze imię, jakie mógłbym nosić. Powiedz, proszę...

— Najdroższy — szepnęła. — Najdroższy. Tak, to twoje imię, zawsze będziesz dla mnie Najdroższym...

Tak go nazwała od pierwszego dnia ich miłości. I tak zostało. Imię to doprawdy pasowało do niego, bo czyż nie był dla niej wszystkim?

— Jesteś więc, Waleńciu, narzeczoną Najdroższego. Chciałbym tylko, aby na twoim paluszku błyszczał jego pierścionek.

— To niemożliwe — przestraszyła się. — Wiesz dobrze, że nie mogę nosić żadnego pierścionka. Zaraz by mnie wszyscy pytali. Kiedyś, jak już będzie można...

— To chociaż ci go pokażę, właśnie przyniosłem... — Liberator dobył spod kurtki małe pudełeczko, wybite wewnątrz białym aksamitem. Na jasnym tle błyszczał wspaniały szafir niezwykle czystej wody.

— Był to zaręczynowy pierścionek mojej matki. Miała piękne ręce, stworzone do klejnotów... jak twoje...

Valentine spogląda na swoje szczupłe palce, których nie zdoła najskromniejszy nawet kamień.

— Mam tylko ametystową broszkę po mamie, nic więcej. I to o mało jej nie zgubiłam, odpięła się, położyłam ją na klawikordzie, bo właśnie grałyśmy z Adelką, i zapomniałam... Dopiero późnym wieczorem, rozbierając się, zauważyłam jej brak. Zeszłam do małego salonu, to było latem, rok temu, i wiesz... widziałam go, siedział na tarasie.

— Kogo widziałas? — zainteresował się.

— Jego... „Jaśnie panicza”. O Boże, jakże się bałam, by mnie nie zauważył! Siedział

odwrócony plecami, dlatego nie widziałam twarzy. Chwyciłam broszkę i pognałam na górę.

— Więc widziałaś go?... Byłaś tak blisko, a on się nawet nie obejrzał...

— Nie znosi, by ktoś na niego patrzył. Gdy Dominik wyprowadza go na taras, nikomu nie wolno kręcić się w pobliżu. Nawet nie wiesz, jak jest drażliwy na tym punkcie. Ale to zrozumiałe — kaleka...

— Jesteś tak dobra, że znajdujesz wytłumaczenie każdego dziwactwa.

— To nie dziwactwo, Najdroższy.

— Już go bronisz. W ogóle za dużo o nim myślisz.

— Teraz już nie... tylko czasem...

— Głupiec — mruknął podnosząc się — nieszczęsny głupiec!

Pan Ostreyko przyjechał po południu. Było skwaro, pachniało świeżo skoszone siano, a w powietrzu brzęczały pszczoły. Valentine usiadła na ławeczce w cieniu dębu olbrzyma, obserwując Adelkę i gościa grających w serso. Do niedawna i ona brała udział w zabawie, ale zmęczyła się upałem i wołała posiedzieć w cieniu. Kremowa suknia Adelki i jej duży słomkowy kapelusz tworzyły jasną plamę na trawniku. Pan Ostreyko w popielatym garniturze poruszał się z wdziękiem, łapiąc kółko na kijek lub zręcznym rzutem posyłając je partnerce.

Valentine zastanawiała się właśnie, jaka ładna z nich para, gdy z tarasu zszedł Dominik, kierując się w stronę grających.

Widziała, jak zbliżył się do pana Ostreyki i coś mu powiedział, słów jednak nie dosłyszała. Pan Ostreyko skłonił się przed Adelką i pospieszył za służącym. Dziewczynka, pozostawiwszy na placu kije i kółka, usiadła na trawie przy ławce przyjaciółki.

— Jan przysłał po pana Edwarda — powiedziała nadasana. — Albo nie chce nikogo widzieć, albo w najnieodpowiedniejszym momencie zabiera mi partnera!

— Tak wykrzykiwaliście, że trudno było was nie słyszeć. Ale to dobrze, że wreszcie zapragnął zobaczyć przyjaciela.

— Akurat wówczas, gdy mam ochotę na serso.

— Powiedz, że raczej na rozmowę z przyjacielem. W serso możesz grać ze mną. Chodźmy.

— Nie powiem, abym nie lubiła pana Ostreyki, jest przecież niezwykle sympatyczny, ale ty, Waleńciu, wyobrażasz sobie zaraz Bóg wie co...

— Niczego sobie nie wyobrażam. O, idzie Cezary, on może ci partnerować, jeśli nie chcesz ze mną.

— Ech, Cezary! Jeśli mam grać z Cezarym, to wolę wcale.

— Cezary doskonale gra w serso, grałam z nim nieraz i...

— Gra aż za dobrze, ale co się przy tym nasłucham, to aż uszy wędną. Cezary zupełnie schamiał, przestając ciągle w stajni... zobacz, ten chłopiec znowu coś je.

Cezary rzeczywiście poruszał szczękami, zbliżając się do ławki.

— Co jesz? — Adelka odzywa się do brata ostrym tonem dorosłej osoby.

— Język. Chcesz kawałek? Spróbuj, jaki smaczny.

— Ty obrzydliwcze, zawsze coś musisz żuć!

— Nie żuję, tylko jem — sprostował z godnością.

— To wszystko jedno... żarłoku!

— Żeby nie wiem ile zjadł, to i tak nie będę gruby, a twojej talii, mimo że zjadasz na podwieczorek tylko kawałeczek ciasta, daleko do osy. Nie spojrzalbym na takie jak ty.

— Słyszysz, Waleńciu, co on plecie? Grubianin! To ciebie nie zechce żadna panna! Będiesz zbierał kiedyś kosze na kopy.

— Nie kłóćcie się, doprawdy nie wypada. Cezary, czas najwyższy, abyś zaczął zachowywać się rycersko wobec siostry, a ty, Adelko, nie strofuj go ciągle.

— Mam się zachowywać rycersko wobec tej... tej... źmii? Gdy jej nadepnąć na ogon, zaraz syczy.

Adelka pochwyciła kijek od sersa i zamierzyła się na brata. Na szczęście nadszedł pan Ostreyko. Cezary, pokazawszy siostrze język, skoczył w krzaki.

Pan Ostreyko znowu miał ten swój dziwny wygląd: brwi zmarszczone, a spojrzenie jak gdyby nieobecne. Zaproszony, usiadł między dziewczętami, ale patrzył uparcie w ziemię.

— I cóż... Jan? — zaryzykowała Adelka.

Pan Ostreyko nie zdążył odpowiedzieć, bo od strony domu nadbiegł Cezary.

— Przyjechał adiutant generała Gulbina z listem do papy — oznajmił zdyszany. — Są w salonie. O, idą... A po co Dominik?

Z tarasu schodził pan Tarnowicki z błyszczącym adiutantem. Za nimi kuśtykał Dominik, niosąc ostentacyjnie klucz.

Pan Ostreyko jeszcze bardziej spochmurniał.

— Czyżby szli do pawilonu? — Cezary wyciągnął szyję i popatrzył niespokojnie na ojca. — Nie, dalibóg do pawilonu!

Cała czwórka wstała.

— Chodźmy za nimi — Adelka pociągnęła Valentine w stronę alei.

Cezary wyprzedził dziewczęta. Bocznymi drózkami przemykał się w stronę posągu satyra. Był na miejscu pierwszy i przykucnięty za cokołem widział i słyszał wszystko.

Dziewczęta kluczyły, kryjąc się za drzewami. Nie miały odwagi podejść zbyt blisko, by ich nie zauważono.

— Nie uwierzyli papie, nie uwierzyli — szeptała Adelka. — Boże, Boże, co będzie, jeśli znajdą ślady Liberatora?

— Nie znajdą — oświadczyła z mocą Valentine. — On przecież ostrożny.

Po pewnym czasie z drzwi pawilonu wyszedł elegancki adiutant wraz z panem Tarnowickim, i mrużąc oczy przed słońcem, rozejrzał się dokoła. Dominik zamykał starannie drzwi.

— Mówilem panom, że od śmierci mojej żony nikt nie wchodzi do pawilonu z wyjątkiem Dominika — głos pana domu był chłodny, bezosobowy.

— Ani przez chwilę nie wątpiliśmy w pańskie słowa — zapewnił żarliwie adiutant. — Tylko... pawilon daleko, pan może nie wiedzieć, co się tu dzieje. Śliczny zakątek, doprawdy prześliczny... A Dominik to prawdziwa perła! Jaki porządek, jak wzorowo wszystko utrzymane!

— Tak każe jaśnie panicz — mruknał Dominik, nieczuły na pochwały.

— Znowu węszą — Cezary przyczółgał się do dziewcząt — szukają nowego zbiega.

Tej nocy, Valentine nie szła, lecz biegła na zwykłe spotkanie, tak jej było pilno zobaczyć go, upewnić się, że jest, że nie spotkała go żadna zła przygoda.

Z drzwi pawilonu wyszła wysoka, ciemna postać. Mężczyzna zatrzymał się, jak gdyby w oczekiwaniu, ale Valentine była już przy nim, chwytając go za ramiona, szczęśliwa, że nic się nie stało. Dopiero gdy pochylił nad nią zamaskowaną twarz, zdała sobie sprawę, że to nie on. Obce oczy przyjrzały się jej ciekawie, obce, ale jak gdyby już znane. Tylko skąd?

Odskoczyła równie gwałtownie, jak przed chwilą rzuciła się w ramiona nieznanemu.

— Nie ma go — szepnął ten ostatni. — Dziś nie przyjdzie. Zatrzymały go ważne sprawy.

— Czy... nic złego? — nieufnym spojrzaniem obrzuciła zamaskowanego.

— Wszystko w porządku, proszę być spokojną.

Wracała powoli, a park wydawał się jakiś obcy, niemiły, niemal wrogi. W głównej alei spotkała Ramzesa. Pies podbiegł kręcąc ogonem — przelał na nią część sympatii, jaką darzył Liberatora — po chwili jednak zrozumiał, że jest sama, oddalił się we własnych, ciekawszych widać sprawach.

Długo nie mogła zasnąć, wyobrażając sobie, gdzie on teraz i co robi. Nigdy o tym nie rozmawiali, nie wypytywała o jego nocne życie, a on nie chciał kłaść na jej barki najmniejszego ciężaru. W razie czego nic przecież nie wiedziała. Kogoś pewnie ratował od więzienia gorszego niż śmierć, komuś umożliwiał przedostanie się do Francji i rozpoczęcie nowej egzystencji na wolnej ziemi. Żył dla innych, nie dla siebie, i pierwszy raz, odkąd go poznała, zadała sobie pytanie, czym się to dla niej skończy? Jak długo trwać będą potajemne spotkania w pawilonie? Bała się odpowiadać, wiedziała, że nie wolno jej myśleć egoistycznie tylko o sobie.

Poza tym byli przecież zaręczeni, mimo że na jej palcu nie błyszczał pierścionek; przyjdzie jednak dzień, gdy jawnie, wobec całego świata nosić będzie ten wspaniały szafir, który jej pokazał.

Nie widzieli się przez cztery dni, ale przez ten czas regularnie dochodziły do niej echa jego niebezpiecznej działalności.

— Prusacy schwytali chłopą, który przechował uciekiniera z za kordonu — relacjonował wzburzony Cezary. — Strasznie go zbili i zamknęli w więzieniu, a następnej nocy, pod eskortą, odesłali do miasta. Ale Liberator odbił go, była wielka bitwa, dwóch naszych poległo. General Gulbin nie pozwolił przy ludziach zdjąć im masek, dopiero w koszarach. Wie pani, kto to był? — chłopiec pociągnął nosem, a jego oczy ponuro zabłyśły. — Jeden to pan Abakanowicz, trafiony w samo serce, a drugi to zarządzający księcia Ponińskiego. Podobno żył jeszcze, ale zaraz zmarł.

Zalobna wieść rozeszła się lotem błyskawicy, budząc żal wśród przyjaciół i znajomych poległych.

— Nie wiadomo, kto doniesie pani Abakanowiczowej — westchnęła ciężko Babette, która wieczorem zjawiała się w pokoju Valentine. — Nikt nie ma odwagi zawiadomić ją o tragicznej śmierci syna. Poległ w obronie człowieka, bo chłopą uratowano, dobrze już ukryty, przepadł jak kamień w wodzie.

— Księcia Ponińskiego wzywano do miasta — szeptała nerwowo Adelka, oglądając się na wszystkie strony. — Wielkie miał nieprzyjemności, że jego administrator był „członkiem niebezpiecznej bandy”, jak się wyraził general Gulbin. Nie wiadomo, co jeszcze będzie, bo i jego samego Prusacy oskarżają o „sprzyjanie bandytom”. Boże, Boże, tak się boją o Liberatora.

Piątej nocy Valentine nie potrafiła opanować niepokoju. Gotowa każdej chwili

do wyjścia, stała w oknie, wyczekując wezwania czy znaku.

Wreszcie coś mignęło w ciemniejszej ścianie drzew. Tak, to on... Czeka na nią... Nie zachowując prawie zwykłej ostrożności zbiegała na dół, niecierpliwie otwierała drzwi, spieszyła trawnikiem. Ramzes przywitał ją z większą zazwyczaj radością. A on...

— Najdroższy... — więcej nic nie zdołała wykrztusić ze ściśniętego gardła.

Gdy tulił ją do siebie, wiedziała, że cudem ocalał, że przeznaczona dla niego kula zoczyła z drogi, odbita od pancerza, jakim otoczyła go jej miłość.

Ciasno objęci poszli wolno do pawilonu.

— Biedny pan Abakanowicz, taki młody...

— powiedziała, gdy już siedzieli w przytulnym saloniku.

— To bohater — rzucił krótko — a ten drugi, Bielawski, zostawił żonę i dzieci... Już się nimi zająłem.

— A stary ksiązę Poniński?

— Da sobie radę, ma stosunki. To nie biedny, bezbronny chłop, wydany na pastwę wroga, Waleńciu... myślałem właśnie że i ja... mogę przecież zginąć. Nie przerywaj, wszystko jest możliwe. Dlaczego Abakanowicz, a nie ja? W takim wypadku nie zostaniesz sama. Zabezpieczyłem cię. Nie będziesz potrzebowała tulać się po obcych domach. Mam ojca... wiem, że spełni moją ostatnią wolę. Będziesz miała dom i rodzinę... i osobisty majątek. Będziesz

niezależna. Jeśli zechcesz, wrócisz do Francji.

— Nie wrócę — powiedziała prawie szorstko — tu zostanę, wiesz, że nie mam do kogo wracać.

— Waleńciu, proszę cię, tylko nie płacz, przecież żyje, kocham cię, jestem z tobą...

— Teraz jesteś, ale co będzie jutro... — nie potrafiła powstrzymać rozpaczliwego szlochu.

Jutro znowu zaczęła się niebezpieczna gra. Tym razem chodziło o jednego z członków Rządu Narodowego, który dotąd ukrywał się w Królestwie. W swoim czasie nie był w stanie wraz z wojskiem przekroczyć zbawczej granicy. Feldmarszałek Paskiewicz i carska policja poszukiwali go dotąd jak igły w stogu siana. Wreszcie, gdy grunt zaczął mu się palić pod nogami, udało się zbiegowi, zmyliwszy ślady, dotrzeć do granicy. Dalej Liberator i jego ludzie zrobili swoje i uciekinier znalazł się nareszcie w bezpiecznym miejscu, czekając na możliwość przedostania się do Francji. Tym razem jednak Prusacy nie dali za wygraną. Do miasteczka nadeszły posiłki, potrojono graniczne straże, a oddziały wojska przemierzały okolicę. Przetrzęsano każdą kępę drzew, każde domostwo. Na drogach włóczyli się jacyś nieznajomi. Za murem tarnowickiego parku spotykano podejrzanych osobników, wyraźnie postawionych dla obserwacji. Generał Gulbin

i jego wytworny adiutant nie przekraczali jednak ozdobionej herbem bramy, choć co dzień oczekiwano ich wizyty.

Minał sierpień, wieczory zrobiły się chłodne i nie zapraszały do spaceru. Dłuższe noce i częste deszcze sprzyjały ryzykownej grze grupki szaleńców. Coraz rzadziej Valentine wymykała się o północy do pawilonu, było to teraz niebezpieczne, zważywszy na kręcących się wszędzie szpiegów. Myślała z rozpaczą o jesiennych szarugach i o zimie, ale wiedziała, że on i na to znajdzie jakąś radę, że i jemu zależy przecież na ich spotkaniach.

W Tarnowicach panowała przedburzowa atmosfera. Wszyscy żyli w napięciu, czekając na coś, co wydawało się nieuniknione. I tak zbiegło to pamiętne lato.

* *
*

Zdemaskuję go, dziś jeszcze go zdemaskuję! Ta myśl od rana nie daje mi spokoju. Czas chyba najwyższy... Będzie to kulminacyjna scena filmu! Widzowie powinni przecież wychodzić z kina pod wrażeniem!

Gdy jemy śniadanie, przyjeżdża Cyryl. Autobusem, bo samochód Dodka zepsuty. Ares zanosí się szczęśliwym szczekaniem i nikomu nie daje dojść do głosu. Cyryl nic nie mówi, tylko przytula zmarznięty policzek do

mojej ręki. Wiem już, dlaczego przyjechał. Gienia podaje najlepszy dżem malinowy, ten „od wielkiego dzwonu”, i nalewając herbatę rzuca na nas ukradkowe spojrzenie.

— Chciałem ci powiedzieć... — szepcze Cyryl w moje włosy.

Gienia odpędza się od Aresa, który natrętnie napie ra się trzeciego herbatnika.

— Mam tylko kwadrans, ten cholerny gruchot Dodka znowu nawalił, ale musiałem przyjechać...

Gdy zostajemy same, Gienia taktownie nie zadaje pytań. Po śniadaniu nie chce mi się nic robić. Układam się wygodnie i próbuję zasnąć. Więc jednak przyjechał. A ja już myślałam... Boję się posuwać marzenia za daleko, choć wszystko świadczy, że Cyryl... Ciche pukanie nie daje mi zapaść w drzemkę.

Do pokoju wchodzi Julian, zmieniony nie do poznania. Twarz ma zaczerwienioną, wykrzywioną płaczem, zmięta pidżama wisi na nim jak na kołku.

Stoi chwilę, mrugając oczami, po czym wali się w poprzek mego łóżka i wybucha łkaniem. Podkurczam bolącą nogę, żeby mi jej nie uraził, i czekam, aż paroksyzm minie.

— To ona... zamieniła mi je! A ja myślałem... myślałem, że dla mnie... że chciała być ze mną... że ja... że dla niej... i pieniądze, co mi ojciec dawał... ja dla niej... i raz zabrałem kielbasę od gosposi... taka była biedna... i wtedy... u ciebie w domu... byłem z nią. To nieprawda, że te rysunki... To ona

chciała... chciała mieć takie miejsce, a ja myślałem, że chciała ze mną... że dlatego... a ona tylko, żeby twoje klucze... Ja nic nie wiedziałem! Nie podejrzewałem... Głupi!... Głupi!

Dałam mu się wyplakać i wyzalić do syta. Gdy wreszcie zamilkł, zmęczony, wtuliwszy twarz w kołdrę, powiedziałam:

— Uspokój się, zobaczysz, wszystko będzie dobrze...

— Ja... ja chciałem się z nią ożenić!

— Szczęściem nie dojdzie do tego. Ładnie byś na tym wyszedł! No dość, nie becz już. Czasami w życiu tak się człowiek natnie. Ale tyle masz jeszcze przed sobą. Zobaczysz... życie nie jest złe!

Julian podnosi zapuchniętą twarz.

— A co Cyryl?

— Eh — macham ręką — idź się lepiej umyć, bo wyglądasz jak strach na wróble. Jak Romek zobaczy cię w takim stanie...

Nareszcie jestem sama i przymykam oczy. Czuj dziwny spokój i pewność, że Cyryl załatwił wszystko najlepiej, że nie potrzebuję się o nic martwić, bo to wszystko Cyryl... I nie czekając wieczoru, zaczynani snuć swoją codzienną opowieść, prawdziwą-nieprawdziwą, była-niebyła, prowadząc do koronującego go happy endu.

Właściwie powinnam może dać jej tragiczne zakończenie? Pozwolić, by zatriumfowała hrabina-zdrajczyni, by pochwycono bohatera i zakutego w kajdany zamknięto w ponurym lochu pruskiej twierdzy? A może niechby

Niemcy wydali go carskim siepaczom? W takim razie Sybir... A Waleńcia dobrowolnie podzieliłaby los ukochanego... Jakże to świetnie wyszłoby na ekranie! Bezkręśna, śnieżna równina i ich dwoje... Zupełnie jak w starym polskim filmie, który widziałam kiedyś w „Iluzjonie”. Byłoby to może zakończenie bardziej w stylu epoki — ale mnie osobiście nie odpowiada! W obecnym nastroju nie zniosłabym klęski. Zakończenie więc będzie dobre, szczęśliwe, wbrew „nowej fali”, pokazującej ciemne strony życia. Przed chorobą i ja zachwyciałam się takimi filmami, interesowała mnie wyłącznie problematyka współczesnego świata, ale dziś... Dlaczego wszystko się tak zmieniło?

O „nowej fali” myślę teraz z obrzydzeniem. Chcę, żeby mój film, jako „najnowsza fala”, pokazał piękno życia i ludzi wewnętrznie bogatych, a nie znudzone i zblazowane marionetki, które same nie wiedzą, czego chcą. Ludzi naprawdę młodych i cieszących się szczęściem, a nie przedwcześnie postarzałych „młodych starszuchów”, pozbawionych jakichkolwiek zainteresowań poza jeszcze jedną erotyczną przygodą, czekającą ich za zakrętem ulicy. Tak, ciekawam tylko co o mojej najnowszej koncepcji filmu powie Cyryl. Zresztą to już niczego nie zmieni!

Wieczór dwudziesty pierwszy

Przyjechali, gdy się ich nikt nie spodziewał: w środku nocy. Ale ponieważ oczekiwano tej wizyty, Valentine nie odczuła nawet zaskoczenia. Ze snu wyrwał ją hałas, chrzęst żwiru, brzęk broni, stukot kopyt, podniesione głosy komendy. Trawnik przed domem zaczernił się od ciemnych sylwetek żołnierzy. Zbudzone niezwykłym o tej porze harmiderem psy podniosły piekielny hałas. Mieszkańcy zrywali się z łóżek pewni, że się pali. Ponieważ nie dość szybko otwierano, nocni przybysze zaczęli walić kolbami w drzwi. Mocne, dębowe deski głuchym łomotem odpowiadały na ciosy, lecz ani drgnęły pod naporem brutalnej siły. Po chwili na pół ubrany pan Nowiak osobiście odsuwał rygle, ukazując mimo niezwykłości sytuacji spokojną twarz.

— Wpuszczać! — zagrzemiał daleki od dotychczasowej uprzejmości głos generała Gulbina.

— Pan generał? O takiej porze? Czy coś...? — zaczął pan Nowiak, lecz popchnięty z całą bezwzględnością przez napastników zatoczył się pod ścianę, z trudem zachowując równowagę.

Na marmurowych płytach westybulu zastukały buty i dźwięknęły ostrogi. Ostry głos kierował poruszeniami żołnierzy. Z drugiego piętra zbiegała wystraszona służba, na niższym korytarzu słychać było

otwieranie i zamykanie drzwi i pytające głosy państwa. Gdy Valentine znalazła się na schodach, byli tam już księżna, Adelka i Cezary, a pan Tarnowicki w jedwabnym szlafroku w czarne i zielone pasy schodził powoli ze zmarszczonym czołem. Antoni pospiesznie zapalał świece.

— Czy mógłbym dowiedzieć się... — głos pana domu był jak zawsze chłodny i opanowany.

— Aresztuję pana — przerwał gwałtownie generał. — Brać go — dodał w stronę żołnierzy.

— Aresztuje mnie pan? — Pan Tarnowicki nie stracił zimnej krwi. — Za co?

— Za to, że udziela pan schronienia bandytom.

— To kłamstwo.

— To prawda. W Tarnowicach ukrywa się Liberator.

— Nie znam. Nie ukrywam nikogo.

— Za to my znamy. Za mną — to ostatnie zdanie skierowane było do towarzyszącej świty.

Elegancki adiutant z trzaskiem otworzył drzwi wielkiego salonu.

— Światła! — rzucił Antoniemu.

Pan Tarnowicki szybkim krokiem znalazł się w pokoju.

— Jeśli panowie chcecie przeszukać dom, nie stawiam oporu, ale... Dokąd panowie idą?

— Poruczniku von Horst — zagrzmiął w odpowiedzi generał — powierzam panu tego człowieka. Proszę nie spuszczać go z oka, a w razie próby ucieczki...

Przy boku pana Tarnowickiego wyrósł wezwany oficer, skinąwszy na kilku żołnierzy.

Domownicy stłoczyli się w jednym kącie salonu dokoła księżnej, której siwa głowa bieląca w migotliwym blasku świec. Adelka dygotała, uczepiona ramię Valentine. W drzwi wsunął się zapomniany na górze kot Marcin.

— A pójdiesz! — pilnujący wejścia żołnierz zamierzył się na zwierzę nadzianym na karabin bagnetem.

Wystraszony kot błysnął zielonym spojrzeniem i jednym susem dopadł Babette, która chwyciła ulubieńca na ręce, mrużąc pod adresem Prusaka dawno już wyszłe z mody francuskie obelgi.

Wytworny adiutant pewną ręką otwierał drzwi do dalszych pokoi. Tuż za nim szło dwóch żołnierzy i z nastawionymi jak do ataku bagnetami. Zatrzymali się przed apartamentem kaleki.

— To są pokoje mego syna — zaprotestował pan Tarnowicki.

— Otwierać — odpowiedział generał.

— Oprócz chorego jest tam tylko stary sługa.

— Sami się przekonamy, kto tam jest.

— Doprawdy, panowie...

Drzwi, pchnięte silną ręką adiutanta, otworzyły się tak gwałtownie, że napierający z obu stron żołnierze wpadli z hałasem do środka.

W olbrzymiej sypialni było prawie ciemno, gdyż paliły się tylko dwie świece, ustawione w jednym rogu na małym stolyczku. Reszta pokoju tonęła w głębokim mroku. W tym tak niedostatecznym oświetleniu stał Dominik, zupełnie ubrany, widać nie kładł się wcale. W przeciwległym rogu, najbardziej oddalonym od światła, siedział kaleka, odgradzony od sługi wielkim łóżem, które wysuwało ku wchodzącym pięknie rzeźbione kolumny.

— Zapalić wszystkie świece — rozkazał generał.

— Chwileczkę — z fotela, w którym siedział chory, dobył się chrapliwy szept. — Czego pan sobie życzy?

— Przyjrzeć się panu i pańskim apartamentom rzucił ostro generał, postępując naprzód.

— Chwileczkę — powtórzył ledwo dosłyszalnie chory. Twarz jego odznaczała się w mroku jaśniejszą plamą. — Dominik pokaże, co trzeba.

— Sam zobaczę — huknął zniecierpliwiony generał przywołując gestem adiutanta.

Kaleka wyciągnął rękę.

— Niech pan zaczeka, baronie von Gulbin.

Na rozkaz adiutanta żołnierze ustawili się po obli stronach fotela. Generał podszedł jeszcze bliżej i zajrzał w twarz kaleki.

— A teraz pogadamy, mój panie — powiedział grubiańsko.

— Owszem, pogadamy — przytaknął chory. — Radziłbym jednak bez świadków.

—Panie generale — wmieszał się milczący dotąd pan Tarnowicki — ja też mam w Berlinie znajomości i...

—Grozi mi pan? — generał obrócił ku niemu purpurową z gniewu twarz. — Śmie mi pan grozić?

Widać było, że pan Tarnowicki z trudem zachowuje spokój. Zbitą przy drzwiach gromadkę domowników przebiegł dreszcz. Valentine zapytywała siebie, co będzie, gdy wyczerpie się cierpliwość pana domu. Księżna położyła uspokajającą dłoń na ramieniu zięcia.

— Wiem, kogo pan szuka — szept chorego jak gdyby wzmógł się na sile. — Pokażę go panu, przedtem jednak żądam rozmowy bez świadków.

— Tu ja dyktuję prawa, nie pan! — ryknął rozjuszony dowódca.

— Jeżeli nie przyjmie pan moich warunków...

— Odrzucam je, jak wszystkie dotychczasowe wykręty.

— Będzie pan żałować.

— Oczywiście! Moi żołnierze już dawno powinni batem wypędzić z pana chorobę!

— Czy pamięta pan dom... na Charlottenstrasse?

— Dom?... Dość zawracania głowy.

— Numer pięć.

— Nie rozumiem.

— To nic. Gdy porozmawiamy bez świadków...

— Sprytnie to pomyślane. I sądzi pan, że się panu uda?...

— Jestem przykuty do fotela. Proszę obstawić drzwi i okna. Charlottenstrasse numer pięć.

— Dość. Nie pan tu rozkazuje.

— Ja tylko proszę.

— Czego pan właściwie chce?

— Porozmawiać z panem w cztery oczy.

Generał Gulbin obejrzał się na swoich podwładnych.

Kamienne twarze oficerów i żołnierzy nie zmieniły wyrazu.

— Dobrze — burknął — dla dobra śledztwa. Niech wszyscy opuszczą ten pokój.

Pan Tarnowicki spojrział z niepokojem na syna i podszedł do księżnej.

Prusacy posłusznie skierowali się ku drzwiom.

— Moja rodzina zostanie — zadysponował kaleka — i guwernantka siostry, i Babette, i Dominik...

— Jak to? — oburzył się generał. — Chciał pan przecież rozmowy bez świadków?

— Bez pańskich świadków — sprostował chory. — Moi świadkowie potrzebni.

— Nie pozwalam.

— Jak pan sobie życzy. Ja warunków nie zmienię. Generał obejrzał się na drzwi, w których zniknął ostatni żołnierz. Widać trudno mu było powziąć decyzję.

— No, słucham — powiedział wreszcie z ociąganiem, gdy stało się zadość życzeniu chorego. — Niech pan mówi, tylko uprzedzam... Moi ludzie celnie strzelają...

Adelka wbijała paznokcie w ramię Valentine, nie spuszczać z twarzy brata przerażonych źrenic.

Chory podniósł głowę, jak gdyby nagle urósł. A potem odrzucił pled, okrywający bezwładne nogi, i wstał. Wysoki i wyprostowany, stanął nagle przed oniemiałym zgromadzeniem.

— Dziękuję panu, baronie — powiedział do generała normalnym głosem, na dźwięk którego pod Valentine ugięły się kolana.

Pan Tarnowicki prawie podbiegł do syna, ale ten jednym spojrzeniem osadził go na miejscu. Przez chwilę mierzyli się oczami.

— Tak — Jan pokiwał głową w stronę generała Gulbina. — Jestem tym, którego pan szuka. I wiem, kto mnie wydał.

— Liberator! — wyszeptała zdławionym głosem Adelka.

— Liberator! — powtórzył jak echo Cezary.

Liberator! — jęczało w duszy Valentine. — Boże, Boże!

Księżna podniosła rękę do twarzy, a Babette tak ścisnęła kota Marcina, że stworzenie miauknęło przeraźliwie, przestraszone niezwykłą pieszczotą.

— To ty? — pan Tarnowicki nie potrafił nic więcej powiedzieć.

— Ja, ojczy.

Twarz barona Gulbina promieniała.

— Wiedziałem — rzucił triumfująco. — Wyjdzie pan stąd w eskorcie moich żołnierzy.

— To jeszcze nie wiadomo — ostudził jego radość Liberator — choć przyznaję, że miał pan dobre informacje. Tymczasem porozmawiamy. — Z tymi słowami uczynił

zapraszający gest. — Proszę, niech wszyscy usiądą.

Valentine nie odrywała oczu od jego twarzy. Więc nareszcie widzi, wie, jak wygląda. Więc to on... tu... Jan Tarnowicki... kaleka... jaśnie panicz... Czy to możliwe? Pozostała nieco na uboczu, gdyż Adelka siadła przy księżnej, przy której skupiły się pozostałe w pokoju osoby.

— Panie generale — podjął swobodnie Liberator — zaproponuję panu pewien układ.

— Nie wchodzę w układy z bandytami — odparł porywczo generał. — Jeżeli to wszystko, co miał mi pan do zakomunikowania...

— O nie, to dopiero początek. Zaczniemy rozmawiać, gdy pan sobie przypomni dom przy Charlottenstrasse numer pięć i swoją tam bytność w ubiegłym roku.

— Co to ma do rzeczy?

— Na tym właśnie opierają się warunki, które zaraz panu podyktuję.

— Będzie pan dyktował warunki? — Generał aż poczerwieniał z gniewu. — Przecież jest pan na mojej łasce!

— Pan się myli, baronie von Gulbin. To pan znajduje się w mojej mocy.

— Więc to prawda. Mam do czynienia z szaleńcem.

— Z szaleńcem, który zmusi pana do posłuszeństwa.

— Tego już za wiele! — Mięsista twarz generała przybrała fioletowy odcień.

— Tak, panie baronie. Jestem bowiem w posiadaniu pewnego listu...

— Chce pan za pomocą pogroźek wymusić pobłażanie?

— O nie, ja tylko proponuję przysługę za przysługę. Niech pan nie zapomina, że rok temu ludzie Liberatora zawładnęli pocztą.

— Zwykły złodziejski napad!

— Nie zwykły, bowiem skrzynia z pieniędzmi nie tknięta. Zabrano tylko jedno pismo... Bardzo to interesujący dokument, i myślę, że w Berlinie wzbudziłby zrozumiałą sensację...

Generał Gulbin nagle poczuł się źle, wszyscy to zauważyli. Usiadł ciężko na podsuwane przez Dominika krzesło, a całym jego ciałem wstrząsały dreszcze.

— Może wezwać pańskiego adiutanta? — spytał współczująco Liberator.

— Nie trzeba — głos wydobywał się z trudem ze ściśniętej krtani generała. — Ma pan ten list, tak?

— Mam.

— Czego pan chce... w zamian?

— Listu nie oddam, zbyt cenny to dla mnie papier, *corpus delicti* pańskiej zdrady.

Generał poruszył się gwałtownie. Wydawało się, że na chwilę wróciła mu dawna energia. Trwało to jednak krótko, bo zaraz jeszcze bezwładniej opadł na siedzenie.

— To nie żadna zdrada — powiedział głucho — zwykle dyplomatyczne negocjacje...

— Nie wiem, jak nazwałby to Najjaśniejszy Fryderyk Wilhelm III. Obawiam się jednak,

że nie pochwaliliby pana za tajne konszachty z petersburskim dworem... Wierzę, że żołądca cara Mikołaja to zbyt nęcąca sumka, by jej nie pochwycić, zwłaszcza jeśli sama idzie w ręce. Do tego tytuły, ordery, zaszczyty...

— Niech pan przestanie — wycharczał generał. — Sam szatan skusił mnie do napisania tego listu.

— Szatan w ogóle dla pana łaskawy — przyznał uprzejmie Jan. — Więc przyjmuje pan wszystkie moje warunki?

— Przyjmuję... wszystkie.

— W takim razie możemy przystąpić do rzeczy. W oczach generała błysnęła trwoga.

— Jaka otrzymam gwarancję? — zaczął wahająco.

— Żadnej. Do końca życia pozostanie pan na mojej łasce. List znajduje się w Berlinie, w posiadaniu zaufanej osoby. Jeśli mnie, mojej rodzinie czy domownikom lub komukolwiek z ludzi należących do mego oddziału spadnie choć jeden włos, nie ręczę za pańskie bezpieczeństwo. Najjaśniejszy Fryderyk ma głębokie lochy dla zdrajców.

Głowa generała opadała coraz niżej.

— Daję panu słowo Polaka, że list ten nigdy nie trafi do królewskiej kancelarii, jeśli dotrzyma pan wiernie warunków naszej umowy. Nigdy żywa dusza nie dowie się o knowaniach oddanego sługi króla Fryderyka.

— A... pańscy świadkowie?

— Świadkowie moi są głusi i niemi. Pamięć obecnych wydarzeń zostawia w tej sypialni. Zapomną nawet, że złożył mi pan tej nocy wizytę...

— Co powiem moim oficerom? Jak wytłumaczę?

— Bardzo prosto. Powie pan, że celowo wprowadzono pana w błąd; że osoba, od której uzyskał pan tę absurdalną, powtarzam, absurdalną informację, działała na pańską szkodę i wbrew interesom Królestwa Pruskiego. Bo jakże wierzyć bajkom przeczącym rozsądkowi? Publicznie wiadomo, że od lat syn pana Tarnowickiego jest nieuleczalnym kaleką. Któż, jeśli nie wróg pana i pańskich podwładnych, poważy się szukać zuchwałego przywódcy w złamanym chorobą i dotkniętym bezwładem nieszczęśniku? Zresztą nietajna tak dla pana, jak i dla wszystkich w tej okolicy, krzywda, jaką ta osoba wyrządziła choremu...

— Hrabina! — krzyknął nie panując już nad sobą Cezary. — Zdrajczyni!

Jan uciszył brata uspokajającym gestem.

— Ponadto, panie baronie — tu spojrział na budzącą litość postać — poradzi pan tej osobie, by dla swego dobra opuściła te strony, skarciwszy ją uprzednio surowo za to, że kierując się prywatnymi pobudkami, sprowadziła śledztwo na manowce. To już chyba wszystko, prawda?

Baron Gulbin podniósł udręczoną twarz.

— Więc... mogę być spokojny? — spytał ochryple, ocierając mokre od potu czoło.

— Ma pan moje słowo i zna pan warunki. A teraz proszę zebrać siły do odegrania ostatniego aktu naszej małej komedii. Ja chwilowo powrócę na fotel, a Dominik poprosi pańską świtę. Zaczynamy.

Gdy generał, wystąpiwszy wobec podwładnych w narzuconej przez Liberatora roli, pożegnał zebranych w sypialni mieszkańców Tarnowie, Jan po raz pierwszy spojrział na Valentine.

Adelka i Cezary zagarnęli brata, uwiesiwszy się u jego ramion; rozgadani i szczęśliwi, nie dopuszczali do głównego bohatera ani ojca, ani babki. Babette szlochała z radości, szepcząc jakieś tajemnicze zaklęcia pod adresem dawno zmarłej pani. Nawet kot Marcin zrozumiał doniosłość chwili, gdyż wytrwale ocierał się o nogi ozdrowieńca, dopraszając się też odrobiny uwagi dla swej niewielkiej osoby.

Valentine chętnie wycofałaby się z tej rodzinnej sceny. Była tu przecież obca, całkiem więc zrozumiała, że nie ma dla niej miejsca w ogólnej radości, która zjednoczyła wszystkich z powodu tego jak gdyby zmartwychwstania dawno oplakanego syna. A cóż dla nich ona? Nie zatrzymywana przez nikogo, posunęła się ku drzwiom. Jan jednak dojrzał jej manewr i, trzymając ojca pod ramię, zbliżył się do nauczycielki.

Poczuła zalewający twarz rumieniec i pochwyciła zdumiony wzrok pana Tarnowickiego.

Jan stał już przed nią.

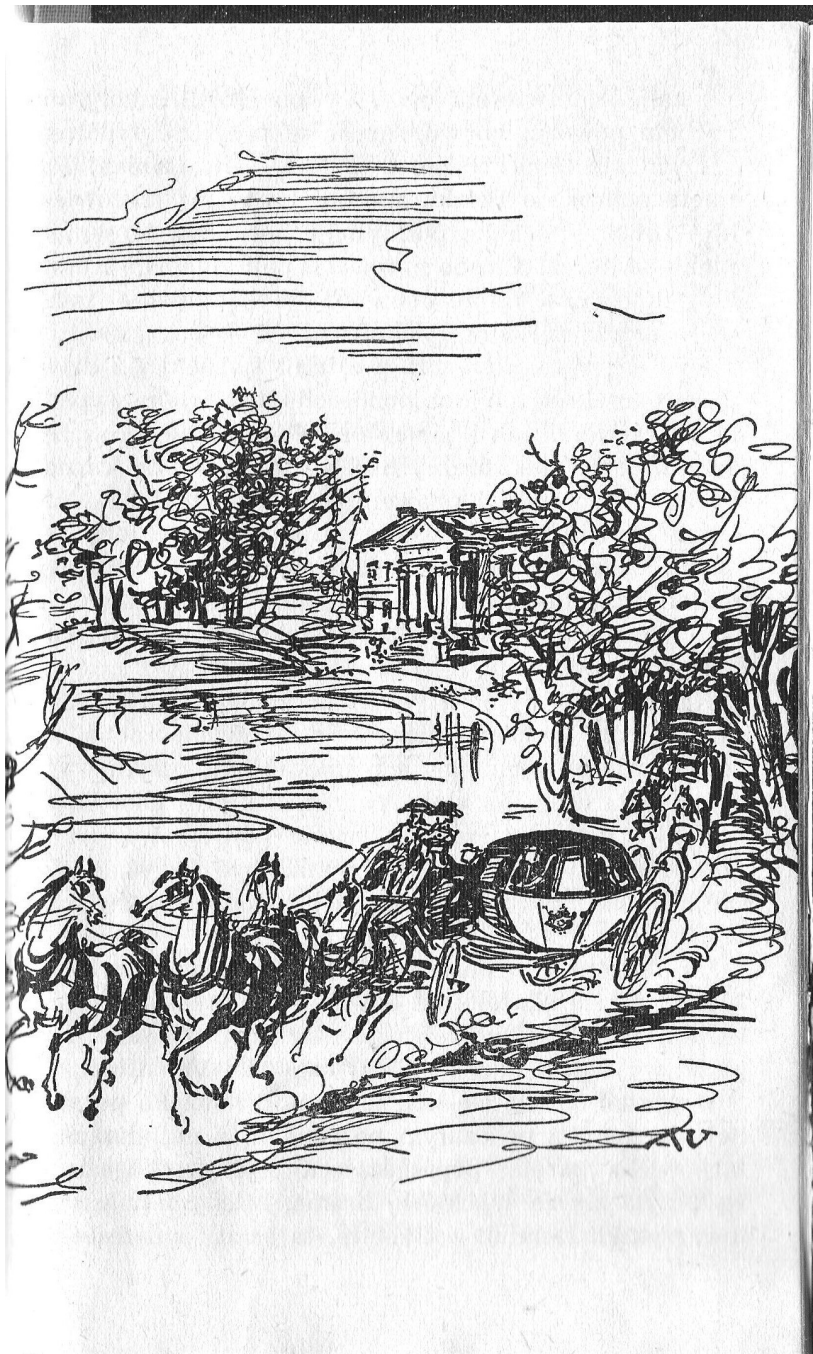
— Czy Rak okazał się królewiczem? — spytał, pochylając głowę, i zajrzał jej głęboko w oczy.

Deszcz dudnił o dach karety, a wicher pojękiwał w przydrożnych drzewach. Czwórka rwała naprzód wymarłym u schyłku dnia gościńcem, czując bliską stajnię i żłób pełen obroku. Valentine drzemała z głową opartą o ramię męża, a gdy koła podskakiwały, trafiwszy na kamień, otwierała oczy, by po chwili, ukołysana ruchem powozu, znowu zapaść w przyjemny półsen.

Dwa lata temu! Tylko dwa lata, a ileż zmian! Pamięta podróż do Polski, smutny krajobraz mazowieckiej równiny, trąbkę pocztyliona, swój lęk i osamotnienie. A teraz? Ciasno przywarła policzkiem do szorstkiej tkaniny, a ramię Jana objęło ją jeszcze mocniej, jeszcze bardziej opiekuńczo.

Tyle się wydarzyło przez ostatni tydzień! Aż dziw, że siedem krótkich dni pomieściło tak wiele wypadków! Najpierw Jan i Liberator... Cóż to było za szczęście dla ojca, dla rodziny! No, a dla niej? Pan Tarnowicki — wbrew jej obawom — nie stawiał zasadniczych przeszkód małżeństwu syna, choć w pierwszej chwili okazał zrozumiiałe zdziwienie. Był to przecież mezalians, ale dobrze znał miłość, która niweluje wszelkie nierówności urodzenia. Jako człowiek doskonale wychowany nie okazał więc dezaprobaty.

Najtrudniej było z wytłumaczeniem cudownego uzdrowienia „jaśnie panicza”. Postanowiono zachować to na razie w tajemnicy, a ponieważ najlepszym wyjściem była długa i daleka podróż, z której chory powróciłby uleczoney, zaczęto czynić



gorączkowe przygotowania do wyjazdu. Celem miał być Paryż, gdzie nie zbywało nigdy na słynnych i uznanych w świecie lekarzach.

Do sekretu przypuszczono jedynie pana Nowiaka, który, jak się okazało, od dawna współpracował z Liberatorem i jego ludźmi, oraz starego proboszcza, by przed wyjazdem udzielił ślubu Janowi i Valentine.

Wszystko odbyło się tak, jak zamierzono. Po porannej ceremonii i po czułym pożegnaniu z najbliższymi tarnowicka kareta, poprzedzająca brykę z bagażem, wytoczyła się za wjazdową bramę. Młodym państwu towarzyszyli Dominik i Babette, ta ostatnia uszczęśliwioną powrotem do roli „główniej pokojowej”. Stara Francuzka przyciskała do piersi torbę z biżuterią pierwszej pani Tarnowickiej. Wszystko to Jan ofiarował żonie.

Valentine zsuwa rękawiczkę i spogląda na zaręczynowy szafir.

— Babette tak cię wystroi, że zakasujesz panią de Flagny i podobne jej jędze — uśmiecha się Jan — jeśli w ogóle zechcesz ją zobaczyć. Ale chyba warto dać takiej nauczkę, co?

— Warto — przytakuje Valentine — tylko że nic a nic mnie ona nie obchodzi. Za to z całego serca podziękuję Madame Gavin.

— Razem podziękujemy, gdy wyzdrowieję...

— Och, kuracja będzie jak najbardziej skuteczna.

— A po „udanej kuracji” wrócimy do domu. Zresztą jeśli zechcesz zostać dłużej...

— Wiosną musimy być w Tarnówkach. Obiecałeś przecież ojcu i przyjacielowi. Ojciec przebaczył ci tak wspaniałomyślnie. Trzeba mu teraz wynagrodzić smutek, postarać się, by zapomniał. Tak długo oszukiwałeś go...

— Czyniłem to dla jego dobra. Gdyby znał prawdę, nie miałbym chwili spokoju, drżałbym stale o jego życie. Wierz mi, Waleńciu, było mi bardzo ciężko tak za jego plecami... ale zmusiła mnie konieczność.

— Wiem, to cię uratowało, pozwoliło żyć.

— Pomysł zrodził się w głowie Edzia, a pomógł lekarz, który wydał na mnie wyrok. Ponadto Dominik to urodzony konspirator.

— Powiedz mi, czy to pan Ostreyko był tym... niemową?

— On. Biedak bał się usta otworzyć, by się nie zdradzić. Od razu poznałabyś go po głosie. Cieszę się bardzo ze względu na Adelkę...

— O tak, to czarujący młodzieniec.

— A jaki dzielny! Wówczas, gdy go postrzelono...

— Więc to on? Więc naprawdę miał zranioną rękę?

— Naprawdę. Myślałem nawet, że go zabito. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Rad jestem nazwać go bratem. Bardzo w Adelce zakochany.

— Ona też. Gdy Liberator okazał się nieosiągalny, uznała, że przyjaciel najbardziej go przypomina. Widzisz więc, że wiosną musimy zdążyć na wesele.

— Zdążymy, najdroższa. Za to nasze wesele będzie trwało całe życie...

— Całe życie — powtarzała Valentine. — A... Beatrycze?

— Beatrycze? Przypuszczalnie wyjechała do męża, do Berlina. Nie ma dla niej miejsca w naszych stronach.

— Ona cię poznała, prawda?

— Tak. Nigdy bym się przed nią nie ukrył, poznałaby mnie i w piekle. Gdy dowiedziałem się, że obiecała Gulbinowi zdemaskować Liberatora, wezwałem ją do siebie.

— Czy... wyjawileś jej, kim jesteś.

— Skądże? Prosiłem tylko, by zaniechała niebezpiecznej i paskudnej gry. Ciągle mnie nachodziła, starała się nawiązać zerwane nici. Wykorzystałem więc sytuację. Poznała mnie wtedy, w nocy, gdy wyrwałem ją z rąk rozwścieczonych chłopów. Sądziła, że trzyma mnie w szachu. I napisała liścik z tym jednym słowem, które znasz...

— *Wiem* — przypomniała Valentine.

— Tak, włożyła go do skrytki w posągu satyra. Znaliśmy ją tylko my dwoje... To ja wydrążyłem ten otwór w cokole. Za dawnych czasów pozostawialiśmy tam czułe bileciki. Ot, taka zabawa... Była więc przekonana, że mnie zastraszy, że ugnę się i przyjmę jej warunki. Stało się jednak inaczej. Nie ja, lecz ty znalazłaś ten liścik.

— Adelka — sprostowała Valentine.

— Ale ty mnie o nim zawiadomiłaś. Wiedziałem więc, że maska Liberatora nie ukrywa już przed nią tajemnicy. I nie omyliłem się, wykonała swą groźbę.

— Smutny jednak koniec każdego Judasza...

— W niej jeszcze nieprędko przemówi sumienie. Będzie teraz błyszczeć na berlińskich salonach i chwilowo w zupełności jej to do szczęścia wystarczy. Ale Bóg z nią, Waleńciu, przestań o niej myśleć i nie zajmuj się tyle Liberatorem. Janowi też się coś od ciebie należy...

* *
*
*
*

A więc koniec, nie mam już o czym myśleć wieczorami. Jan i Waleńcia szczęśliwi w Paryżu, wynajęli pewnie jakiś ustronny pałacyk *entre cour et jardin*, po południu jeżdżą na spacer do Łasku, wieczory spędzają w teatrze lub u siebie, przy kominku... A wiosną powrócą do Tarnowic. Na Valentine czeka tam stęskniona Adelka i nowe życie. Pawilon w parku odzyska dawną świetność, znowu będzie służył jako miejsce wypoczynku młodej pani Tarnowickiej. Liberator wymyśli inną kryjówkę dla uciekinierów zza kordonu i inną formę pomocy dla nieszczęśliwych wygnańców. Tymczasem krótki wypoczynek słusznie mu się należy.

A ja zajmę się scenariuszem, to teraz najważniejsze. Nie powierzę nikomu tak delikatnej roboty, ja przecież wymyśliłam całą akcję, ja stworzyłam Tarnowice „od strony Waleńci”, bo patrząc na wszystko jej oczami. Któż napisze dialogi, w które wsluchiwałam się wiele bezsennych nocy, zachowując sposób mówienia każdej osoby i jakże dziś śmieszne tytułowanie „jaśnie państwa”? Czy ktoś, kto nie błądził nocą wraz z moimi bohaterami po parkowych alejkach, kto nie grywał na cztery ręce na klawikordzie „od pana Pleyela”, potrafi przenieść na ekran moją wizję owego wyidealizowanego świata?

Tak, świadomie i umyślnie wyidealizowanego, bo przecież wiem, że rzeczywistość daleka była od mego obrazu, wiem, że takich Tarnowic trzeba by szukać ze świecą... Ale w tym wypadku wchodzi w grę względy patriotyczne, a zresztą po cóż powtarzać panią de Flagny i jej podobnych? Współcześni nam twórcy wpadli w ostateczność, pokazując wszystko to, co w życiu najgorsze, ja więc wybrałam inny kraniec i pokazuję rzeczy dobre, co chyba lepiej podziała na odbiorców, bo dobry przykład i tak dalej... A jeżeli to fantazja, wolno mi fantazjować do syta.

Wracając do mego filmu: „tarnowicka teka” tak napęczniała, że z trudem zawiązuję tasiemki. Jest więc w czym wybierać. Scenariusz też mam w głowie, cały w dziewiętnastowiecznej konwencji (niedzisiejszy styl opowieści — wszystko dla

zachowania „kolorytu lokalnego epoki”). Wystarczy rzucić na papier.

Dziś sobota. Cyryl powinien przyjechać wcześniej Julian nie wychodzi ze swego pokoju, a Gienia ma ciągle pytający wyraz twarzy. Po obiedzie Stefan z Romkiem wybrali się do Warszawy po świąteczne zakupy i zaraz potem zjawił się Cyryl. W doskonałym humorze.

— Moja pani Marysia wypucowała twój dom na najwyższy połysk — powiedział siadając. — Pomagałem jej cały ranek. Napracowaliśmy się jak dwa woły, ale pałac gotów i czeka na królową. Aha, i miałem telefon od Juliana. Z przeprosinami. Biedak chwilowo zupełnie zdruzgotany, wzięło go. Dziewuszka jednak musi mieć coś... Kręcili się tam koło niej różni chłopaczkowie. Niby brzydka... Co ona im zadawała, że tak za nią latali? Jak myślisz?

— To już ty raczej powinieneś wiedzieć jako mężczyzna, inaczej patrzysz na te rzeczy, muszę jednak przyznać, że masz dobry gust. Aniela Remiga to zdecydowanie piękna kobieta.

— Och, Aniela — Cyryl patrzy na mnie spod oka — jest nieznośna. Kręcę z nią ostatni raz...

— Widocznie okazywałeś jej za mało względów. Aniela lubi być uwielbiana.

— Nie nadaję się na wielbiciela.

— Niestety — wzdycham — ale każda kobieta pragnie być Zofią Loren w oczach interesującego ją mężczyzny.

— Raczej Anielą Remizanką — wybucha Cyryl. — Widzę, że i ty... Też znalazłaś porównanie! Zofia Loren! Od pewnego czasu

nie poznaję cię! Ja mam krzyż pański z Anielą i Kątnickim, scenariusz do kitu, scenografia pod psem, a ty mi z uwielbieniem! Cud będzie, jeżeli zrobię z tego jako tako przyzwoity film. Zniechęciłem się raz na zawsze do historycznych obrazów, na przyszłość będę wybierał wyłącznie współczesne tematy. Uważasz, że za mało cię uwielbiam? Mam robić z siebie idiotę, co? A w ogóle to brak nam scenarzystów! To ludzie kompletnie pozbawieni wyobraźni! Nie ma nic oryginalnego, nicuje się tylko na wszystkie strony powieści i nowele, nowe i najnowsze. Publiczność ogląda to samo, co czytała, film niczego nie odkrywa, niczym nie zaskakuje, nic nęci niespodzianką... Nie realizuje tego, co obiecał. Idąc do kiina każdy wie, co zobaczy. Więc ty naprawdę mylisz, że Anielą i ja?... Sam teraz napisze scenariusz. Cała ta sprawa z Julianem, kluczami i rudą Wera jest doskonałym tematem do wykorzystania we współczesnym filmie. Nie uważasz?

— Może. Ale ja zaproponuję ci coś lepszego.

— Ty? — Cyryl patrzy na mnie podejrzliwie.

— Tak. Chcę także, byś mnie powierzył scenografię.

— Potrafiłabyś? — W głosie nuta niedowierzania.

W odpowiedzi sięgam po „tarnowicką tekę” i rozwiązuję tasiemki. Tyle razy myślałam o tej chwili. Jak teraz zareaguje Cyryl?

— Posłuchaj... Jest taka historia jak stworzona do filmu. O, tu masz całą scenografię, portrety bohaterów, widzisz?

Cyryl bierze jeden karton za drugim. Ułożyłam jo chronologicznie, zgodnie z przebiegiem akcji. Wybiera kilka szkiców Valentine.

— Czy autoportret robi się z odbicia w lustrze, czy z pamięci?

— Autoportret? Przecież to nie jestem ja.

— Tylko kto? O, a tu piękna Aniela.

— To hrabina Drwęcka, ważna rola w moim filmie

— Nie będę pracował z Aniela w żadnym filmie, Mam dość jej hysterii.

— W moim filmie musi wystąpić, a ty będziesz reżyserował, ja się przecież na tym nie znam... Aniela jest konieczna, nikt inny nie pasuje do tej roli.

Cyryl z coraz większym zainteresowaniem ogląda rysunki.

— Kto to? — podnosi wysoko zamaskowanego bohatera.

— To Liberator.

— Liberator? Myślałem, że to ja.

— Ty? W jaki sposób?... Przecież twarz zakryta...

— To nic, ale to mój portret. Poznaję siebie. Zresztą zapytaj Gieni.

— Może to i ty — zgadzam się niechętnie.

— To tytułowa postać mego filmu, wspaniały człowiek, bohaterski Oswobodziciel.

— W takim razie to ja — decyduje Cyryl. — Cóż więc ten Liberator?

— A to Valentine, główna bohaterka —
podsuwam karton „Przy klawikordzie”.

Cyryl po raz drugi patrzy na mnie
badawczo.

— Więc nie jesteś ze mnie zadowolona?
Przyczepiłaś się do Anieli, a ja myślałem, że
wiesz, jak bardzo... No, opowiedzże nareszcie
tę historię.

— Chcesz?

— Też pytanie? Czy mam się zachować jak
ten klęczący przed tobą zamaskowany
wielbiciel? To przecież ja!

W odpowiedzi rozkładam kartony,
wyszukuję rysunki, potrzebne do
zilustrowania początku. Oto przydrożna
karczma, trąbka pocztyliona, kapelusz
Valentine z błękitnym piórem, „prawie
pałac” tamowicki...

— A więc słuchaj. Było to w pewien
listopadowy wieczór 1834 roku. Karetka
pocztowa podskakiwała na wybojach, a
kopyta końskie z chlupotem rozpryskiwały
błotniste kałuże...